

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

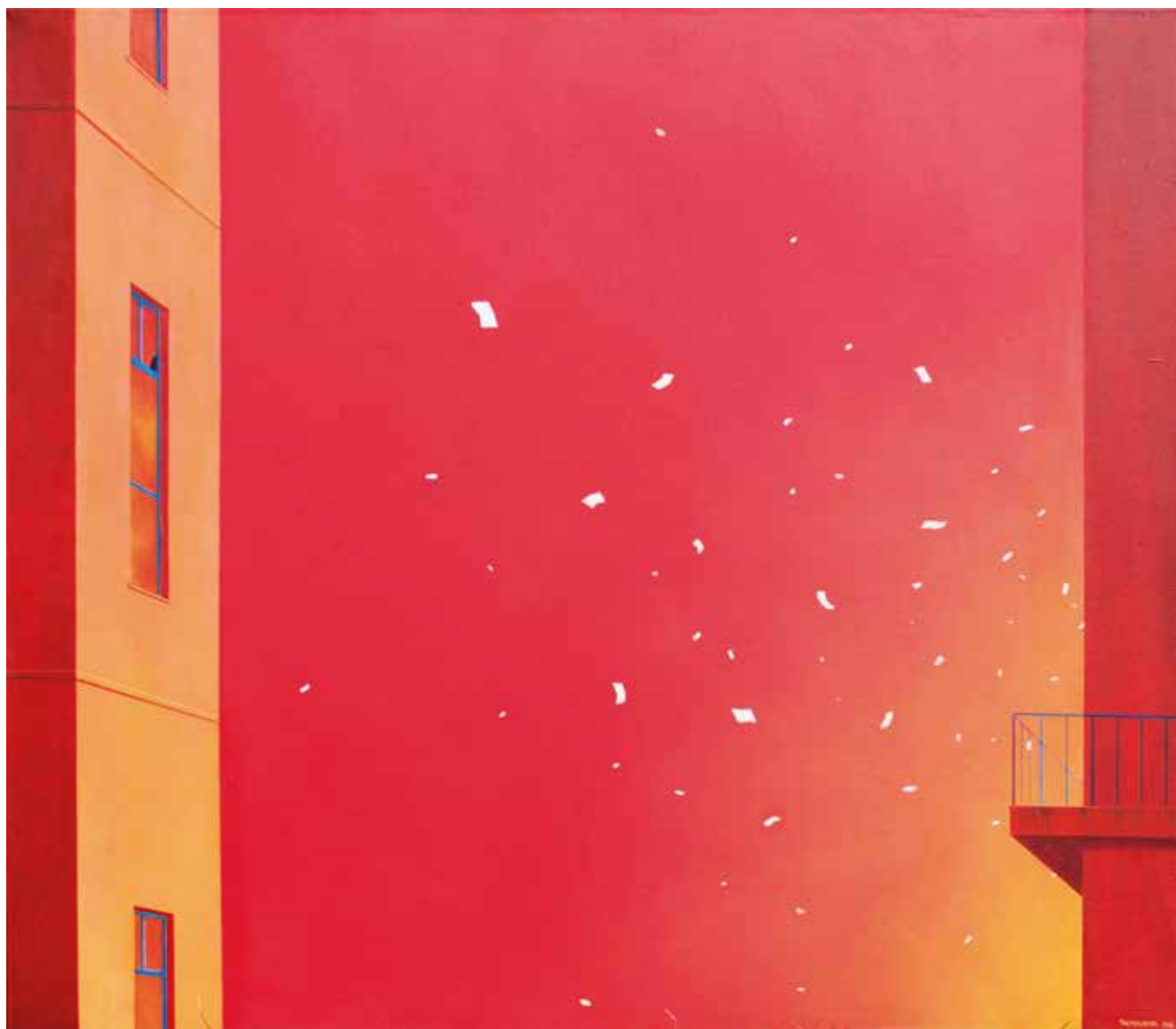
# SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

[www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)

Nr 4 (295) • ROK XXVI • KWIECIEŃ 2020



PERSPEKTYWY  
KATASTROFICZNE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fol. Tomasz Bienek



Tragedia Górnośląska to obiegowa nazwa szeregu deportacji ludności z Górnego Śląska do obozów pracy w głębi Związku Radzieckiego. Zbrodnia przez dekady przemilczana, obecnie staje się obiektem wnikliwych badań historyków, doczekała się też symbolicznego upamiętnienia ofiar. Na zdjęciu obelisk poświęcony Tragedii Górnośląskiej w Katowicach.

Szczegóły str. 18 i 21

fol. Tomasz Bienek



Mijająca 20 kwietnia rocznica urodzin Wojciecha Korfantego jest istotną okazją do refleksji nad działalnością i dokonaniem tego wybitnego polityka. W sposób instytucjonalny badaniami tymi zajmuje się powołany decyzją władz wojewódzkich Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego.

Szczegóły str. 25

fol. Julia Montewska



Pałac w Łazanach w dolnośląskiej gminie Żarów stanowi obecnie obraz całkowitej ruiny. Zniszczona w 1945 roku rezydencja była w tak złym stanie, że nie została w latach powojennych nawet przewidziana do odbudowy. O dziwo, znaleźli się pasjonaci, którzy zamierzają podjąć tytaniczny wysiłek rewitalizacji obiektu.

Szczegóły str. 52

fol. Tomasz Bienek



W wyniku rozlicznych zawirowań historycznych, z Górnym Śląskiem kojarzone są nazwiska muzyków znanych w Europie i na świecie. Znacznie jednak mniej osób zdaje sobie sprawę, iż korzenie tych wybitnych twórców sięgają kresów wschodnich.

Szczegóły str. 79

Nr 4(295). Rok XXVI. KWIECIEŃ 2020

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
MAGDALENA DZIADEK  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
RYSZARD JASNORZEWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
JAN MALICKI  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
JULIA MONTEWSKA  
JAN MIODEK  
KATARZYNA NIESPOREK  
JERZY PASZEK  
DARIUSZ PIETRUCHA  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
JOANNA WAROŃSKA  
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski  
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**  
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”  
na terenie całego kraju. Bezpośrednio  
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGZ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna  
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl  
oraz na www.slaskgtl.pl  
Nakład: 1800 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA  
4 *Maria Korusiewicz* TRAGIZM I TEOLOGIA  
8 *Ks. Henryk Pyka* ZADUMA POD MOROWYM SŁUPEM  
14 AUSCULTA ET PERPENDE *Bogumił Grott* MOJE ROZMYŚLANIA NAD KSIĄŻKĄ  
18 *Agnieszka Zielińska* WCIAŻ ZBYT MAŁO WIEMY NA TEMAT ŚLĄSKA I ŚLĄZAKÓW!  
ROZMOWA Z ANDRZEJEM SZNAJDEREM, DYREKTOREM IPN W KATOWICACH  
21 *Małgorzata Laburda-Lis* WSPOMINAMY TRAGEDIĘ GÓRNOŚLĄSKĄ  
22 *Piotr Skowronek* LINORYT I WIELKA WOJNA. ROZMOWA Z PROF. FRANCYSZKIEM  
NIECIEM  
25 *Zygmunt Woźniczka* WOJCIECH KORFANTY: ŚLĄZAK, POLAK, EUROPEJCZYK  
30 *Zbigniew Lubowski* MIŁOŚĆ WYSADZONA W POWIETRZE  
34 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* SARKANDIANA SPRZED 400 LAT  
39 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* HUMANIŚCI NA ŚLĄSKU. PROFESOR JAN KAZIMIERZ  
ZAREMBA  
44 *Ada Piekarska* NOWE PERSPEKTYWY SZTUKI  
45 *Marek Skwara* TRYPTYK JASNOGÓRSKI II. KAPLICA GOLGOTY WSCHODU  
46 *Małgorzata Lichecka* WIERZĄ W WIEŻĘ  
47 *Tomasz Bienek* FORTECA, GDZIE GOŚCIŁ POLSKI KRÓL  
49 *Tomasz Bienek* TEN ZAMEK INSPIROWAŁ BEETHOVENA  
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W ŁĄŻANACH  
54 *Edward Długajczyk* CHARLES DE GAULLE W NOWYM BIERUNIU  
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* O STYLU PROZY OLGII TOKARCZUK  
DOPOWIEDZENIE: OD L DO Ż  
74 *Marian Kisiel* POWRÓT DO KRAINY DZIECIŃSTWA O FLORIANIE ŚMIEMI  
79 *Antoni Wilgusiewicz* MUZYCY Z KRESÓW

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 TWÓRCZOŚĆ MICHAŁA MINORA  
69 GALERIA: MICHAŁ MINOR – MALARSTWO

## POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Maria Korusiewicz* DOM NA WZGÓRZU  
10 *Piotr Czaadajew* FRAGMENTY I RÓŻNE MYŚLI (II). Przełożył *Marian Kisiel*  
16 *Adam Waga* WIERSZE  
26 *Stanisław Chyczyński* KURZA GĘŚ  
38 *Michał Śniado-Majewski* WIERSZE  
43 *Bogdan Tosza* NA ODEJŚCIE PEWNEJ AKTORKI  
58 *Lucyna Żbikowska* WIERSZE

## FELIETONY

- 36 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Grzegorz Gerlich* ANIOŁ HISTORII  
37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* SYCA, BO MUSA  
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* ZAMKNIĘTY ROZDZIAŁ: KRZYSZTOF  
PENDERECKI (1933–2020)

## KSIĄŻKI

- 62 *Marian Kisiel* ODCZYTYWANIE WOJTYŁY  
64 *Grażyna Krupińska* JURIJ BRĘZAN: „NIGDY NIE CZUŁEM SIĘ OBCO”  
66 *Andrzej Juchniewicz* ŻYCIE WŚRÓD MASZYN TRANSMITUJĄCYCH PRZEMOC  
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

## NOTATNIK KULTURALNY

- 77 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Roman Maciuszkiewicz, Świat bez nas. Obraz – olej, płótno. 2018

Tył okładki:

Katarzyna Popczyk, fotografia

### Zostań w domu

Dla egocentryków i indywidualistów nadszedł piękny czas. Wreszcie można pobyć sam na sam ze sobą, poznać bohaterów dawno odłożonych na półkę książek, wysłuchać ulubionej płyty albo... tylko do woli się wyspać. Media zapewniają dostęp do bieżących informacji, politycy zgodnie ze starą maksymą dostarczają nam „i chleba, i igrzysk”, a dostawy „produktów niezbędnych do życia” zorganizujemy sobie sami.

Nareszcie zostaliśmy więc sami ze swoim bogactwem (albo biedą), radościami lub troskami, konsumpcją lub ascetycznym umiarem. Nie musimy wyjeżdżać do odludnych eremów, na bezлюдne wyspy lub złociste plaże zagranicznych kurortów, by zaznać tak oczekiwanej i pożądanej odrębności i niedostępnych dla tych innych luksusów. Wszystkie te atrybuty oczekują na nas w naszych samotniach blokowisk lub nowobogackich willach.

Pozorny paradoks polega na tym, że by utrzymać ten błogi stan państwo zmuszone jest wdrożyć drakońskie, kilkudziesięciotysięczne kary dla tych z nas, którzy – z braku elementarnego szacunku dla dobra wspólnego – gotowi są łamać zakazy, normy (w tym sanitarne), ograniczenia, wyłamywać się z koniecznych do zaakceptowania reguł, demonstrując swoisty indywidualizm „na opak”.

Tak czy owak od wielu lat realizowany jest ideał życia osobnego, od najwcześniejszych lat naszej edukacji postulowanego jako pożądany model. To nie zasady solidarności, współdziałania, wzajemnej pomocy i szacunku dla bliźniego, troski o otaczające nas środowisko, ale twarde reguły bezwzględnej konkurencji, koniecznego zysku i bezgranicznej, demonstracyjnej konsumpcji – zdominowały nasze życie od przedszkola, aż do emerytury (czasem nawet dłużej).

Skąd więc to dojmujące, tak często przez naszych rodaków werbalizowane poczucie dyskomfortu przede wszystkim psychicznego. Na pewno jego źródłem jest lęk o zdrowie swoje i bliskich oraz ewentualne komplikacje i zagrożenia jakie niesie ze sobą potencjalny kontakt z naszym systemem leczenia.

A jednak jako społeczeństwo demonstrujemy dążenie (mimo długoletniej uporczywej aplikacji liberalnego modelu awansu społecznego wywiedzionego z amerykańskiego snu o karierze zainicjowanej rolą pucybuta, a zakończonej prestiżową pozycją milionera) do kreacji realnego, istniejącego odczuwania poczucia wspólnoty, więzi, jedności, satysfakcji z bycia razem z innymi.

Izolacja jednostki jest przecież najcięższą karą, jaką aplikuje społeczeństwo – obwinionemu, długotrwała samoizolacja jest sytuacją ekstremalną, wykluczeniem się z niezbędnej do funkcjonowania jednostki – kultury i komunikacji kulturowej, stąd owa dyskomfortowa, rodząca frustrację alienacja wielu naszych rodaków.

Jakakolwiek grupa społeczna nie jest prostą sumą jednostek, jesteśmy w niej powiązani ze sobą wielorakimi więzami i ograniczeniami dzięki którym możemy wzajemnie informować się o naszych emocjach, poglądach (z tym jest coraz gorzej), oczekiwaniach, preferencjach, dezaprobatkach i afirmacjach itp.

Poza językiem, narzędziem umożliwiającym nam funkcjonowanie w grupie, znane są – nam i pozostałym członkom społeczności – normy i zachowania kulturowe, których akceptacja lub konstatacja jest widomym znakiem naszej postawy wobec otaczających nas ludzi.

Podstawą zdrowego funkcjonowania społeczeństwa, w tym także efektywnej działalności gospodarczej, ekonomicznej (poza niezbędnymi: technologią i finansami) – jest zintegrowany, łączący nas w społeczność **przebogaty własny**

**kapitał kulturowy**, dostępny w różnym stopniu i zakresie wszystkim członkom naszej społeczności, nawet tym, różniącym się w ramach tego kapitału od nas: swoistymi obyczajami, gwarą, terytorialnym położeniem, subtelnymi różnicami estetycznymi. Chóralne, balkonowe koncerty lub śpiewy (obojętnie komu dedykowane) były niczym innym jak m.in. demonstracją owej pożądanej wspólnoty opartej na znajomości tych samych, wspólnych dla wszystkich: melodii, słów piosenek, rytmów itp.

Kultura nie tylko może, ale przede wszystkim na pewno integruje nasze społeczności, rozproszone i częstokroć rywalizujące ze sobą grupy: zawodowe, regionalne, religijne, zróżnicowane wiekowo i edukacyjnie.

W czasach po pandemii ten obszar społecznej i administracyjnej aktywności jest i będzie niezwykle ważny. Dlatego z zadowoleniem należy powitać wszystkie te starania, jakie podejmuje administracja samorządowa szczebla lokalnego (np. **Katowicki Pakiet dla Kultury**) i regionalnego oraz centralna (**Tarcza antykrzysowa dla kultury**) dla podtrzymania kondycji finansowej środowisk twórczych i instytucji kultury. Miejmy nadzieję, że po okresie dominowania epidemii – mimo przeróżnych trudności ekonomicznych kontynuowane będą niezbędne nakłady i wysiłki dla dalszego rozwoju i budowania kolejnych, wzbogacających nasz narodowy kapitał kulturowy: instytucji, organizacji pozarządowych działających w sferze kultury oraz podejmowane te wszystkie przedsięwzięcia, które umożliwią będą twórcom, artystom wieloraki kontakt z najszerszymi rzeszami naszego społeczeństwa, tak by hasło obecnego numeru „Śląska”: **Perspektywy katastroficzne** było tylko odległym echem minionych czasów.

## Dom na wzgórzu

rano  
świerki są mokre od deszczu  
drobne kropelki drżą na brunatnym drewnie parapetu  
błyszczą w pajęczynie  
na skraju polanki za domem  
tam gdzie żwirowa ścieżka stromo  
skręca w górę między ostrężyną  
stoi młody dzik  
szorstka sierść połyskuje rudością  
ruchliwy nos  
chłonie wilgotne wonie z dolin

przeciągam się powoli w  
mlecznym chłodzie pościeli  
twój ciepły oddech miękkie wnętrza dłoni  
śpią obok  
w dole rosnące światło  
niesie róże dachów ugier drzew  
niebieską glinę horyzontów

wtulam się w gorący obłok pomiędzy  
tobą a tobą pomiędzy chwilą a chwilą

jeszcze nie czas  
nie czas  
drogi są ukryte  
tańczy wiatr

# Tragizm i teologia

MARIA KORUSIEWICZ

## O tragizmie

Imiona i losy Edypa i jego córki Antygony, Elektry i jej nieszczęsnego brata Oresta, Hamleta i Otella, Króla Leara i wielu, wielu innych bohaterów, których nazywamy tragicznymi są niezbywalną częścią naszego widzenia świata. Odsłaniają jego ukryte mechanizmy, kruchość i siłę człowieka stojącego na przecięciu potęgi niewzruszonej Konieczności spraw.

Traktujemy je jako przedstawienia tej samej idei, nie zauważając dzielących je odległości czasu, geografii i kultury. A przecież współczesne pojmowanie tragizmu to zróżnicowana spuścizna intelektualna i artystyczna co najmniej dwóch i pół tysiąca lat. Wypracowywano ją najpełniej w tych okresach, w których zmieniające się uwarunkowania historii i kultury, a także filozofii i polityki, przywracały świadomość wagi wiedzy tragicznej dla zrozumienia kondycji ludzkiej i przede wszystkim – uchwycenia na nowo jej sensu. Skłaniało to zarówno do głębokiej refleksji, jak i podejmowania działań twórczych, które rozświetliłyby ludzką skończoność blaskiem tego, co heroiczne. I chociaż dzisiaj traktujemy tragedie starożytnej Grecji jako najdobitniejszy wyraz tych działań, to jednak to, co współczesny człowiek określa mianem tragizmu dalekie jest od greckiej wizji świata. Sposób, w jaki kolejne epoki rozumieją tragizm odpowiada ich szczególnym potrzebom, podobnie jak różne będą odniesienia do tragizmu w sztuce, filozofii, czy, o czym mówi się rzadziej – w teologii.

Teologiczne odwołania do tragizmu zwracają się – zwłaszcza w szeroko pojętej współczesności – nie tyle ku samemu dramatowi tragicznemu, czy też nawet tragizmowi stanowiącemu kanwę znacznej części filozofii postkantowskiej, ale raczej ku specyficznemu sposobowi percepcji świata, który przenika głębokie poczucie jego immanentnej tragiczności. Odpowiedzią na taką intuicję stało się pojęcie tak zwanej „tragicznej wizji”, które łączymy dzisiaj najczęściej z pracami hiszpańskiego myśliciela Miguela de Unamuno. Najbardziej znany opis tragicznej wizji świata i egzystencji jest właśnie jego autorstwa. „Istnieje coś, co w braku lepszego określenia, nazwiemy poczuciem tragiczności życia, które niesie w sobie całą koncepcję życia jako takiego i wszechświata, całą filozofię mniej lub bardziej sformułowaną, mniej lub bardziej świadomą”.

W obliczu kataklizmów historii XX wieku tragiczna wizja jako termin stała się kategorią niezwykle pojemną, a badacze poszukują jej śladów w całej historii zachodniej myśli, często tak poszerzając jej zakres, że możliwe okazuje się stwierdzenie, że prawdziwa mowa metafizyki jest niemal zawsze tragiczna. Jej źródła niewątpliwie leżą tam, gdzie człowiek uświadamia sobie swoją skończoność, nieustanną niedoskonałość świata, w którym mimo to wypracować musi wizję wiążącą w spójną całość to, co teoretyczne i to, co stanowi praktykę naszego życia.

W kulturze zachodniej najtrwalszym chyba podskórnym nurtem kształującym kolejne obrazy świata i sposoby jego postrzegania jest właśnie intuicja jego niezbywalnej tragiczności, zarówno w sferze samej egzystencji, jak i w sferze poznania. Tę ostatnią naznaczają trzy elementy: głębokie pragnienie ostatecznej prawdy, bariera budowanego przez nasze niedoskonałe zmysły i rozum obrazu świata i wreszcie tragiczne złudzenie, że jednak jesteśmy w stanie zmienić swój los i tę Prawdę osiągnąć.

## Tragiczna wizja a myśl teologiczna

Z reguły w tradycyjnym piśmiennictwie tematu, a także w potocznym rozumieniu, tragizm, a tym bardziej wizja świata o charakterze tragicznym są oddzielane od światopoglądu chrześcijańskiego, który widziany jest jako przekraczający to, co tragiczne i wprowadzający jedynostkę i wspólnotę w strumień zbawczej nadziei i miłości. Bardziej wyważone stanowisko odpowiada poglądom wybitnego filozofa i teologa protestanckiego Reinholda Niebuha, wyrażonym w klasycznej już pozycji zatytułowanej *Poza tragizmem. Eseje o chrześcijańskiej interpretacji historii*, która ukazała się jeszcze przed II wojną światową. Autor uważał, że chrześcijańska wizja historii rozwija się, co prawda, poza tragicznością, ale przechodzi poprzez fazę poczucia tragizmu, zmierzając ostatecznie ku nadziei i pewności, które są już ‘poza’ tragedią. Niebuhr, wyjaśniając swoje stanowisko, wskazywał na dwa, praktycznie rozdzielne, poziomy chrześcijańskiej wizji świata. Pierwszy z nich to właśnie tragiczna wizja, w której zło towarzyszy wszelkim ludzkim dokonaniom, także duchowym. Dopiero drugi poziom to przekroczenie tragiczności możliwe wyłącznie dzięki nadrzędnej Bożej Opatrzności.

Takie, mniej lub bardziej podkreślane, ostre odgraniczanie tragizmu od doktryny i praktyki życia w chrześcijaństwie wymaga także radykalizacji postaw, co spłyca rozumienie świata, narzucając w jego szerokim polu odrębność porządków myślenia i odczuwania na obydwóch wspomnianych poziomach. Z jednej strony tragizm nie powinien być „skażony nadzieją”, co automatycznie wyrzuca go poza obręb chrześcijaństwa i kultury o korzeniach chrześcijańskich, z drugiej strony, samo chrześcijaństwo ustawione zostaje w pełnym świetle, ale jest to światło monochromatyczne, dalekie od rzeczywistości ludzkiej egzystencji.

Przed takim ostrym rozróżnieniem pomiędzy tragizmem i chrześcijaństwem ostrzega inny teolog, Jeremy F. Worthen, zwracając jednak uwagę na niezwykle złożoną naturę ich relacji. Kwestią, nad którą proponuje się zastanowić jest różnica w rozumieniu zła. Według niego tragizm ujmuje zło na trzy sposoby, dalekie od światopoglądu chrześcijańskiego: widzi je jako niezrozumiałe, nieodwołalne i nieuniknione. Jednakże, te trzy ‘tragiczne’ cechy zła nie muszą przesądzać o przekreśleniu nieustannego krzyżowania się ścieżek chrześcijaństwa i tego, co tragiczne, zwłaszcza, gdy na wskazane cechy patrzymy z perspektywy ludzkiej – a więc niedoskonałej i pogrążonej w niewiedzy – egzystencji. Co więcej, w obliczu nowożytnej historii pojmowania tragizmu w chrześcijańskich kulturach Zachodu zasadne wydaje się zupełnie inne pytanie: czy dla współczesnego człowieka możliwa jest jakakolwiek artykulacja tragizmu poza kontekstem chrześcijaństwa? I czy w takim razie teologia opatrzona przymiotnikiem tragiczna ma swoje uzasadnienie?

Warto tu wskazać na istotną pozycję w historii i współczesności chrześcijaństwa takich koncepcji teologicznych, które sugerują, że wpisanie tragizmu w myśl teologiczną może stać się zaczynem „mądrości”, odpowiadającej realnym wyzwaniom dzisiejszego świata.

## Źródła tragiczności w tradycji chrześcijaństwa

Poszukiwanie pierwocin perspektywy tragicznej prowadzi niektórych interpretatorów w kierunku Świętych Pism chrześcijaństwa, a konkretnie, Ewangelii św. Marka. Louis A. Ruprecht dostrzegł w jej narracji ślady klasycznej tragedii greckiej, za kulminację tej wizji uznając wydarzenia w ogrodzie Getsemani. Według niego uczestniczymy

tam w tragicznych zmaganiach Jezusa, w głębi Jego cierpienia wynikającego z jego czysto ludzkich lęków i wątpliwości w zderzeniu z wolą Ojca. Ewangelia Marka jest lekcją napisaną dla nas, jej odbiorców, musi więc odpowiadać rzeczywistości ludzkiej egzystencji. To my, przeżywając rozterki i walcząc z wątpliwościami wołamy: „Wierzę! Przyjdź z pomocą niedowiarstwu memu!” (Mk 9, 24). Świat Ewangelii, w którym to, co dobre, przenika się z tym, co złe, wiera z jej brakiem, zaufanie z głęboką niepewnością, jest otwarty na świadomość tragiczną, która może stać się źródłem motywacji do wyboru drogi naśladowania Chrystusa. W tym ludzkim wędrowaniu, w różnorodności interpretacji i opcji filozoficznych powtarzają się przecież dwa kluczowe, przeciwstawne, lecz przenikające się wzajemnie wątki: nieuniknioność upadku oraz potrzeba splecionej z losem nadziei.

### Święty Augustyn i kwestia zła

Wśród kwestii, które pozwalają dzisiaj poszukiwać tragicznej wizji w myśli Augustyna będzie po pierwsze ogromna rola zła mimo jego 'nieistnienia'. Według Augustyna „zło jawi się, ale nie istnieje”. Druga kwestia to podobne jak w tragizmie zderzenie wolności i konieczności w egzystencji człowieka, trzecia to również typowa dla tragizmu estetyczna formuła teodycei, zajmującej się wyjaśnieniem problemu zła w świecie stworzonym przez Boga, który jest miłością.

Nauki św. Augustyna na wiele wieków ulokowały problematykę zła, słabości ludzkiej i w konsekwencji, ludzkiego upadku w grzech w samym centrum zainteresowania teologii, nasilając w ten sposób tendencje bliskie postrzeganiu świata, które dzisiaj klasyfikujemy jako tragiczną jego wizję. W takim ujęciu stworzenie, a wraz z nim człowiek powstały ex nihilo pozostaje już zawsze podległy ceniom nieuchronnej skończoności i niedoskonałości. Teolodzy zwracają dziś uwagę na pierwiastki tragiczne w naukach Augustyna, wskazując także na specyficzny charakter zła jako konsekwencji decyzji pierwszego człowieka prowadzącej do grzechu pierworodnego, na niereducowalność i nieuchronność zła wykraczającego poza ludzkie racjonalizacje. W kształtowaniu się takiego podejścia Augustyna do tematyki dobra i zła, dużą rolę odegrały tradycje filozofii stoickiej i neoplatonickiej, w których zło jest definiowane – podobnie jak u niego – jako brak dobra.

Z drugiej strony można tu odkrywać ślady doktryny Babilończyka Maniego, zwane go także Manesem lub Manicheuszem, uznającej zło za suwerenną zasadę. Manicheizm był to synkretyczny system religijny ukształtowany w III wieku n.e., obejmujący elementy zoroastrianizmu, buddy-

Prawdopodobnie, z powodu owej złożonej relacji świadomość tragiczna nie jest obca niemal całej historii chrześcijaństwa. Już u końca starożytności zrozumienie znaczenia wiedzy zawartej w tym, co tragiczne i w samych tragediach pojawia się w tekstach Apollinarisa Starszego, syryjskiego biskupa z IV wieku, który interpretował fragmenty Starego Testamentu w formie poematów tragicznych, u Ojców Kapadockich, czy też u Jana Chryzostoma. Są to jednak raczej próby instrumentalnego wykorzystania wątków tragicznych i wprowadzenia ich do chrześcijańskiego oglądu świata w kontekstach ludzkiej ułomności i grzeszności, niż pełnoprawne użytkowanie tragiczności w teologii.

W tym samym okresie, osobą niewątpliwie najbardziej zainteresowaną tragicznym aspektem egzystencji chrześcijanina był św. Augustyn (354–430), dla którego punktem wyjścia było nieuniknione, a więc – w rozumieniu Worthena – tragiczne, uwikłanie człowieka w grzech i grzeszność w 'pięknej sprawiedliwości' Bożego świata.



Gotycka Pietà z Lubiąża

zmu, ale także chrześcijaństwa i zakładający dualizm rzeczy; nieustanną walkę pomiędzy dwiema przeciwnymi potęgami: światłem i ciemnością, dobrem i złem. Młody Augustyn pochłonięty pytaniem o pochodzenie i naturę zła zwrócił się właśnie w stronę manicheizmu i jego obrazu świata. Koncepcje te, mimo że po długim okresie zainteresowania zostały odrzucone przez Augustyna, pozostały jako stałe echo w jego poglądach, co zarzucano mu praktycznie do końca jego życia. Dopuszczalne jest więc mniemanie, że nauki Manesa odegrały pewną rolę w rozwoju myśli Augustyna, a poprzez niego wpłynęły na całą historię myśli teologicznej zachodniego chrześcijaństwa. Wszak przemóżny wpływ Augustyna na rozwój teologii trwał nieprzerwanie do wieku XIII, potem nieco osłabł w konfrontacji z rozwijającą się nauką wyrastającą ze spuścizny św. Tomasza z Akwinu, by powrócić w dziełach Ojców reformacji, szczególnie w ruchach związanych z naukami Kalwina. W pewnym sensie, gnostyckie manichejskie chrześcijaństwo zostawiło swój ślad na zachodniej teologii i filozofii, a poprzez nie – na naszej współczesnej percepcji tragizmu i tragicznej wizji świata.

Zaprzeczenie substancjalności zła w teologii Augustyna (zło to jedynie brak dobra, *privatio boni*) odbywa się przy zachowaniu fundamentalnego znaczenia naszego nieustannego obcowania ze złem, zarówno wewnątrz ludzkiej psychiki, jak i w świecie zewnętrznym, a także niemalże mitologizowania zła poprzez grzech Pierwszego Rodzica – Adama. To, że Augustyn odrzuca manicheizm nie oznacza, że odrzuca doświadczenie, które manicheizm stara się wyrazić. Obiektywna, odczuwalna, choć w zasadzie irracjonalna obecność zła, które człowiek zastaje w dostępnej mu rzeczywistości jest więc niezwykle istotna dla myśli Augustyna. Prawdopodobnie nie bez znaczenia był wtedy także fakt, że młode chrześcijaństwo rozwijało się w otoczeniu licznych doktryn związanych z gnozą, manicheizmem, pelagianizmem, donatyzmem i innymi, w których zło było kwestią podstawową. Co więcej, atmosferę potęgi i nieredukowalności zła wzmocniały powszechne w tym okresie przekonania o realności demonów i „złych sił” działających w świecie.

Podejmowane przez chrześcijaństwo próby redukcji powszechnej obecności zła do pojęcia grzechu okazały się jedynie częściowo odpowiedzią, ponieważ pozostawiała nierozwiązaną kwestię tych jego manifestacji – przede wszystkim katastrof, nieszczęść i cierpienia niewinnych – których zarówno człowiek jak i świat doświadczają jako przychodzących spoza horyzontu zdarzeń, jako „pęknięcia” w konstytucji uniwersum. Ta realność i potęga tego, co uwa-



Michael Pacher, św. Augustyn

żamy za zło powoduje, że pomiędzy tematami tragiczności a Ofiarą Ukrzyżowania pojawia się zbieżność.

### Pomiędzy Losem a wolnością woli

Niezależnie od tego, czy myślimy w kategoriach teologii, filozofii czy kreacji literackiej skonfigurowanie zła w świecie wymaga odwołania się do paradoksu ludzkiej egzystencji, wolnej i niewolnej jednocześnie. To, co w niej tragiczne wynika z konieczności, którą nazywamy Losem; to, co ludzkie wynika z wolności woli.

W przypadku św. Augustyna idea losu, rozumianego przez większość jego życia na wzór starożytnych jako Los przez duże L, również funkcjonowała w zderzeniu z wolnością osoby ludzkiej. Warto tu przypomnieć, że wiele wieków później filozofia egzystencji, borykając się z tym samym problemem, uznała właśnie tragizm za jedyny możliwy most nad stworzoną przez ten „spór” przepaścią. Rozgrywa się on z reguły w obrębie woli, nie przypadkiem więc pojęcie woli powraca wtedy w myśli wielkich teoretyków tragizmu i tragiczności, przede wszystkim Schopenhauera i Nietzschego.

U Augustyna wolność woli istnieje w perspektywie jej nieuchronnego upadku, jest więc nieustającą motywacją poszukiwania rozwiązań dla pytania: „po co stwarzać wolną wolę, która musi upaść?” Tragiczna natura tej wizji

znajduje równie tragiczne echo w udzielonej przez Augustyna odpowiedzi. „To bowiem, co jest z Niego, jest tym, czym On sam, to zaś, co pochodzi od Niego, nie jest tym, czym On. I z tego to względu, jeżeli On jeden tylko jest niezmienny, zmienne jest wszystko, co stworzył, ponieważ stworzył to z niczego” (O naturze dobra).

Skażenie nicością wszystkiego, co stworzone skazuje człowieka na egzystencję o cechach tragicznych. Człowiek staje więc w obliczu nieustannych zmagania z niedoskonałym światem i własną ułomną wolą, w wołaniu, często daremnym, o wybawiającą Łaskę. Obecność nieokiełzanego zła, otchłanności braku, w dramacie ludzkiego doświadczenia, mimo tęsknoty za uzdrawiającą obecnością Boga, wytrzymuje więc porównanie z dramatem tragicznym. Wystarczy jeden błąd, wina tragiczna protagonisty, by wyzwolić fale mroku płynące niemalże z fundamentów rzeczy, w ślepych pędzie niszczące wszelką wartość, jaką on reprezentuje.

### Tragizm we współczesnej myśli teologicznej

Augustyńska idea wykorzystania elementów tragizmu zgodnie z perspektywą chrześcijańską okazała się przydatna także w wieku XX i XXI. Człowiek, niezależnie od epoki, nieodmiennie boryka się z własnym nieposkromionym pragnieniem i jego konsekwencjami, zmagając się z przeciwnościami losu w obliczu towarzyszącej mu niedościgłej wizji wolności i z reguły czyni to bez powodzenia w codzienności swojej egzystencji. Fundamentalna zmiana tej sytuacji, przemiana duszy, nie jest jednak możliwa bez Głosu Boga. Dopiero dar Łaski pozwala na obietnicę zmiany; pozwala także rozwinąć myśl teologiczną. Nie wyklucza to jednak zachowanego w niej pierwiastka tragiczności.

Rozważając więzi teologii i tragizmu, można zastanawiać się nad istnieniem co najmniej dwóch tragicznych porządków. Pierwszy, zanurzony w archaicznych wodach mitu, zabarwiony greckim pesymizmem, który tak fascynował Nietzschego, ostatecznie akceptuje maszynę ludzkiej skończoności. Drugi niesie w sobie podskórny nurt, który można nazwać ‘teologicznym’; jest w nim miejsce na Obietnicę nadziei. Ten wzorec ukształtowany w Augustyńskiej tragicznej wizji powróci w różnorodności koncepcji w historii myśli zachodniej.

Po doświadczeniach zeszytych 100 lat, poczynając od ‘samobójstwa Europy’, jakim była I wojna światowa, poprzez doświadczenia następnego, horror holokautu, historię totalitarnych reżimów, terroryzmu przełomu tysiącleci, aż po splot globalnej katastrofy ekologicznej z dalszymi losami ludzkości, rozpoznawanie tragiczności staje się jednym ze sposobów



głębszego wejścia teologii we współczesny świat. Jest to także szansa na sprostanie wymaganiom codzienności, w której człowiek nie doświadczający pełni mistycznego rozpląnięcia się w Bogu, nie znajdujący również pełnego oparcia w obcym mu świecie, tkwi w pułapce. Zawieszony między zwątpieniem a nadzieją, pomiędzy grzechem i wolnością, pozostaje w chwiejnej nierównowadze niejako w centrum aporii, w miejscu potężnego napięcia. W tej przestrzeni staje się egzystencją tragiczną, rozgrywającą swój dramat w obliczu skończoności rzeczy, podatny na zranienie i lęk.

### Hans Urs von Balthasar i „tragedia poddana łasce”

Wzajemne relacje tego, co religijne i co świeckie stają się kwestią istotną w obliczu wielopoziomowego kryzysu, który dotyka współczesne społeczeństwa, w tym także kryzysu wartości. W bogactwie współczesnej myśli teologicznej pojawiają się więc koncepcje, które, uznając wagę realnej partycypacji w powszechnym cierpieniu i niepokoju, zwracają się tym samym ku perspektywie tragiczności. W drugiej połowie zeszłego stulecia postacią, która zdecydowała się wpisać tragizm i tragiczność w koncepcje teologiczne był Hans Urs von Balthasar (1905–1988), wybitny teolog katolicki, twórca estetyki teologicznej, którego idee nierzadko budziły kontrowersje w łonie Kościoła. Jego teodramatyka mówi o współdziałaniu Boga z człowie-

kiem w zbawczym dramacie Odkupienia poprzez Krzyż, w którym postacią centralną jest Chrystus. To w Nim, jako najwyższym protagoniście (Hauptfigur), w kulminacji wszelkiego doświadczenia tragicznego, otwiera się przestrzeń dziejów, których istotą jest proces zbawczy. Balthasar uważał Chrystusa za „spadkobiercę wszelkiej tragedii świata, zarówno tragedii Greków, jak i tragedii Żydów, tragedii tak zwanych wierzących, jak i tak zwanych niewierzących” (*Tragedy and Christian Faith*).

Balthasar czerpał inspiracje nie tylko z dziedziny teologii i tekstów biblijnych, ale także z filozofii, literatury, poezji, głównie Goethego, dramatu, czy nawet mitu, podkreślając obecne w nich piękno. I właśnie to wieloaspektowe podejście, przede wszystkim zastosowanie przez Balthasara optyki chrześcijańskiej w podejściu do niemieckiej filozofii idealistycznej, przy zaufaniu do wysokiej funkcji piękna można uznać za ścieżką wiodącą do jego idei chrześcijańskiej tragicznej wizji.

Motywacją takiego podejścia do współczesnych zadań teologii jest dla Balthasara konkretna wizja dramatyzmu ludzkiego życia, upadku, zmagania i zbawienia. Ta wizja, jako wizja życia chrześcijańskiego wchłania w siebie tragiczność świata z pełną powagą i pokorą. Jest to wizja „tragedii poddanej łasce”, tragiczności opromienionej bezinteresownym pięknem pozwalającym dotknąć nieskończoności, o którym według Balthasara

zapomina współczesna teologia i religia, a które przechowuje ludzka intuicja i wrażliwość. Piękno jest dla niemieckiego teologa zwornikiem skończoności i nieskończoności, Absolutu i stworzenia, śmierci i życia, paradoksem, a zarazem tajemnicą mistyczną Objawienia. Głębokie przeżycie estetyczne pozostaje więc w centrum doświadczenia religijnego, stanowiąc również niezwykłą część świadomości tragicznej, także chrześcijańskiej, która bez elementu piękna upada w absurd i mrok.

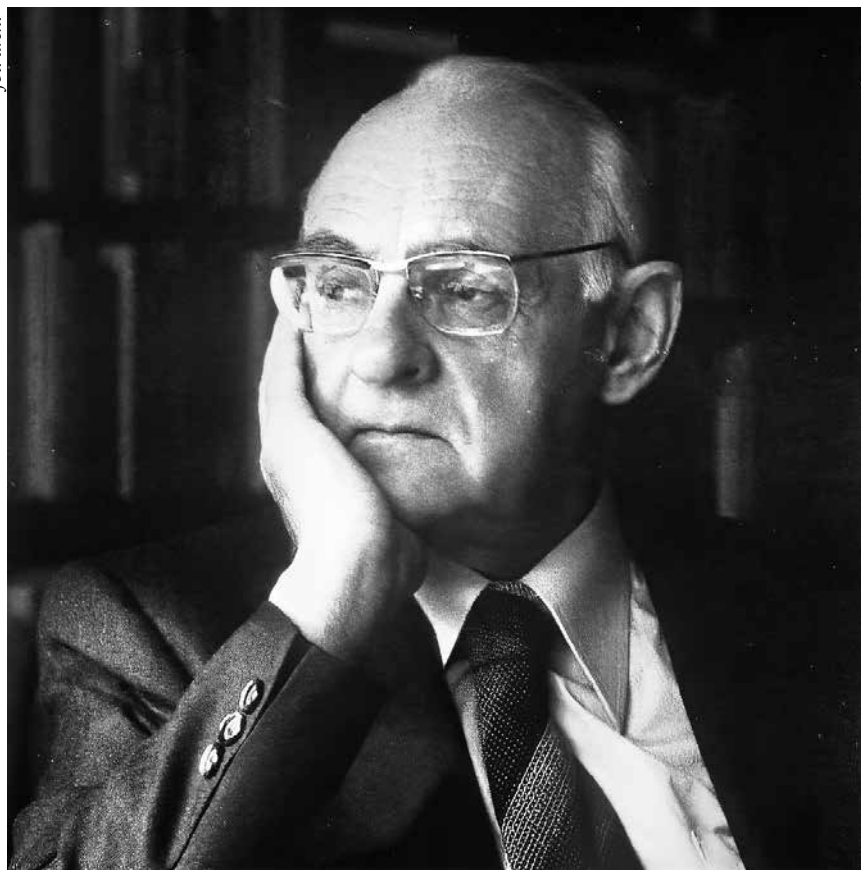
Rozpląnięciu się tego, co jednostkowe w Absolutie na przeszkodzie staje jednak inny paradoks – jednoczesności wolności i konieczności – z którym zmagają się ludzie. W tej rzeczywistości indywidualnego upadku, bolesnej smutności w obliczu piękna budzi się także doświadczenie tragiczności, które według von Balthasara nieobce było również Chrystusowi cierpiącemu w ogrodzie Getsemane.

### Poznaj samego siebie

Świadomość tragiczna jest więc wynikiem dialektyki wolności i konieczności ukierunkowanej na samopoznanie. Apolliniński nakaz „poznaj samego siebie” otwiera wrota ku dionizyjskiej otchłani tragizmu, zgodnie zresztą z losem króla Teb, Edypa; drzewo wiedzy dobra i zła nieustannie rodzi ciemne jabłka. Wiedza wielkich mistrzów greckiej starożytności, Sofoklesa, Ajschylosa, Eurypidesa, ale także Homera, jest dla opisywanej tu myśli teologicznej modelem perspektywy jednocześnie tragicznej, jak i tragizm przekraczającej. W tragedii greckiej boskość zawsze była obecna, nie tylko w postaciach olimpijskich bogów, ale przede wszystkim w zaufaniu do głębokiego Sensu rzeczy. Bohaterowie tragiczni zamiast poddać się rozpacz i nihilizmowi poruszają się w środowisku przesiąkniętym boskością, a w swojej skończoności zamiast absurdu rozpoznają sens. Według Balthasara istnieje więc możliwość dokonania skoku z wspaniałości tragedii do wspaniałości chrześcijaństwa. Istnieje również możliwość porównań: Ifignii w Aulidzie z córką Jafeta, Herkulesa z Samsonem, Kassandry z Jeremiašem. Potencjał tragiczny Starego Testamentu posiada tę samą surową prostotę i męstwo bycia, który reprezentują protagoniści attyccy. W Nowym Testamencie to, co tragiczne może stanowić nie tylko drogę samego Chrystusa, ale także drogę do Chrystusa.

Według teologii dopuszczających pierwiastek tragiczny, tragizm odkrywany w przesłaniu chrześcijaństwa jest szansą na przyznanie głosu temu, co w człowieku milknie pod naporem cierpienia i temu, co jednocześnie głuchnie na nadzieję łaski, a wraz z nią – zachwytu nad pięknem.

fot. arch.



Hans Urs von Balthasar

# Zaduma pod morowym słupem

Ks. HENRYK PYKA

Dogodne położenie sprawia, że mieszkam niedaleko autostrady i portu lotniczego w Pyrzowicach. W określonych porach dnia przelatują niedaleko mojej sadyby samoloty, zniżając swój pułap i łukiem podlatując do miejsca lądowania. Szczególnie w sezonie, nie bez cienia zazdrości, spoglądam w niebo, bo lotów jest więcej i z pewnością znajdujący się na ich pokładzie pasażerowie wylatują na odległe słoneczne plaże. Wracają syci wrażeń z mocnym postanowieniem kolejnego wylotu do owych „paradisum voluptatis”.

Teraz jest tu cicho. Nie spoglądam w niebo, bo wiem, że nic nie spadnie. Drogi przejazdowe stały się spokojniejsze. Sąsiad zza parkanu mówi, że na parapetach za oknem jakby mniej kurzu; bo skąd by się miał brać, skoro wszystko tak przycichło.

Pierwsza odnotowana zaraza w Tarnowskich Górach miała miejsce w roku 1676. Minęło dokładnie sto pięćdziesiąt lat od lokacji miasta, wzbogaconego w międzyczasie dzięki wydobyciu tu rud srebra i galmanu. O burmistrzu niedalekiego Bytomia mówiło się, że swoje dzieci, kiedy się narodzą, kołysze w srebrnej kołysce. Cholera, która wtedy nawiedziła miasto pociągnęła wiele ofiar. Choć było to pierwsze z odnotowanych tak dramatycznych wydarzeń w historii miasta, nie było ostatnie. Lata 1715, 1723, 1728 to seria tragicznych epidemii, dla których miejscowy cmentarz przy kościele świętego Jakuba (dzisiaj świętej Anny) okazał się za ciasny. Chowano na terenie poza ogrodzeniem cmentarnym z czasem włączonym w przestrzeń chrześcijańskich pochówków. Pisano wtedy: zboże pogniło od wilgoci, powietrze stało się ciężkie, bydło ryczało w zagrodach, obfitość gadów i owadów postrzegano wszędzie. Ludzi ogarniały dreszcze, gorączka, ociężałość i niemoc. Ratunku upatrywano w izolacji od sąsiadów... i kobiet. XVI wieczny autor notuje społeczny dramat tej izolacji, kiedy pisze: „Białogłowy są zawsze sposobniejsze do zachwycenia powietrza. Przeto najlepiej tą gadzinę z domu wysłać, chceszli, aby cię nie zaraziła”. Ucieczka z miasta do okolicznych lasów i modlitwa; błagalne wołanie do Boga o ustanie zarazy były jedynym remedium.

W Tarnowskich Górach od roku 1676 notuje się doroczną pielgrzym-

kę mieszkańców miasta do sanktuarium Matki Bożej w Piekarach Śląskich jako wotum dziękczynne za zatrzymanie nad miastem zarazy. Przez Radzionków, Rudne Piekary wędrowałem i ja z Piekar jako ośmiolatek obwieszony różańcem z cukru, który kupiła mi na piekarskim „sztandzie” moja babcia. Pielgrzymka wyrusza zawsze w niedzielę po 2 lipca, bo ta pierwsza, morowa wyruszyła dokładnie 2 lipca 1676 roku. Ślubowana pielgrzymka tarnogórzan do Matki Boskiej Piekarskiej jest zjawiskiem unikatowym. Pra...prawnukowie są wierni ślubowaniu swoich prarodźców. Trwa nieprzerwanie. Za sześć lat będzie jubileusz, 350-lecie tarnogórskiego pielgrzymowania do Piekar Śląskich. Przed laty pielgrzymka ta była paradą pobożności i tradycji. Pielgrzymi wystrojeni jak każe zwyczaj górnośląski nieśli do Piekar parafialne świętości: sztandary, feretrony, chorągwie – znaki parafialnych zespołów i formacji. Podziwiałem wytrwałość i upór tych ludzi, bo chociaż do Piekar z Tarnowskich Gór jest tylko dwanaście kilometrów, te „meble”, które niosła na swoich ramionach tarnogórska młodzież nie były lekkie.

Ustanie zarazy w Tarnowskich Górach łączone z pielgrzymką mieszkańców do Piekar Śląskich rozlało piekarski wizerunek. Jezuici, którzy podjęli się dzieła odnowy religijnej na Górnym Śląsku promowali Obraz i byli jego kustoszami. W roku 1680, kiedy epidemia pustoszyła ziemie monarchii habsburskiej, obraz powędrował do Pragi. W uroczystej procesji został wniesiony do katedry świętego Wita na Hradczanach i tam w wyniku dobroczynnych skutków nawiedzenia został oficjalnie przez biskupa Pragi Jana Fryderyka Waldsteina ogłoszony cudownym. Tryumfalny powrót wizerunku do Piekar odnotowują kroniki. Obraz był obnoszony ulicami Ołomuńca, Hradec Kralowe, Klodzka, Nysy, Opola. Pamiątką tego tryumfalnego powrotu wizerunku jest kopia obrazu przechowywana obecnie w muzeum sanktuarium piekarskiego. Kopia jest wyrazem wdzięczności miasta Hradec Kralowe, którego panorama przedstawiona została u podstawy wizerunku. Przed tą właśnie kopią modlił się król Jan III Sobieski w pochodzie z odsieczą pod Wiedeń.

Dzisiaj, kiedy człowiekowi coraz trudniej odnieść swoje życie do Boga,

opisy cudownych uzdrowień wydają się być pozbawione rzeczowych podstaw, a liczne pamiątki tragicznych doświadczeń, jak cmentarze choleryczne, słupy i kolumny morowe nie budzą respektu, raczej postrzegane są jako pamiątki historyczne. Choć przecież wczoraj, jak zauważa Norwid, to tak jak dziś, tylko że wczoraj. Te same obawy, lęki, niepewność i doświadczenie bezsensu ludzkiej egzystencji.

Z moich wędrowek wakacyjnych zapamiętałem rozmowę z mieszkanką miejscowości Čičmany w rejonie Wielkiej Fatry, zwanej po niemiecku Zimmermannshau z racji wyjątkowej cieszności charakteryzującej tamtejsze wiejskie zabudowania. Pojechałem oglądać malowane chałupy. Rzeczywistość była siermiężna, bo komunistyczna, na słupach przydrożnych porozwieszane megafony, dzięki którym wieść była skomunikowana. Ponieważ śniadanie poprzedziłem znakiem Krzyża, gaździna, która mnie gościła doszła do przekonania, że jestem człowiekiem wierzącym i podjęła ten wątek, komentując mój gest religijny następująco: „Mamy teraz we wsi głośniki z których płynie oświata dla ludu. Dawniej, kiedy krowa dawała gruźlicze mleko i ludzie chorowali mówiło się, że to dopust Boży. Teraz już wiemy dzięki tej oświacie, że winne wszystkiemu są bakterie”. Babinie Pan Bóg z bakteriami się pomieszał. Siedzę – wirtualnie – pod słupem morowym w Oleśnie na Wielkim Przedmieściu. Piszą, że jest to kapliczka wotywna, pamiątka zarazy z roku 1630. Wiadomo, jest to czas wojny trzydziestoletniej, której pamiątką są tak makabryczne „obiekty”, jak słynne ossarium w Kutnej Horze czy nasza „skromna” kaplica czaszek w Czermnej koło Kudowy. Być może bakterie i wirusy jeśli nie miecz zabiły tych ludzi, lecz pramatką tych wszystkich nieszczęść była wojna. Wojna przyniosła do Europy dzumę z Kaffy, wojna światowa była także przyczyną zjadliwej Hiszpanki. Myślę w tym miejscu o beztrojskich pasażerach lotów podróżujących na rajskie wyspy, wracających z chorobą. Jawi się bezmyślna ofiara pandemii, lekceważąca nakazy kwaran-tanny. Tu już nie szczury, pchły rozsączające chorobę i wirusy ważą, lecz pierwiastek ludzkiego nieuporządkowania. Słup morowy w Oleśnie jako pamiątka zarazy nie jest jednak kolumną wotywną, To latarnia zmarłych. Być

może kiedyś stała na cmentarzu cholerycznym, może na rozdrożu. Latarnie umarłych stawiano na cmentarzach, przy szpitalach, przytułkach i leprozoriach, wszędzie tam, gdzie obecna była śmierć. Ostrzegały przechodniów przed niebezpieczeństwem zakażenia, a na cmentarzach rozświetlały mrok, w którym mogły kryć się pokutujące dusze i upiory. W zamyśle budowniczych miała wędrowców informować swym światłem o zbliżaniu się do miejsca świętego: między ziemią a niebem, czyli do miejsc związanych ze śmiercią. Konstrukcja latarni była rozwiązana w taki sposób, by światło mogło być widoczne ze wszystkich stron i rozświetlać mrok tego miejsca.

Droga Krzyżowa w Wielki Piątek roku 2020. Plac świętego Piotra w Watykanie. Dla pięknoduchów wydarzenie budzące najwyższy estetyczny zachwyty. Nikt dzisiaj nie przeszkadza w kontemplacji piękna oświetlonej kolumnady Berniniego. Wspaniała architektura. Son et lumiere. To właśnie ściągają ludzi. Ludzie dzisiaj mają pieniądze. Stać ich na glazurę. Co warto liczyć wiedzą wszystkie biura podróży tak boleśnie dzisiaj wstrzymane w pędzie. Na placu świętego Piotra panował także osaczający mrok z jego bezbrzeżną głębią, bardziej jak na cmentarzu. Papież stojący na pustym placu widział tylko jarzący się Krzyż i był on jak latarnia, która jest jedynym światłem w tym mroku. Kogo nie zawiodła intuicja, którą podpowiada doświadczenie religijne, być może usłyszał wtedy wołanie od Krzyża: „kto idzie za mną, nie chodzi w ciemności” i pochylił się przed tym znakiem jak każde wielkopiątkowa liturgia, z miłością i pokłonem.

Słupów, lub inaczej kolumn morowych na Górnym Śląsku mamy kilka: w Raciborzu, Głubczycach, Prudniku, Głogówku, Krzanowicach. Wymowne są także na Dolnym Śląsku. Wznoszone były w krajach katolickich jako wyraz wdzięczności Ludu Bożego za ocalenie z zarazy, ognia i wojny. Nie były jak latarnia umarłych znakiem oznaczającym miejsce cmentarne, lecz znakiem określającym przestrzeń, w której odrodziło się życie. Budowano je w okresie baroku po ustaniu zagrożenia tureckiego i wojen religijnych jako dzieła wotywnie. Uważano widocznie, że wdzięczność jest przejawem doświadczenia Miłości Boga, która ocala i rozświetla wszelki mrok, dlatego należy do przejawów religijnej intuicji. Kolumny wieńczyły zwykle wizerunki Matki Bożej Zwycięskiej lub wyobrażenia Trójcy Przenajświętszej. Przedstawiano także patronów od zarazy, ognia, wojny, herezji. Byli nimi święci Roch i Sebastian, Rozalia, Florian, Karol Boromeusz, Franciszek Ksawery, Michał Archanioł; czasami patroni



Słup morowy w Wiedniu. Fot. Andrzej Otrębski

miast jak święty Marcełi papież, w kolumnie maryjnej w Raciborzu ufundowanej przez hrabiego Karola Gaszy-  
na. Pierwowzorem dla tych wotywnych budowli była kolumna w bazyliki Maksencjusza w Rzymie wzniesiona w roku 1614 przed Bazyliką Matki Bożej Większej przez papieża Pawła V dla posągu Matki Bożej.

We Wiedniu, gdzie znajduje się najbardziej okazała kolumna morowa z czasów cesarza Leopolda I miała miejsce 16 listopada 2011 roku instalacja Jadwigi Sawickiej nawiązująca do estetyki reklamy, ale ideowo umocowana w tradycji tego typu przedstawień epoki baroku Habsburgów. Na Maria Hilferstrasse, czyli w miejscu

bardzo uczęszczanym artystka, niegdyś studentka Jerzego Nowosielskiego zainstalowała siedmiometrową konstrukcję metalową na której wizualnie i akustycznie w trzech językach „wykrzyczała” ostrzeżenie nie tyle przed koronawirusem czy inną wiadomą bakterią, lecz przed depresją, w którą popada człowiek. Ostrzeżenie zawarte było w dwu krótkich komunikatach:

PRACUJEMY, KUPUJEMY, CHORUJEMY

PŁAKALI, KRZYCZELI, ZGINĘLI.

Prezentacja ta odbyła się w ramach polskiej prezydencji w Radzie Europejskiej. Wydarzenie miało miejsce na wiele lat przed tą sytuacją, jaką obecnie przeżywamy.

# Fragmenty i różne myśli II

PIOTR CZAADAJEW

Przełożył MARIAN KISIEL

**29** Myślano, by odnieść wielkie przepowiednie Apokalipsy do określonych epok. Głupi pomysł. Myśl Apokalipsy jest niepojętą lekcją, bezwarunkowo odnoszącą się do każdej chwili nieskończonego czasu, do wszystkiego tego, co z dnia na dzień dzieje się wokół nas. Codziennie słyszy się stamtąd rozbrzmiewające głosy; codziennie widzimy przerażające potwory, które stamtąd się wyłaniają; jesteśmy bezustannymi świadkami zgrzytania maszyny świata, która się w niej porusza. Słowem – codzienny, wieczny, wszechświatowy dramat – oto czym jest piękny poemat św. Jana; rozwiązanie tego dramatu nie jest takie samo, jak w dramatach zrodzonych przez naszą wyobraźnię, lecz – zgodne z nieskończonym prawem – trwa wiecznie i zaczyna się wraz z początkiem działań.

**30** Marzyciele, którzy interpretowali Apokalipsę, czynili to w poczuciu misji. Wszystkie szaleństwa, jakim dała powód święta księga, nigdy nie były nadaremne, wszystkie można objaśnić. Na przykład, milenaryści byli pozytywnie potrzebni; bez milenarystów nie byłoby wypraw krzyżowych. Wyprawy krzyżowe zaś w każdym przypadku były konieczne. Po pierwsze, bez z nich nie mogłoby kształcić się nasze społeczeństwo. Dalej, bez tego pouczającego zjawiska rozumowi ludzkiemu brakowałoby największego przykładu możliwości entuzjazmu uczuć religijnych i nie byłoby właściwej miary dla wielkiego Poruszydela wszystkich zjawisk na tym świecie. W końcu, bez niego nadchodzące pokolenia nie miałyby wspomnienia wielkiego, koniecznego, spełnionego nauczania i zaskakująco owocnych myśli.

**31** „Jest człowiekiem rozsądnym – mówicie – lecz, jak wszyscy, goni za szczęściem, dlatego tak się uwija”. Popatrzmy, co przede wszystkim potrzebne jest do szczęścia? Czy nie należy być zadowolonym z siebie i ze wszystkiego na świecie? Ale ja was Doskonałym sposobem, pytam, czy tylko dostępne jest to wyłącznie głupcowi? Moim zdaniem, doskonałym sposobem odwiedzenia ludzi od pragnienia szczęścia, jest wykazywanie im, że szczęśliwi mogą być tylko głupcy.

**31a** Niewątpliwie, szczęście, do jakiego dąży wielu ludzi, niemożliwe jest bez głupiego zadowolenia z siebie i innych. Żeby takie szczęście osiągnąć, ludzie dążą do bogactwa, honorów, sławy. Ale kiedy już to wszystko zostanie osiągnięte, czyż nie trzeba jeszcze uznać się za najmądrzejszego i najdoskonalszego z ludzi i zadowalać się wszystkim, co dzieje się wokół nas? Czyż bez tego byłoby szczęście? Bez względu na to, jak wyobrażamy sobie dobrobyt na ziemi, dla pełni tego dobrobytu zawsze potrzebne jest głupie samozadowolenia i jeszcze bardziej głupia obojętność na wszystko wokół. Starożytni dobrze o tym wiedzieli. Bardziej szczerzy od nas, bardziej naiwni niż my, nie mieli innej moralności niż ta. Kim jest ich mędrzec? Aroganckim głupcem, podziwiałym siebie, nieczułym na to, co dzieje się wokół niego. Pod tym względem nie ma różnicy między Epikurem i Zenonem. Taki jest najdoskonalszy ideał najwyższej mądrości, który człowiek zdołał stworzyć dla siebie. Jakaż przepaść między tą filozofią, ospałą, nieruchomą, miazdzącą, a tą, która nam mówi: szukajcie królestwa niebieskiego, a cała reszta pójdzie za wami. Wszelako, cóż może być prostszego niż nauczanie zawarte w tych pięknych słowach Zbawiciela? Nie szukajcie, rzekł on, dobra dla siebie samych, szukajcie go dla innych – ono niechybnie do was przyjdzie, nawet jeśli się o to nie będziecie troszczyć; czyż wasze osobiste szczęście nie jest zawarte w szczęściu wspólnym?

**32** Odrzuć samolubstwo, odrzuć egoizm. Żyć dla innych, to żyć dla siebie. Życzliwość, nieskończona miłość do sie-

bie podobnych – oto, uwierzcie mi, prawdziwe błogosławieństwo; innego nie ma.

**33** Czyż każdy ruch rzeczy nie jest rezultatem dźwiękowych i harmonicznym wibracji, powietrznego fluidu bądź jakiegoś innego podobnego fluidu, jeszcze bardziej subtelnego, bardziej eterycznego, który przenika w najgęstsze ciała i oddziałuje bezpośrednio na tworzące je elementarne molekuly?

**34** Dźwięk jest czymś, co działa na nasz organ słuchu. Ale dlaczego nie może być, zgodnie ze swoją harmoniczną istotą, początkiem albo przyczyną niezliczonego bogactwa zmian i przeobrażeń substancji, prawa i przyczyny, które nie są nam jeszcze znane.

**35** Wibracje powietrza – oto czym jest w istocie dźwięk. Ale czy powietrze może wibrować, nie oddziałując w znany sposób na otaczające go ciała? Przecież coś przeciwnego zostało już udowodnione.

**36** Niewątpliwie, powietrze znajduje się w ciągłym ruchu. Dlaczegoż więc, na przykład, tym nieprzerwanym ruchem oddychającej przyrody nie mogą zostać wytłumaczone niektóre z nieobjaśnionych zjawisk przyrody organicznej, zachodzące wewnątrz ciał, jak te: wschodzący ruch soków w roślinach, krążenie krwi u zwierząt itd., zjawisk będących tak czy inaczej w sprzeczności ze znanymi nam prawami przyrody, a konkretnie z prawem powszechnej grawitacji. Ja, na przykład, nie rozumiem, dlaczego w wyniku tego ruchu nie mogłaby powstać jakaś harmonia między cząsteczkami substancji w mózgu, włóknami itp., będącymi z sobą w określonych harmonicznym relacjach, bądź to w tej samej istocie, albo w różnych, i dlaczego te harmonie nie mogą doprowadzić do niektórych działań, które nas zadziwiają? Jeśli falujący ruch powietrza może powodować wibracje struny naciągniętej w harmonii z inną struną, dlaczego, pytam, z tego samego powodu nerw nie może doświadczać identycznych wibracji?

**37** Oczywiście, że są to na razie tylko pytania, lecz gdyby na te pytania były odpowiedzi, jakież ogromne możliwości zastosowania odkryłyby się wtedy dla nauki o liczbach i jak zostałby rozszerzony obszar matematycznego prawdopodobieństwa!

**38** Czy istnieje nieskończoność przestrzeni – nie wiem, ale wiem, że istnieje nieskończoność czasu, że ta nieskończoność, ten niezmienny czas trwania, ta nieskończona ciągłość wszystkiego jest życiem lub doskonałym istnieniem. A przede wszystkim: skończoność jest wielością, a nieskończoność – nie. Idea wielości łączy się w moim umyśle z ideą zniszczenia; idea jedności jest zgodna z ideą wieczności. Tak więc zniszczenie jest dla mnie złem, wieczność – dobrem, zło dąży tylko do zniszczenia, dobro – tylko do zachowania; dlatego wieczność, dobro, życie są jednym i tym samym.

Nazywam to dwoma *skończonymi ideami* ludzkiego umysłu, ponieważ znajdują się na dwóch końcach tej linii, która jest jego miarą. Wszystkie inne idee człowieka są zawarte w tych ideach lub są z nimi powiązane, dlatego umysł człowieka nie może wiedzieć niczego, co nie byłoby związane z ideą zniszczenia lub ideą zachowania. Będąc podstawą wszystkich naszych sądów, i nie tylko sądów, ale także wszystkich naszych uczuć, te granice, w których zachodzi cały ruch naszego umysłu, są, dla nas nieświadomie, prawem naszego myślenia. Zważmy, że nawet idee liczbowe, bez względu na to, jak obce są tym koncepcjom, wcale nie przekraczają ich granic, ponieważ idee liczbowe są ideami dzielenia i dodawania: dzielić oznacza niszczyć, dodawać oznacza wytwarzać.

Mysł moralna zwłaszcza, moim zdaniem, nie może mieć innej podstawy niż ta. Każda idea doskonałości, piękna, harmonii, cnoty, miłości jest jedynie modyfikacją idei zachowania; każda idea niedoskonałości, brzydoty, niezgody, wady, nienawiści jest modyfikacją idei zniszczenia. Nie możemy wyobrazić sobie niczego dobrego lub pięknego bez przypisywania mu jednocześnie trwania, ciągłości, stabilności lub wyobrazić sobie zła, hańby, bez łączenia ich z ideą niestabilności, nieciągłości, anihilacji. Tak więc, nasz umysł stale przebywa między myślą o życiu i śmierci, i tylko te dwie myśli tak naprawdę nim rządzą.

Należy zauważyć, że poczucie samoobrony wcale nie wchodzi w obręb tych elementarnych koncepcji naszego umysłu. Początek samoobrony jest początkiem świata zwierzęcego, całkowicie odmiennego od początku moralności. Powinno się je połączyć, żeby stworzyć idealne życie; dokładnie tak uczyniła filozofia chrześcijańska, wprowadzając ideę wiecznego zbawienia jako dobra doskonałego.

**39** Założymy, że historyczny fakt potwierdzenia chrześcijaństwa zostanie wyjaśniony w najbardziej naturalny sposób, na wzór na przykład rozwoju judaizmu pod wpływem jego zmieszania się z filozofią wschodnią i filozofią grecką. ... należy zapytać, gdzie są dowody na obalenie tezy o Objawieniu? Kiedy więc Zbawiciel potwierdził, że Ojciec objawił mu się w niezwykłym i nagłym wydarzeniu, w którym on sam, na przykład, ukazał się później apostołowi Pawłowi? A czyż nie mówiono nam, że dziecko było *posuszne i słuchało nauczycieli*, i że jeszcze *wzrastało i krzepło na duchu*?

**40** Istnieje historyczna prawda faktu, istnieje historyczna prawda znaczenia; w historii istnieje analiza, lecz istnieje w niej i synteza; powiedziałbym nawet, że w historii istnieje *a priori* w nie mniejszym stopniu niż *a posteriori*.

**41** Bez wątpienia, najbardziej prawdziwe w historii jest nie to, co ona opowiada, ale to, co ona myśli, co sobie wyobraża, co wymyśla. W tym sensie, poetyckie przedstawienia mogą być bliższe prawdy niż najbardziej sumienna opowieść, podobnie jak czyste rozumowanie jest często bardziej wiarygodne niż doświadczenie. Związek między wydarzeniami można sobie tylko wyobrazić, nie znajdzie się go w kronice; tutaj bezużyteczne są wnioski czysto racjonalne, ponieważ rozum ostatecznie nie jest w stanie opanować przeszłości, która jest całkowitą własnością wyobraźni i poezji. Ponadto, naoczny świadek bardzo często, a być może i nigdy, nie postrzeżenia wydarzenia takim, jakim ono było, dlatego po stuleciach przenikliwy myśliciel wyobraża sobie wydarzenia historyczne dokładniej niż współczesny, który w nich uczestniczył. Co powinien być z tym zrobić myśliciel? Wyjść od zasady stojącej poza biegiem wydarzeń historycznych, tj. od zasady apriorycznej. Oto zmyślenie, a zarazem najwyższa historyczna prawda. Można powiedzieć, że ta prawda nie istnieje w samej historii, ale została wprowadzona w nią przez myśl. Taką prawdę znajdujemy u Niebuhra, u Guizota i innych.

**42** Po tym, jak wiele powiedziano, pozostaje jeszcze rzecz rozwikłać. Wtedy wielość zjawisk, chaos faktów niknie, podlegając zrozumieniu; w miejsce opowieści pojawia się argument, sylogizm i, ostatecznie, moralne prawo czasu.

**42a** Na przykład, historia naszego kraju została niedostatecznie opowiedziana; nie znaczy to jednak, że nie należy jej odgadywać. Myśl bardziej silna, bardziej przenikliwa niż myśl Karamzina kiedyś tego dokona. Rosyjski naród dowie się wtedy, czym jest, lub, dokładniej, czego w nim nie ma. Teraz uznaje się za taki sam naród, jak inne; wtedy, jestem przekonany, ze strachem upewni się o swojej moralnej nicości; dowie się, że Opatrzność na razie dawała mu żyć tylko dlatego, żeby mieć w jego postaci dynamiczną siłę na świecie, a wcale nie dlatego, żeby mógł się świadomie wyrazić. Wtedy zrozumiemy, że mamy wszystko na ziemi, lecz jeszcze nie istniejemy. Podobnie jak narody, które wykształciwszy swoją wspólnotę, były z początku wezwane na arenę świata jako materialna siła i zajęły swoje miejsce w porządku świadomym tylko po tym, jak zaczęły przestrzegać jarzma jego praw, dokład-

nie tak samo i my w obecnym czasie przedstawiamy tylko siłę fizyczną; siłą moralną staniemy się wtedy, kiedy uczynimy to, co uczyniły one. Lecz kiedy to będzie?

**43** Ignoranta, w moim przekonaniu, przyrównać można do niezdarne go cyrkowca na linie, który stojąc na jednej nodze, niezręcznie szuka równowagi w drugiej nodze. Ale i zły cyrkowiec żąda zapłaty za swoje sztuczki. A ten inny cyrkowiec, co dostanie za swoją pracę? O ile mi wiadomo, nic prócz zmęczenia. Kiedy widzimy, jak balansuje, robi się nam z jego powodu strasznie; chciałoby się mu podać pomocną dłoń i powiedzieć: zejź, przyjacielu, inaczej skrećisz sobie kark.

**44** „Many are poets, that have never penns” – powiedział Byron. Lecz cokolwiek by powiedział, jedna myśl nie tworzy poety, powinien on jeszcze umieć ją wyrazić, ponieważ myśl poetycka nie jest pełna, jeśli nie jest obleczona w słowo. Natchnienie poetyckie, w moim przekonaniu, o tyle jest natchnieniem słowa, o ile jest natchnieniem idei. Myśl jest milcząca, myśl jest bezcielesna, tymczasem cała poezja jest cielesna, nawet jeśliby, jak w obecnym czasie, była wyłącznie racjonalna. Nie można być poetą w prozie. Wszyscy wielcy prozaicy, których zaliczają do poetów – Fenelon, Buffon, Rousseau – nie posiadli, w moim przekonaniu, w najmniejszym stopniu daru poetyckiego tworzenia. Określa go materialny element tego daru. Żądam od poety, żeby wstrząsnął moimi nerwami tak samo, jak moją duszą.

**45** Poezja dana jest po to, aby połączyć świat fizyczny z rozumowym i żeby uwieść rozum tym połączeniem. Muzyka była wezwana do tego samego i poprzedzała poezję, lecz sama nie byłaby zdolna tego uczynić; opierał się jej rozum. Trzeba było oszukać rozum; tak powstała poezja.

**45a** Mają rację ci, którzy w swoich spekulacjach opierają się na prawie sprzeczności; jest to bez wątpienia największe prawo, ale w odniesieniu do Boga nie ma większego zastosowania niż jakiegokolwiek inne prawo stworzone przez ograniczony umysł człowieka; istota Boga polega bowiem na tym, że w jego wszechmocy znika wszelka sprzeczność, i to, co dla nas jest niemożliwe – możliwe jest dla niego.

**46** Kiedy rozum pojedynczo dąży do tego, by poznać Boga, stwarza sobie Boga własnymi rękami, nie próbując zrozumieć *Boga istniejącego*. Dlatego, gdyby Bóg nie objawił siebie ludziom, człowiek znałby tylko tego Boga, który jest tworem ludzkich rąk.

Ale mówią: azali objawił się On człowiekowi w całej swej pełni? Wcale nie. On pokazał się na tyle, na ile to było konieczne dla tego, aby człowiek mógł Go poszukać w tym życiu i znaleźć Go w innym – ot i wszystko.

**47** Kim są aniołowie? Rozumnymi istotami, które przekraczają rozumową istotę człowieka i są niedostępne naszym zmysłom. Dlaczego mieliby nie istnieć? Wydaje mi się, że jest to kwestia nie wątpliwości, ale niewiedzy. Księga Rodzaju nie wspomina o stworzeniu aniołów, ale przecież w ogóle nie mówi o powstaniu wszystkich rzeczy, a tylko o tym, co odnosi się do człowieka. Jest to, moim zdaniem, jedna z najbardziej ją odróżniających cech od wszystkich znanych kosmogonii; jeden z najważniejszych dowodów prawdziwości tego pochodzenia, które jej przypisują. Mówi się w niej tylko to, co trzeba było powiedzieć; czyż nie przypomina to fizycznej *zasady najmniejszego działania*? Później w Biblii spotyka się wielu aniołów; ale jest to język tamtych czasów. Bóg może rozmawiać z człowiekiem tylko w języku człowieka; nie powinno nas dziwić, że on chce, żeby człowiek rozumiał go, kiedy się zniża, zwraca do niego.

Ale wiara w aniołów nie powinna się na tym zatrzymać, w przeciwnym wypadku każde słowo świętej księgi stawałoby się dogmatem.

**48** A zatem, czy nauka o aniołach jest wiarą? Bezwzględnie, nie. Co więcej, czy człowiek stworzony na obraz Boga może przyznać prawa do istnienia bytom wyższego porządku niż on sam? Wątpię w to. Jezus nie był aniołem, lecz był Bogiem i człowiekiem jednocześnie. Myślę więc, że jest wątpliwe, aby między mentalną naturą człowieka a mentalną natu-

ra Boga istniała jakaś pośrednia natura. Wszakże wyjątkowo prawdą jest to, że przez cały czas ogół, tak samo jak najgłębsze umysły, był skłonny uznawać istnienie bytów bardziej doskonałych od naszych własnych. Możemy nie przywiązywać do tego przekonania żadnej uwagi, ale odrzucać je jako rażąco przesadę, wydaje mi się przesadę jeszcze bardziej rażącym.

**49** Swedenborg był człowiekiem głębokiej myśli. Ale się mylił, tworząc teorię ezoteryczną; to tylko zmniejszyło efekt, który jego prace przyniosłyby same z siebie. Ale co się tyczy jego krótkiej znajomości z siłami niebieskimi, to tutaj nie ma się czemu dziwić. Byłbym znacznie bardziej zdziwiony, gdyby przez to, jak jego umysł był skonstruowany, nie był z nimi w zażyłych relacjach.

**50** Często słyszymy, że sen jest podobny do śmierci; jest to całkowita nieprawda. Znajduję, że właśnie sen jest bardziej prawdziwą śmiercią, a to, co nazywa się śmiercią, być może nawet jest życiem? We śnie życie mojego *Ja* przerywa się, w śmierci tak nie jest; albowiem, gdyby wtedy moje *Ja* przestało istnieć, nastąpiłoby zniszczenie. Z grobu nie ma powrotu, ale po śnie wracamy do swego *Ja*. Wszelako, czy to jest życie, kiedy się nie myśli, że się żyje, choćby przez chwilę?

**51** Rzecz w tym, że prawdziwa śmierć zawiera się również w samym życiu. Bywamy martwi, dosłownie martwi przez połowę naszego życia – bez przesady, bez alegorii, ale w literalnym, źródłowym sensie słowa *martwy*. Tysiąc razy na dzień, jeśli uważnie popatrzycie na siebie samych, zobaczycie, że na chwilę przed tym nie było w was więcej życia, niż przed narodzinami; że nie było w was najmniejszej świadomości swoich czynów, ani nawet poczucia własnego istnienia. Gdzie więc tu było życie? Życie drzewa, w najlepszym wypadku życie zoofitu, nie jest życiem animalnej istoty, a nawet, co oczywiste, nie jest życiem istoty rozumnej.

**52** Życie wymyka się nam od czasu do czasu, potem wraca, ale błędem byłoby twierdzić, że żyjemy nieprzerwanie. Życie rozumne przerywane jest za każdym razem, kiedy traci się świadomość. Im więcej takich minut zapomnienia, tym mniej świadomego życia, a jeśli nie ma nic prócz takich minut, to jest śmierć. Aby umrzeć w ten sposób, nie trzeba odchodzić z tego życia, a innej śmierci, oczywiście, nie ma. Śmierć w życiu jest tylko śmiercią.

**53** Zgódźmy się jednak. Kiedy mówię: świadomość, nie mam na myśli świadomości ideologicznej, na której zbudowana jest współczesna filozofia – proste poczucie naszego istnienia. Mam na myśli inną świadomość, dzięki której nie tylko czujemy, że żyjemy, ale i wiemy, jak żyjemy. Mam na myśli dawaną nam moc, aby w każdym momencie wpłynąć na następną minutę, tworzyć przez siebie własne życie zamiast pozostawiać je własnemu biegowi, tak jak czyni to bydło. Ostateczna utrata tej świadomości – oto co zabija bezpowrotnie, a wiecie dlaczego? Dlatego, że jest wieczną klątwą. Czyż może rozumna istota sprowadzić na siebie większą mękę niż nieistnienie?

**122** Jest oczywiste, że w dniu, w którym Bóg dał człowiekowi wolną wolę, wyrzekł się części swego panowania na świecie i zapewnił miejsce dla tego nowego początku w porządku świata; oto dlaczego można i powinno się nieustannie apelować do niego o nadejście jego królestwa na ziemi, tj. o to, żeby raczył przywrócić porządek rzeczy, które panowały na świecie, dopóki nadużywanie ludzkiej wolności jeszcze nie wprowadziło do niego zła. Ale prosić go, jak tego oczekują niektórzy nasi nauczyciele, aby jego królestwo było w niebie, jest bezmyślne, ponieważ jego królestwo nigdy nie zostało tam przerwane, wiemy zaś, że umysły ze swej natury przeznaczone do przebywania w niebie, które wypowiedziały posłuszeństwo Bogu, wygnano stamtąd, inne natomiast, oświetlone niegasnącym światłem tam świecącym, nigdy nie nadużywały swojej wolności i zawsze kroczyły Bożymi drogami. Trzeba też powiedzieć, że gdyby wskazany system był prawdziwy, póki nie nadeszło królestwo Boże, nie króluje on nigdzie, ani na ziemi, ani w niebie. Chcielibyśmy wierzyć, że ta kolejność nie była utracona przez zwolenników owego nauczania.



**123** Dobro, przyniesione przez chrześcijaństwo, potwierdzają to nasi „nauczyciele”, kiedy pojawiło się, wcale nie powinno się było pojawić, a pojawiło się całkiem zwyczajnie; chrześcijaństwo powinno było wpływać na osobowość; nie ma ono nic do społeczeństwa i całego rodu ludzkiego. Ludzkość, ich zdaniem, istnieje ku śmierci i powinna do niej zdążyć; Jezus Chrystus nie przyszedł i nie powinien być jej przyjść z pomocą. Powtarzam, chrześcijaństwo zwraca się właśnie do osobowości, jeżeli zaś było ono pomocne ludzkości, to stało się to przez niedopatrzenie. Albowiem chrześcijaństwo wcale nie troszczy się o ziemskie dobra, zajmuje się tylko dobrem niebieskim. Świat nieuchronnie powinien dojść do zupełnego bezład; nie zatrzymujcie jego ruchu, który prowadzi go do zniszczenia! W końcu, przekazana przez Zbawiciela wzniosła modlitwa: „przyjdź królestwo Twoje”, która niejako zawiera w sobie całą społeczną ideę chrześcijańskiego nauczania, zbieżna jest z tym poglądem, jest jedynie nieskromnym życzeniem, któremu nigdy nie jest sążone, by się spełniło. Jasne jest, że ten punkt widzenia nadmiernej lub nieoświeconej ascezy zasadniczo nie różni się wcale lub różni bardzo niewiele od poglądu ateistów, ponieważ zaprzeczają oni również dobrym uczynom chrześcijaństwa lub uważają je za mimowolną konsekwencję tej religii na tej bezsprzecznej podstawie, że nie dba o ziemskie sprawy.

**124** Są ludzie, którzy rozumem stwarzają swoje serce, są i inni, którzy sercem stwarzają swój rozum; ostatni mają więcej czasu niż pierwsi, ponieważ w uczuciu jest o wiele więcej rozumu niż w rozumie uczuć.

**125** Religia poczyna się z wiary w to, co chce poznać; to jest droga wiary; nauka przyjmuje coś na wiarę, potwierdzając to tylko drogą serii zbieżnych sobie faktów: to jest droga indukcji; i ta, i tamta, jak widzimy, różnymi drogami dochodzą do tego samego rezultatu – do poznania.

**126** Religia jest poznaniem Boga. Nauka jest poznaniem wszechświata. Lecz z jeszcze większym przekonaniem można twierdzić, że religia uczy poznawać Boga w jego istocie, a nauka – w jego działaniu; tym samym, obie prowadzą do Boga.

W nauce zawarte są dwie różne rzeczy: treść albo osiągnięcia

– z jednej strony, a także sposoby i metody – z drugiej; dlatego, kiedy mowa jest o określeniu jej relacji do przyrody, należy jasno wyjaśnić, czy chcemy mówić o samej istocie nauki, czy o jej metodzie; a tego właśnie się nie czyni.

**127** Nic łatwiejszego niż kochać tych, których kochamy; lecz trzeba trochę kochać i tych, których nie kochamy.

**128** Są tylko trzy sposoby na bycie szczęśliwym: myśleć wyłącznie o Bogu, myśleć wyłącznie o bliźnim, myśleć wyłącznie o idei.

**129** W dziedzinie moralności ruch w przód nie polega tylko na przyjemności, musi być również cel; zaprzeczyć możliwości osiągnięcia doskonałości, czyli dojść do celu, znaczyłoby po prostu uczynić ruch niemożliwym.

**130** Są trzy sposoby wyobrażenia sobie Boga: najpierw, jako stwórcę wszechświata i tym samym jego absolutnego władcę, to – *Bóg-Ojciec*; następnie, jako ducha lub rozum oddziałujący na dusze przez umysły, to – *Duch Święty*; w końcu, jako [jedność] tożsamą z ludzką istotą i przejawiającą się bezpośrednio w ludzkiej świadomości – to *Bóg-Syn*. Są to, jak wiadomo, trzy postaci tego samego Boga i w każdej z nich mieści się on całkowicie. Rozsądek człowieczego ducha zawsze w ten sposób wyobrażał sobie boskość, ale to chrześcijaństwu przypadło w udziale wyrazić niejasne uczucie ludzkości w niezmiennej formie i wprowadzić je do logicznej świadomości człowieka jako integralną część jego istoty. Tym samym *dogmat o Trójcy* wcale nie jest niezrozumiałą tajemnicą, ale raczej jednym z najbardziej oczywistych aksjomatów odrodzonego umysłu.

**131** Są ludzie, którzy nigdy nie czynią dobra wyłącznie dla samej przyjemności czynienia dobra; nie dziwnego, że nie są w stanie osiągnąć *dobra absolutnego*, że – wedle ich słów – rozumieją tylko dobro względne. Osiągnąć doskonałość dane jest tylko tym, którzy do niej dążą tylko po to, aby się z nią zespolić.

**132** Społeczeństwo jest zmuszane, by iść do przodu, nie przez tych, którzy wahają się między prawdą i kłamstwem, owych tancerzy na linie, ale przez ludzi z zasadami. Logika złotego środka może zatem, w najlepszym wypadku, przedłużyć na jakiś czas istnienie społeczeństwa, ale nigdy nie posunie go o krok do przodu. Owocne są jedynie fanatyzm perfekcji, zamiłowanie do prawdy i piękna.

**133** Prawo karne nie tylko ochrania społeczeństwo, jego celem jest możliwie maksymalna poprawa losu człowieka. I te dwa zadania są z sobą idealnie zespolone; co więcej: żadne z nich nie może funkcjonować bez drugiego. Prawo karne ma nie tylko chronić społeczeństwo przed wewnętrznym wrogiem, ale także rozwijać poczucie sprawiedliwości. Z tego punktu widzenia należy wziąć pod uwagę wszystkie formy kary, a nawet karę śmierci, która w żadnym wypadku nie jest odwetem, a jedynie groźną nauką, której skuteczność, niestety, jest bardzo wątpliwa.

**134** Jak wszystkim wiadomo, chrześcijaństwo od samego początku było żywo atakowane i tylko na drodze desperackiej, namiętej, świadomej walki doszło do dominacji nad światem. Mimo to, znaleźli się w naszym czasie ludzie, którzy w religii Chrystusa upatrują nie co innego, jak mit. Tymczasem, czy ktokolwiek widział, żeby mit powstał w podobnym środowisku i w takich warunkach? Co prawda, dodają, chrześcijańska legenda narodziła się nie wśród warstw wykształconych, wśród Żydów, ale w społeczności ignorantów, skłonnych całkowicie zaakceptować najbardziej absurdalne wierzenia. A przecież to wcale nie tak; widzimy, że jest odwrotnie, że chrześcijaństwo od pierwszego wieku wznosi się na szczyt społeczeństwa i jest natychmiast utrwalane przez najwybitniejsze umysły. Inni zapewniają nas, że chrześcijaństwo jest po prostu sektą żydowską, że wszystkie jego nauki moralne znajdują się w Starym Testamencie, że Jezus Chrystus dodał do nich tylko kilka idei, które były powszechnie znane w jego czasach. Trzeba przyznać, że ten ostatni punkt widzenia, bez względu na to, jak różni się od chrześcijańskiego, wnosi coś, co może w pew-

nym stopniu zaspokoić, jeśli nie pozytywne chrześcijaństwo, to przynajmniej racjonalne chrześcijaństwo. W istocie rzeczy, czy było to prostą ludzką czynnością – nadać życie, ważność i moc wszystkim rozproszonym i beznadziejnym prawdom, zburzyć świat, stworzyć inny, zbudować z całej sterty rozproszonych idei, różnych nauk jednolitą całość, jedno harmonijne, wszechmocne nauczanie o zwycięskiej mocy, brzemienne w niezliczone konsekwencje i zawierające w sobie fundamenty nieograniczonego postępu? I wyrazić całość rozproszonych po świecie prawd moralnych w języku dostępnym wszystkim świadomościom, i wreszcie, uczynić Dobro i Prawdę czymś rzeczywistym? Nie-samowita sprawa! Nawet zredukowane do tych nieznaczących rozmiarów, wielkie zjawisko chrześcijaństwa wciąż nosi znamiona arbitralnego działania wyższego rozumu w takim stopniu, że nie może być objaśnione regułami ludzkiej logiki, bez względu na to, jakie logiczne spekulacje są używane.

**135** Istnieją trzy niezwykłe rzeczy: geniusz, cnota, narodziny.

**136** Brak zadawalających metod filozoficznych szczególnie wyraźnie uwidacznia się przy etnograficznym badaniu języków. Czy nie jest oczywiste, że ani obserwacja, ani analiza, ani indukcja w ogóle nie uczestniczyły w tworzeniu tych wielkich narzędzi ludzkiego rozumu? Nikt nie może powiedzieć, jakim sposobem lud stworzył swój własny język; ale niewątpliwie nie były to jedne z tych metod, do których uciekaliśmy się w naszych logicznych konstrukcjach. To była tylko synteza od początku do końca. Nie można sobie wyobrazić nic bardziej dowcipnego, nic bardziej zręcznego, nic głębszego od różnych kombinacji, jakich lud używa od początku swojego istnienia dla wyrażenia tych idei, które go zajmują i które należy zastosować w praktyce, a tym samym nic bardziej tajemniczego. Ponadto, język ludzi prymitywnych pojawił się na świecie niewątpliwie od razu, a to z tego prostego powodu, że nie można myśleć bez słów. Ale tego, jak powstały te grupy, te rodziny dialektów, na które teraz rozpada się świat – tego wszystkiego nasi filozofowie-lingwiści nigdy nie potrafili wyjaśnić. A właśnie w głębinach tych niesamowitych zjawisk znajdują się najbardziej twórcze metody ludzkiego umysłu, czyli te właśnie, które z wszystkich najważniejszych należałoby zbadać.

**137** Naprawdę chcecie być szczęśliwi? Więc myślcie jak najmniej o swoim samopoczuciu; troszczcie się o cudze; można się założyć, tysiąc przeciwko jednemu, że osiągniecie najwyższych pokładów szczęścia, jakie są tylko możliwe.

**138** Jak wiadomo, według Kanta, praca rozumu spróbuje się do pewnej stałej kontroli naszych własnych spostrzeżeń; jego zdaniem, widzimy tylko naszą własną istotę, dlatego możemy oddziaływać tylko na samych siebie. Oczywiście jest, że ludzki rozum nijak nie mógł się na tym zatrzymać, tak jak nie mógł później zgodzić się punktem widzenia Fichtego, który jest w rzeczywistości nadmiernym rozwojem filozofii krytycznej. Przy czym, to wywyższenie swoje go *Ja*, zapoczątkowane przez Kanta i dopełnione przez Fichtego, powinno było pograć ludzki umysł w jakiejś okropności i zmusić go do tego, żeby otrząsnął się z konieczności polegania w przyszłości wyłącznie na swoich własnych siłach; mimowolnie ludzki rozum musiał szukać schronienia w „absolutnej tożsamości” Schellinga, to znaczy szukać ratunku i pomocy w czymś poza samym sobą, w czymś, czym on sam nie jest. Niestety, rozum zwrócił się ku naturze, ku jeszcze większemu nieszczęściu i, koniec końców, połączył się z naturą. Oto w jakiej sytuacji jest teraz, pomimo pracy filozofii spekulatywnej, pomimo wszystkich mniej lub bardziej subtelnych różnic, które stara się ona ustanowić. Pozostaje teraz, przystając z podobu ludzkiego rozumu, przywrócić go do rzeczywistego podłoża. Taki jest cel filozofii naszych czasów i, jak nam się wydaje, nie spełnia go ona źle, choć być może nie jest świadoma pełnego znaczenia swojej pracy.

**139** Bezsilny wróg jest naszym najlepszym przyjacielem. Zawsistny przyjaciel jest najgorszym z naszych wrogów ■

# Moje rozmyślenia nad książką...

BOGUMIŁ GROTT

Kilka lat temu ukazała się książka, której autorem był Ryszard Surmacz, wówczas dziennikarz współpracujący z „Naszym Dziennikiem”. Tytuł brzmiał *Znów tracimy Śląsk*. Książka stanowi zbiór przemyśleń nad sytuacją w tej dzielnicy Polski, ale nie tylko. Otóż Autor porusza tam i szersze zagadnienia, a wśród nich i takie, jak stan świadomości narodowej współczesnych Polaków. Z przykrością możemy dowiedzieć się od Surmacza o różnych sprawach niewidocznych może na co dzień, czasem nawet ukrytych dość głęboko dla oczu obserwatorów, tym niemniej bardzo ważnych. Jeden z obrzązków, które roztacza przed oczami czytelników to spotkania polsko-niemieckie, w których biorą udział polscy stypendiści w niemieckich ośrodkach naukowych, ludzie, którzy być może w przyszłości będą tworzyli naukę w naszym kraju i choćby pośrednio kształtowali w swoich zakresach poglądy odbiorców ich prac.

Co pisze o tym Surmacz? W sarkastycznym tonie opowiada, jak to na takich właśnie zebraniach można usłyszeć „jako tako obiektywne referaty Niemców”, którzy, starając się zachowywać taktownie w stosunku do gości, odchodzą od dawnego stylu przedstawiania spraw polskich. Natomiast Polacy prześcigają się w powtarzaniu różnych tendencyjnych poglądów, chcąc, jak można się domyślać, podobać się gospodarzom. Robi to bardzo przykre wrażenie. Jak wynika z refleksji Surmacza, w takich sytuacjach nikt nie zamierza bronić racji polskich. Należy natomiast uważać, aby się nie narażać gospodarzom i fundatorom stypendiów. Podobnych konstatacji dziennikarza z „Naszego Dziennika” spotać można w jego książce wile.

Dlaczego tak się dzieje? Skąd biorą się takie postawy? Czy to może odzywa się już dawno piętnowana przez Dmowskiego fatalna skłonność Polaków do tzw. „nie-drażnienia”, uznawana za metodę do załatwiania własnych spraw? Oczywiście mądre kompromisy są czasem pomocne, ale one też nie zawsze przynoszą oczekiwane skutki. I czy w ogóle można tu mówić o jakiejś mądrości. Ten ostatni pogląd odniesiony do opisywanych sytuacji byłby z gruntu błędny! Tu chodzi o mentalność tych ludzi.

Patrząc na mechanizmy rządzące nie tylko polityką, ale i całym życiem społecznym widzimy przecież całą paletę różnych możliwych postaw. Są ludzie, którzy wiedzą kiedy ustąpić, aby osiągnąć w zamian najważniejszy cel. Są jednak i tacy, a jest ich znacznie więcej, którzy mają zakodowany już od wczesnych lat swego życia kompleks

niższości, który się wyraża w bezrefleksyjnym uleganiu wszystkim, których uważają za silniejszych, bogatszych czy też dysponujących jakimiś dobrami. Jest to wina złego wychowania, złej kultury, a czasami tylko słabej woli.

Nie ma tu miejsca na zajmowanie się zmianami, jakie były udziałem polskiego społeczeństwa po ostatniej wojnie światowej i ich skutkami. Robili to już inni, odnosząc się do zniszczenia przez komunizm starych elit. Zrobił to także i to bardzo interesująco w swojej książce pt. *Esej o duszy polskiej* filozof i europoseł profesor Ryszard Legutko. Tam też odsyłam czytelników.

Brak własnej godności rzuca się w oczy w wielu sytuacjach w związku z relacjami niektórych współczesnych Polaków z sąsiadem zza Odry i Nysy Łużyckiej. Podam znowu dwa jaskrawe przykłady. Pierwszy dotyczy miasta Szczecina, gdzie jeden z radnych wysunął projekt, aby nowo zbudowane rondo w mieście nazwać imieniem i nazwiskiem Lecha Neymana, jednego z ideologów podziemnej grupy „Szańca” i autora broszur zajmujących się kwestią repolonizacji ziem, których przyłączenie do Polski po wojnie spodziewała się jego organizacja. Negatywną reakcją na to ze strony innych radnych była odpowiedź, że nie można tego przeprowadzić ze względu na stosunki z Niemcami.

Coś podobnego w swej istocie zdarzyło się w związku z urządzeniem w Kluczborku uroczystości na cześć Gustawa Freytaga, syna niemieckiego burmistrza tego miasta, który był poczytnym powieściopisarzem w XIX wieku. Został on już dawno źle oceniony przez stronę polską i uznany za polałożercę, którego powieści (szczególnie *Sein und haben*) oczerniały Polaków i przyczyniały się do hodowania u Niemców pogardliwego do nich stosunku, a nawet i rozbudzania nienawiści. Jak widać organizatorzy tej uroczystości/konferencji nie brali tej kwestii pod uwagę, a może wcale nie wiedzieli o takiej roli Freytaga. A może wiedzieli, ale to nie miało dla nich większego znaczenia. Natomiast zapytany telefonicznie o przebieg i charakter tej uroczystości jeden z prelegentów robił wszystko, aby nie rozmawiać z autorem niniejszego tekstu, który chciał się o tym, co zdarzyło się w Kluczborku, dowiedzieć i zapewne, jak sądził ów prelegent, stawiałby jakieś „kłopotliwe” pytania.

Takie krótkie wprowadzenie jest konieczne, bowiem wskazuje ono na wagę i znaczenie lokalnych ale także i ogólnopolskich problemów. Odnosi się do tzw. pedagogii

ki wstydu, którą w Polsce operują z rozmachem rozmaite czynniki żerujące na fakcie przerwania przez komunistyczną okupację trwającą blisko pół wieku, dawnej tradycji i kulturowego oblicza elit reprezentujących polskość. Można zaryzykować, że to, co dzieje się na Górnym Śląsku w pewnym zakresie realizuje się, oczywiście z różnymi wyjątkami i w innym natężeniu na terenie całego kraju. Narodowa kondycja Polaków pozostawia wiele do życzenia. Historyk A. Krzystyniak – bo do opublikowanej przez niego książki chcę się odnieść – wzywa do zajęcia się problemem, choć w zasadzie operuje materiałem interesującym najbardziej historyków, którzy zbierają fakty. Dalszą ich obróbką i interpretacją powinni się zająć socjologowie, kulturoznawcy i inni specjaliści. Miejmy nadzieję, że tak właśnie będzie.

Dr Andrzej Krzystyniak na 294 stronach swojej książki pt.: *Zwijanie polskości* przedstawił, operując dobrym językiem, w sposób żywy i zajmujący sprawy ważne. Książka jest przystępna i może zainteresować także kręgi różnorodnych czytelników. Z uwagi na jej temat trudno jest przejść obok niej obojętnie. Nic więc dziwnego, że jest szeroko reklamowana w internecie. Może także dlatego, że zawiera dwie warstwy. Jedna ściśle dotyczy sytuacji na Górnym Śląsku, druga zaś właściwie całej Polski i wszystkich Polaków. Zmusza do myślenia i podsuwa nowe pytania. Jacy są współcześni Polacy, jakich cech im brakuje i co należałoby na tym obszarze zrobić. To drugie pytanie ma charakter bardziej uniwersalny.

Mimo że, jak wskazywano już wyżej, dr Krzystyniak nie jest z podjętym tematem odosobniony, to jednak należy cieszyć się z każdego nowego głosu, który podejmuje tak ważną z punktu widzenia polskiego interesu narodowego problematykę. Najważniejsze jest to, że problemy przez niego zarysowane rzeczywiście mają miejsce i jak dotąd żaden rząd III Rzeczypospolitej ani inne oficjalne czynniki ich nie podejmowały. Spraw tych się nie zauważa i w sposób pogłębiony i syntetyczny o nich nie mówi. Cały szereg obserwowanych zjawisk toczy się bez zainteresowania ze strony tych, którzy powinni je znać i trzymać rękę na pulsie. Zastanówmy się nad tym i podłożem zagadnienia.

Co prawda żyjemy w suwerennej od lat trzydziestu Rzeczypospolitej i nie ma tu cenzury w formalnym tego słowa znaczeniu. Wynikłe z powodu okupacji niemieckiej a potem dominacji sowieckiej pewne luki w tkance społecznej i jej kulturze nie zostały konsekwentnie zasypane. To, że nie



podejmowano dotychczas pewnych kroków, nie wynika tylko z niewiedzy czy innych braków kolejnych rządzących w III Rzeczypospolitej. Wynika to z gradacji różnych wartości, które wysunięto na pozycje wyższe niżby należało. Trudno jest coś kulturować albo coś zwalczać bez odpowiednich podstaw i bez dysponowania pewnymi wartościami, które bywają na ogół kołem zamachowym tego, co się potem dzieje. Tego wszystkiego trzeba się gdzieś nauczyć i musi ktoś taką naukę prowadzić. Tymczasem mamy w Polsce jakąś nadprodukcję jednostek indyferentnych z punktu widzenia naszego interesu narodowego. Jeśli ich procent w danym społeczeństwie jest za wysoki, to, wykorzystując mechanizmy właściwe dla demokracji, mogą one wyrządzać wiele zła, poruszając się po ścieżkach wyznaczanych przez suche paragrafy, kierować potok świadomości społecznej nie tam, gdzie by należało. I to się właśnie dzieje na Górnym Śląsku, ale i w innych dzielnicach Polski, tyle że z daleko mniejszym natężeniem. Dlatego od czasu do czasu pojawiają się w środowiskach masowych przekazy wiadomości np. o czolobitnych ukłonach w stronę pomników obecności niemieckiej na terenach dzisiejszej zachodniej Polski, tak czy inaczej związanych z dawnymi formami tej obcej państwowości, która, jak wiadomo, jeszcze grubo przed rządami narodowych socjalistów czekała tylko na stopniowe i na początku jeszcze pokojowe wymarcie narodowości polskiej.

Jak wiadomo ludziom obeznanym z historią narodów i państw ekspansja jednych przeciwko drugim nie odbywała się jednakowo. Były narody, które rozplywały się prawie bez oporu w innych, złamane fizycznie lub zmajoryzowane samym blaskiem tryumfu swoich wrogów. W takich wypadkach odczucia niższości i różne kompleksy dawały o sobie znać. Takie procesy uruchamiają się na różnych pograniczach także i w Polsce, właśnie na Śląsku czy na Mazurach.

System komunistyczny zainstalowany w Polsce przez komunistów po drugiej wojnie światowej co prawda był czynnikiem, który zrealizował śmiałe dążenia różnych odgałęzień polskiej prawicy do przesunięcia narodu polskiego na zachód, to jednak poczynił na tym kierunku olbrzymie błędy. Nie można zapominać, że dla komunistów partnerami byli ludzie mający czasem legitymacje niemieckiej partii komunistycznej, ale na ogół nie polscy patrioci, którą to kategorię należało na tych ziemiach właśnie wzmacniać.

Inne podejście do problemu repolonizacji ziem zachodnich mieli reprezentanci

środowisk narodowo-polskich. Planowali oni rozmieszczać na obszarach zaludnionych jeszcze przez tzw. autochtonów ludność wywodzącą się z poznańskiego czy przedwojennego Pomorza pokrewną tym pierwszym pod względem cywilizacyjnym i materialnym a nie Polaków z Kresów Wschodnich, zwłaszcza np. takich, którzy przyszedli na świat niejednokrotnie w chatkach dysponujących zamiast podłóg klepiskiem. Wiadomo jakie znaczenie ma poziom cywilizacyjny dwóch obcych sobie elementów, jeśli ta obcość jest podkreślana innym poziomem życia obydwu skalanych grup. Tymczasem dla władzy komunistycznej takie problemy nie istniały. To jest tylko taki jeden przykład, chyba najłatwiejszy do zauważenia.

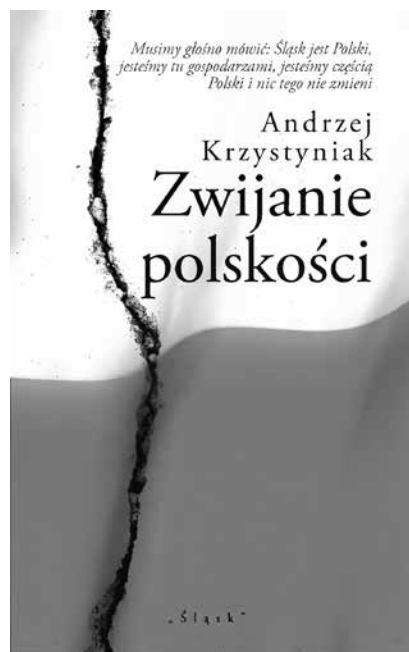
Zamiast popierania pewnych elementów komunistycznych należało przyjąć inną politykę. Ważnym by było też opieranie się na miejscowych polskich patriotach wywodzących się z funkcjonujących w przedwojennych Niemczech polskich związkach. Popeliono też ogromną masę błędów w dziedzinie gospodarczej, które owocowały niszczeniem miejscowych zasobów, a co w oczach byłych obywateli Niemiec było odbierane jako synonim „polskich porządków”. Pokazywano Polskę i polskość jakby od najgorszej strony. Zaprzepaszczono wiele możliwości, które istniały w zakresie współistnienia miejscowych z nowymi przybyszami. Są to sprawy bardzo złożone ale i bardzo istotne – materiał do pracy dla badaczy socjologów, którzy oczywiście zapewne nie operowałyby modnym dzisiaj pojęciem wielokulturowości, z której istnienia jakoby trzeba się cieszyć. Tu właśnie chodziło o coś odwrotnego, o scalanie.

Rok 1989, wprowadzając „demokrację”, która w rzeczywistości daleka była od natychmiastowego starcia z powierzchnią ziemi wszystkich złogów komunizmu i jego mentalności dopuścił do głosu wszystkie prawie czynniki, które grały jakieś role w realizujących się w zachodniej Polsce procesach. „Nowy” inteligent wyposażony w wiele pojęć i poglądów pozostałych po czasach PRL-u spotkał się z nowym podmuchem indyferentnego najczęściej na płaszczyźnie spraw narodowościowych liberalizmu. Brakowało jakiejś polityki narodowej w znaczeniu takim, jakie temu słowu nadawały najstarsze pokolenia schodzące już dzisiaj ze sceny. I mamy to, co mamy!

O wszystkich tych zagadnieniach szerzej lub krócej pisze w swojej książce *Zwijanie polskości* historyk Andrzej Krzystyniak. Ukazuje on tam paradoksalną sytuację jaką tworzy m.in. obecna narracja o „tragedii górnośląskiej” czy „polskich obozach

koncentracyjnych”. Tam pomieszano fakty i powierzchnowe pozory. Nie mają one wiele wspólnego z prawdą historyczną. Demonstrowanie w niektórych prowincjonalnych gazetkach górnośląskich starych fotografii pokazujących ludzi witających wkraczających we wrześniu 1939 roku Wehrmacht jest prowokacją. Bo czyżby bez zwycięstw militarnych ówczesnych Niemiec doszłoby do ludobójstwa, jakiego świadkiem była polska ziemia? Można taki gest ze strony wydawców owych gazet odczuwać jako demonstrowanie sympatii dla takich nieludzkich czynów. Jest to obraźliwe, wręcz bezczelne i powinno być karalne.

Książkę historyka doktora Andrzeja Krzystyniaka należy koniecznie czytać. Jest ona publikacją bardzo potrzebną. Autor powinien także znaleźć swoich naśladowców i kontynuatorów. Powinna też wywołać oddźwięk także u czynników oficjalnych oraz pobudzać do myślenia. Powinna również spowodować zajmowanie innych postaw przez czynniki polityczne zawierające sojusze tylko z uwagi na przejściowe korzyści w prowadzonej grze politycznej. Nie dajmy się uwieść tworzonej wizji. Jest ona wykrzywieniem rzeczywistości i wytworem prostackim. Jej krytyka nie może też wyrażać się przysłowiowym wruszaniem ramion. Powinna być zdecydowana i owocować konsekwentną jej negacją. ■



Andrzej Krzystyniak, *Zwijanie polskości*, Katowice 2020, Wydawnictwo Naukowe „Słask”, s. 294.

**Prof. zw. dr hab. Bogumił Grott** (1940), syn warszawskiego przemysłowca, oficera WP, zaginionego bez wieści w 1940 roku w ZSRR, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, dysertację doktorską obronił na Uniwersytecie Wrocławskim (*Pierwsi Piastowie oleśnicy*), w pracy habilitacyjnej zajął się związkami nacjonalizmu i religii, w roku 2005 został na wniosek Uniwersytetu Jagiellońskiego profesorem zwyczajnym. Zajmuje się problemami historii, kultury, polityki i zagadnień etyczno-moralnych. Pracownik naukowy: Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi i in.

## Principium

*Córce*

Nie szukaj przyczyn.  
Jest ich nadmiar.  
Same przynoszą swoje skutki  
Szukaj praprzyczyny.  
Skąd życie?  
Nie wiadomo, choć wiadomo,  
że prowadzi się znikąd donikąd.  
Skąd Bóg?  
Czy stworzył sam siebie?  
Kto zatem stworzył stwarzającego?  
A kto miałby stworzyć tego,  
który stworzył stwarzającego?  
Stop  
Nie popełniaj błędu logiki.  
Wycofaj się z nieskończoności absurdu.  
Niech ci wystarczy nieskończoność tautologii:  
JAM JEST, KTORY JEST.

Ona nie mówi nic.  
Ona musi wszystko.

Z nią dojdiesz wszędzie.  
Nawet gdy wszędzie może znaczyć donikąd.

## Odpowiedź przyjacielowi

Nie pytaj o sens.  
Nie pytaj o cel.  
Sensu jest tyle,  
ile bezcelu.  
Może ten remis utrzymuje świat  
W chwiejnej równowadze.

*fot. Maria Korusiewicz*



## Dwa dowody

Jestem,  
bo mnie stworzyłeś.  
Jesteś,  
Gdyż Cię wyznaję.

\* \* \*

Nie odrzucaj, Panie,  
brudnopisu mego życia.

Przepiszę je u Ciebie  
na czysto.

\* \* \*

Długo się żyło,  
wszędzie się było,  
wszystko widziało,  
nic nie rozumiało.



**Jak bardzo współczesna historia Śląska jest trudna? Ile mamy w niej nadal białych plam? Np. w wiedzy o Tragedii Górnos Śląskiej.**

Problem z Tragedią Górnos Śląską zaczyna się już na poziomie definicji. To wciąż niejednoznaczne pojęcie. O Tragedii Górnos Śląskiej zaczęto mówić najpierw w Niemczech, i to już krótko po wojnie. Pojęcie to obejmuje kilka zjawisk zapoczątkowanych wkroczeniem w 1945 r. na Śląsk Armii Czerwonej. Najpierw mordy, gwałty i grabieże na ludności cywilnej dokonywane przez czerwonarmiejców, później deportacje mieszkańców tego regionu do przymusowych prac na terenie Związku Sowieckiego, następnie wysiedlenia na Zachód mieszkańców uznanych za Niemców, a także stworzenie systemu obozów pracy przymusowej, demontaż fabryk i wywózka ich wyposażenia oraz gotowych produktów lub surowców w głąb ZSRS.

**Wiadomo jak wiele osób zostało dotkniętych deportacją?**

Ustalenie tej liczby uważam za jeden z najważniejszych rezultatów pracy historyków katowickiego IPN. Droga bardzo żmudnych kwerend archiwalnych nasi historycy ustalili z imienia i nazwiska, że w 1945 r. deportowano ze Śląska 46 tys. ludzi. To niemałe miasto...

**Czy Rosjanie za to przeprosili? Angela Merkel, kanclerz Niemiec w grudniu ubiegłego roku w Oświęcimiu na terenie byłego obozu powiedziała: „Stać dziś tutaj jako niemiecka kanclerz i móc wygłosić do państwa kilka słów, to dla mnie jest trudne. Odczuwam gębkę wstyd, biorąc pod uwagę barbarzyńskie zbrodnie”. (Kanclerz Merkel przyjechała na obchody 10-lecia Fundacji Auschwitz-Birkenau).**

*Pomnik więźniów obozu w Jaworznie. Fot. Beemwej*



*Dr Andrzej Sznajder, dyrektor IPN Katowice, chce, by historia Śląska nie miała białych plam*

# Wciąż zbyt mało wiemy na temat Śląska i Ślązaków!

Wywiad z dr. **ANDRZEJEM SZNAJDEREM**,  
dyrektorem IPN w Katowicach

**AGNIESZKA ZIELIŃSKA**

Nie, nigdy nie spotkaliśmy się z oficjalnymi przeprosinami ze strony Rosji i nie spodziewałbym się takowych

w przyszłości. Śląsk nie był zresztą jedynym obszarem dotkniętym deportacjami w 1945 r. To samo dotyczy obszarów polskiego Pomorza oraz Warmii i Mazur, ale i Czech czy Węgier. Młodzi mężczyźni byli darmową siłą roboczą dla ośrodków przemysłowych, m.in. na Syberii. Zgodę na takie działania Stalin uzyskał ze strony aliantów na konferencji w Jałcie. Zgodzono się, że Stalin otrzyma darmową siłą roboczą jako formę reparacji wojennych z tytułu strat poniesionych przez ZSRS w działaniach wojennych.

**Czy ukarano sprawców zbrodni na ludności cywilnej?**

Niestety nie. Mamy tu do czynienia ze zbrodnią bez kary. Mimo że te akty sowieckiego terroru na Górnym Śląsku były przedmiotem kilku śledztw Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiego IPN. We wszystkich tych sprawach nie ma już dziś możliwości postawienia w stan oskarżenia sprawców tych zbrodni. Dzięki tym śledztwom zgro-



Publikacje IPN Katowice

madzony został jednak ogromny materiał, pozwalający historykom zbadać skalę tych zjawisk i ich charakter. Nie udało się także osądzić Salomona Morela – komendanta obozu pracy w Świętochłowicach-Zgodzie. Został oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości, ale władze Izraela (dokąd uciekł w 2003 r.) odmówiły w 2005 r. jego ekstradycji, uzasadniając to przedawnieniem oraz okolicznością, że „Morel i jego rodzina byli ewidentnie ofiarami zbrodni ludobójstwa popełnionych przez hitlerowców i Polaków z nimi współpracujących”. Co ciekawe, byli więźniowie komunistycznych obozów pracy boją się mówić o tym, co ich dotknęło. W rozmowach, które miałem okazję z nimi prowadzić kilkanaście lat temu nie chcieli ujawniać swoich personaliów na potrzeby publikacji. Dla innych próby przywołania tamtych strasznych wspomnień kończyły się łzami i ściśniętym gardłem.

### Ile publikacji Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach przygotował na ten temat?

Wydaliśmy kilkanaście książek poświęconych represjom sowieckim. W 2002 r. ukazała się książka o obozie pracy w Świętochłowicach-Zgodzie, działającym w 1945 r. W 2005 r. miały miejsce wystawa i konferencja naukowa o deportacjach mieszkańców Śląska do Związku Radzieckiego. W 2004 r. uka-

zała się książka o obozie pracy dla młodocianych przestępców w Mysłowicach (filia KL Auschwitz). Kolejna pozycja z 2009 r. dotyczyła obozów pracy przymusowej 1945–1949 Gliwickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, jej autorami są dr Sebastian Rosenbaum i dr Bogusław Tracz. Do szkół województwa śląskiego trafiły także trzy teki edukacyjne zawierające materiały dydaktyczne dla nauczycieli dotyczące obozu pracy w Święto-

chłowicach, deportacji do ZSRS oraz „wyzwolenia” Górnego Śląska w 1945 r. Pewnego rodzaju podsumowaniem prac naukowych będzie imienna lista deportowanych mieszkańców Górnego Śląska w 1945 r., która ukaże się pod koniec bieżącego roku.

**Zmieńmy temat rozmowy. W ubiegłym roku obchodziliśmy 100-lecie I Powstania Śląskiego. Czy o powstaniach wiadomo już wszystko?**

Zrekonstruowana wieża strażnicza obozu w Łambinowicach. Fot. Jacques Lahitte





Brama-pomnik obozu „Zgoda” w Świętochłowicach. Fot. Drozd

Niestety wciąż zbyt mało wiemy na temat Śląska i Ślązaków, i – co gorsza – nie dbamy o tę pamięć! Przykładem niech tu będzie sprawa grobów powstańców śląskich. Okazało się, że do urzędowej ewidencji wpisanych jest zaledwie 147 grobów by-

łych powstańców, spośród kilkudziesięciu tysięcy uczestniczących w powstaniach. Reszta grobów albo przestała istnieć, albo nikt już nie pamięta, że w istniejących grobach pochowani są polegli w powstaniach lub ich weterani.

Osobiście wierzę, że te groby wciąż istnieją, są zadbane przez rodziny, składa się tam kwiaty, zapala znicze. Problem pojawi się, gdy bliskich zabraknie, a państwo się nie zainteresuje. Dlatego zainicjowaliśmy akcję „Ocalmy groby powstańców śląskich”. (Prośbę o informacje rozesłaliśmy m.in. do samorządów, do parafii archidiecezji katowickiej, diecezji opolskiej, gliwickiej, zamieszczamy je w mediach tradycyjnych i w Internecie). Otrzymaliśmy już informacje o ponad 100 grobach. W 2018 i 2019 r. staraniem Instytutu w Chorzowie, Mysłowicach i Cieszynie odnowionych zostało kilkanaście grobów. Zostały też uroczystie poświęcone. To właśnie po takiej uroczystości poświęcenia pięciu odnowionych nagrobków w Starym Chorzowie dowiedzieliśmy się o istnieniu szóstego. Pozostało z niego tylko obmurowanie i wkrótce zniknąłby całkowicie. W ubiegłym roku został kompleksowo odtworzony na podstawie starych zdjęć i dokumentów. Wiadomo mi też, że na kanwie obchodów setnych rocznic powstań śląskich mieszkańcy Starego Chorzowa przypomnieli sobie o istniejącym tam do 1939 r. pomniku Powstańców Śląskich. A teraz pojawiła się inicjatywa, by go odbudować. ■

#### Od Redakcji

**W dniu 14/15 lutego 1990 roku, Tadeusz Kijonka, ówczesny poseł na Sejm X Kadencji wygłosił podczas 21. posiedzenia Sejmu Rzeczypospolitej:**

**Interpelację do Prezesa Rady Ministrów w sprawie podjęcia działań w celu ustalenia strat biologicznych i materialnych poniesionych przez naród polski w wyniku masowych zbrodni stalinowskich. W interpelacji zawarł dramatyczny opis Tragedii Śląskiej. Na tę interpelację w dniu 12 marca 1990 roku udzielił odpowiedzi ówczesny minister spraw zagranicznych K. Skubiszewski. Liczne artykuły dotyczące tej tematyki publikowane były w miesięczniku „Śląsk” od 1995 roku, oraz m.in. w publikacjach Z. Woźniczki: *Z Górnego Śląska do sowieckich łagrów*. Katowice 1996; K. Miroszewski: *Centralny Obóz Pracy Jaworzno*. Katowice 2001; K. Miroszewski: *Obozy pracy przymusowej na terenie Katowickiego i Chorzowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego 1945–1950*. Katowice 2002 i in.**

TS

## Przemilczana tragedia

W 2010 r. Sejmik Województwa Śląskiego, a w 2012 r. Sejmik Województwa Opolskiego przyjęły uchwałę o corocznym upamiętnianiu Tragedii Górnośląskiej, jako termin wyznaczając koniec stycznia. W tym roku przypada 75. rocznica fali sowieckich represji, które pochłonęły kilkadziesiąt tysięcy ofiar, spowodowały deportację tysięcy na roboty przymusowe do Związku Sowieckiego i pociągnęły za sobą dramaty wielu rodzin. Ludność Górnego Śląska podlegała represji nie tylko przez Armię Czerwoną, a także przez rodzimy komunistyczny aparat represji. Symbolem tych represji są zbrodnicze obozy karne w Świętochłowicach-Zgodzie, Mysłowicach czy Łambinowicach. W czasach Polski Ludowej zbrodnie Armii Czerwonej i władz komunistycznych na Górnym Śląsku w 1945 r. były tematem tabu. Dopiero po przełomie 1989 r. tematyka ta pojawiła się w przestrzeni publicznej, zyskując określenie Tragedii Górnośląskiej.

Instytut Pamięci Narodowej, zwłaszcza jego katowicki oddział, włączył się w wyjaśnienie Tragedii, opisywanie jej, a także realizowanie projektów edukacyjnych i wydawniczych.

Dariusz Węgrzyn z Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach przygotowuje publikację *Górnoślązacy internowani, aresztowani i deportowani do ZSRS w 1945 r. Księga pamięci*. Księga będzie zawierać 46 tys. krótkich biogramów Górnoślązaków dotkniętych represjami ze strony formacji NKWD i „Smiersz”. Jest bodaj pierwszym w Polsce imiennym upamiętnieniem dużej akcji deportacyjnej zawierającym ponad 90 proc. nazwisk wszystkich represjonowanych.

W 2020 r. ukaże się drugie wydanie, rozszerzone i zaktualizowane teki edukacyjnej *Deportacje Górnoślązaków do ZSRS w 1945 roku*. Szczególną uwagę nauczycieli zwracamy na nowe materiały dydaktyczne, m.in. ćwiczenia dodatkowe i małe projekty badawcze, propozycje wycieczek edukacyjnych, dwie mapy prezentujące aktualny efekt badań – miejsca usytuowania niektórych łagrów na terenie ZSRS i na terenie Ukrainy. Nowością będzie także dołączona do teki płyta DVD zawierająca m.in. relacje osób deportowanych i ich rodzin, a także film *Przemilczana tragedia*.

Co kilka lat powraca temat Tragedii Górnos Śląskiej. Określenie, które pojawiło się przed laty nie jest terminem naukowym, dlatego wielu historyków używających tego sformułowania inaczej go definiuje. Jednak to, co łączy punkt widzenia badaczy dziejów z pamięcią lokalną to odwoływanie się do wydarzeń, które działy się na Górnym Śląsku od stycznia 1945 roku i były powiązane z wkroczeniem Armii Czerwonej. W przekonaniu wielu mieszkańców regionu Tragedia Górnos Śląska jest jednym z najtragiczniejszych rozdziałów w lokalnej historii.

W tym roku obchodzona jest 75. rocznica Tragedii Górnos Śląskiej. Senat RP w styczniu 2020 roku przyjął uchwałę, w której „oddaje hołd wszystkim represjonowanym, którzy stracili wówczas życie, zdrowie lub wolność” (Uchwała Senatu RP z dnia 17 stycznia 2020 r). Od początku roku w różnych miejscach, np. Gliwicach, Zabrze, Tarnowskich Górach odbywały się konferencje, prelekcje, zbiorowe składanie kwiatów pod pomnikami i tablicami pamiątkowymi, a nawet rekonstrukcje historyczne.

Pod koniec lutego przed radzionkowskim Centrum Dokumentacji Deportacji Górnos Ślązaków do ZSRR w 1945 roku śląskie grupy rekonstrukcyjne, pod przewodnictwem Stowarzyszenia na rzecz zabytków fortyfikacji „Pro Fortalicium”, odtworzyły scenę przemarszu kolumny ludności i przesłuchania przez NKWD oraz wywózki. Warto zaznaczyć, iż wydarzenie zorganizowano w ramach 5-lecia istnienia Centrum Dokumentacji.

Stowarzyszenie „Pro Fortalicium” od kilku lat organizuje rekonstrukcję walki o Miechowice, odtwarzającej



Rekonstrukcja historyczna wywózki Górnos Ślązaków do ZSRR w 1945 roku

# Wspominamy Tragedię Górnos Śląską

MAŁGORZATA LABURDA-LIS

jedno z najdramatyczniejszych wydarzeń, które miały miejsce w styczniu 1945 roku. Żołnierze radzieccy rozstrzelali wówczas wielu mieszkańców tej niewielkiej miejscowości.

W tym roku inscenizacja obył się 25 stycznia, w przeddzień Dnia Pamięci o Tragedii Górnos Śląskiej. W całym widowisku wzięło udział prawie 180 rekonstruktorów z 30 grup rekonstrukcyjnych z Polski, Czech i Słowacji.

W tym roku przeprowadzono także 5. edycję Biegu Pamięci Deportowanych Górnos Ślązaków, organizowanego przez Centrum Dokumentacji Deportacji Górnos Ślązaków do ZSRR. Termin imprezy zbiega się z okresem, w którym to w 1945 roku aresztowano wielu górnos Śląskich cywilów oraz rozpoczęto masowe transporty do Związku Radzieckiego.

O Tragedii Górnos Śląskiej wiele mówiono na forum publicznym i w regionalnych mediach. Najczęstszymi odbiorcami tych informacji byli seniorzy, będący przed laty bezpośrednimi uczestnikami tych wydarzeń lub osoby spokrewnione ze świadkami historii.

Pracownicy Centrum Dokumentacji Deportacji Górnos Ślązaków co roku w okresie od stycznia do kwietnia obserwują wzmożone zainteresowanie ofertą edukacyjną ze strony szkół. W ten sposób możliwe staje się wypełnianie luki w szkolnym programie nauczania, pomijającym ciągle historię lokalną. Nasze obserwacje prowadzone podczas lekcji muzealnych pozwalają stwierdzić, iż tylko niewielka grupa młodych osób zetknęła się z informacjami na temat Tragedii Górnos Śląskiej – zanim odwiedziła Centrum Dokumentacji. W niektórych przypadkach źródłem wiedzy był dialog międzypokoleniowy, a w innych inicjatywa nauczyciela. Przewidujemy dalszą kontynuację działań edukacyjnych.



Rekonstrukcja historyczna zorganizowana przed budynkiem Centrum Dokumentacji Deportacji Górnos Ślązaków do ZSRR w 1945 roku

Wypisałem określenia związane z Pana twórczością: największy linoryt, mentalne terytorium, którego wizualizacją są graficzne mapy, ulga w znoszeniu rzeczywistości, dramaty ludzi wplątane w wydarzenia historyczne, I wojna światowa, Bałkany, obraz satelitarny, wielkoformatowość... To dosyć odległe słowa-klucze. Co je łączy, jak przenikają się w sztuce Franciszka Niecia? Łączy je grafika. To, że powstał chyba największy na świecie linoryt, który miał sto metrów długości, to się rodziło jakby samo. Robiłem wielkoformatowe rzeczy, które zacząłem składać. Na początku było to przypadkowe, ale stwierdziłem, że trzeba poszczególne grafiki (70cm x 50 cm) połączyć w jedną całość. Zmusiła mnie do tego troszeczkę habilitacja (*śmiech*), bo prace zaczęły się rozrastać. Inspirowane mapami, satelitarnymi obrazami pól bitew i fortyfikacji formaty stworzyły jeden wielki linoryt wielomatrixowy nazwany *Międzypola*, który prezentowany był na wystawie w Gorlicach, bo tylko tam były do tego warunki. Przez formę ekspozycji chciałem nawiązać trochę do panoram, w tym najbardziej znanej, Raławickiej, i gdybym mógł umieścić *Międzypola* w pomieszczeniu, które się zamyka kołem, to byłaby forma zamknięta. Bardzo podoba mi się określenie „ulga w znoszeniu rzeczywistości”. Sztuka jest dla mnie formą ucieczki. Życie generalnie jest trudne i to jest rodzaj odskoczni. Człowiek zamyka się w pracowni i buduje swój świat. To naprawdę ułatwia życie. Wtedy zapominam o tzw. bożym świecie...

#### Jaki był kod łączenia poszczególnych obrazów?

Kiedy powstało *Verdun*, potem *Szypka* czy *Gallipoli*, rozkładając je, stwierdziłem, że gdybym dodał łącznik, to stałyby się jedną całością. To była trochę zasada krótkowzroczności Matejki, który nigdy nie widział całości (*śmiech*). Kiedy udało mi się rozłożyć grafiki obok siebie, to spodobał mi się ten trop. To na początku była sprawa czysto techniczna, ale już po trzech linorytach nabrałem przekonania, że trzeba rzecz rozbudować i zamknąć gdzieś w rotundzie, co do tej pory mi się nie udało.

#### Czy inspiracja I wojną światową w jakiś sposób domyka obszar Pańskich poszukiwań? Dlaczego właśnie ten okres w historii?

Niezupełnie. Pierwsza wojna jest dla mnie punktem wyjścia dlatego, że nic o niej nie wiedziałem do momentu otwarcia granic. Można to nazwać moją fascynacją, chociaż zabrzmiało to źle (*śmiech*). Jadąc na tydzień czy dwa do Słowenii, zobaczyłem w muzeach



# Linoryt i Wielka Wojna

Z prof. FRANCISZKIEM NIECIEM  
rozmawia PIOTR SKOWRONEK

plenerowych, że toczyły się tam ciężkie walki, o których nic nie wiedziałem i zacząłem zgłębiać tę historię. Najpierw skupiłem się na Isonzo. Literatura była, niestety, tylko włoska, niemiecka, angielska i słoweńska. Potem odkryłem tzw. front salonicki, bitwę o Gallipoli, działania w Rumunii, Serbii, w Tyrolu Południowym.

#### Wyczuwam w takim razie, że był to zupełny przypadek?

Tak. W szkole Wielka Wojna – co wdziewczam moim nauczycielom historii – to był Piłsudski i powstanie pań-

stwowości polskiej, jakaś wzmianka o Verdun, gazie i czołgach. To wszystko. I kiedy udało mi się wyjechać, odkryłem, że chwalebna i męczeńska historię mają wszystkie narody w Europie, będącej jednym wielkim placem bitwy. Chyba nie ma miejsca, przez które nie przeszedł jakiś front. Zacząłem to sobie uświadamiać, jeżdżąc w te miejsca, pragnąłem, musiałem ich fizycznie dotknąć.

**Właśnie o to chciałem zapytać. Jak fizyczne doświadczanie pól bitewnych, jednej z najdramatyczniejszych dla**



**człowieka przestrzeni, stało się pretekstem do ekspresji plastycznej. To specyficzny rodzaj turystyki. Jakie uczucia, emocje, myśli pojawiają się, kiedy stoi się w takim miejscu?**

Muszę dotknąć. Poznać zapach. Przejść po okopach, artefaktach, które zostały. Czasami znajdzie się jakaś łuska, skaleczy nogę, i to mnie fascynuje. Czytam o pewnym rejonie, miejscu, przez Google Maps namierzam go, bo to jest na tyle dokładne, że można nawet wykryć transeje, które są gdzieś tam w polu. Jadę i zwiedzam, a potem przenoszę doświadczenie na grafikę. Jeżeli ktoś wie, jakie były moje inspiracje, to jest to czytelne, ale jeżeli ktoś ich nie zna, to jest to abstrakcyjna grafika. Nie odtwarzam w sposób realistyczny, czy według jakiegoś kanonu malarstwa historycznego. Unikam tego typu rzeczy. Nie są to prace figuratywne, nie ma tam żadnych krzyży, krwi. To raczej widok terenu, który został naruszony i odnaleziony przez mapę i zinterpretowany przez gęstą tkankę linorytu.

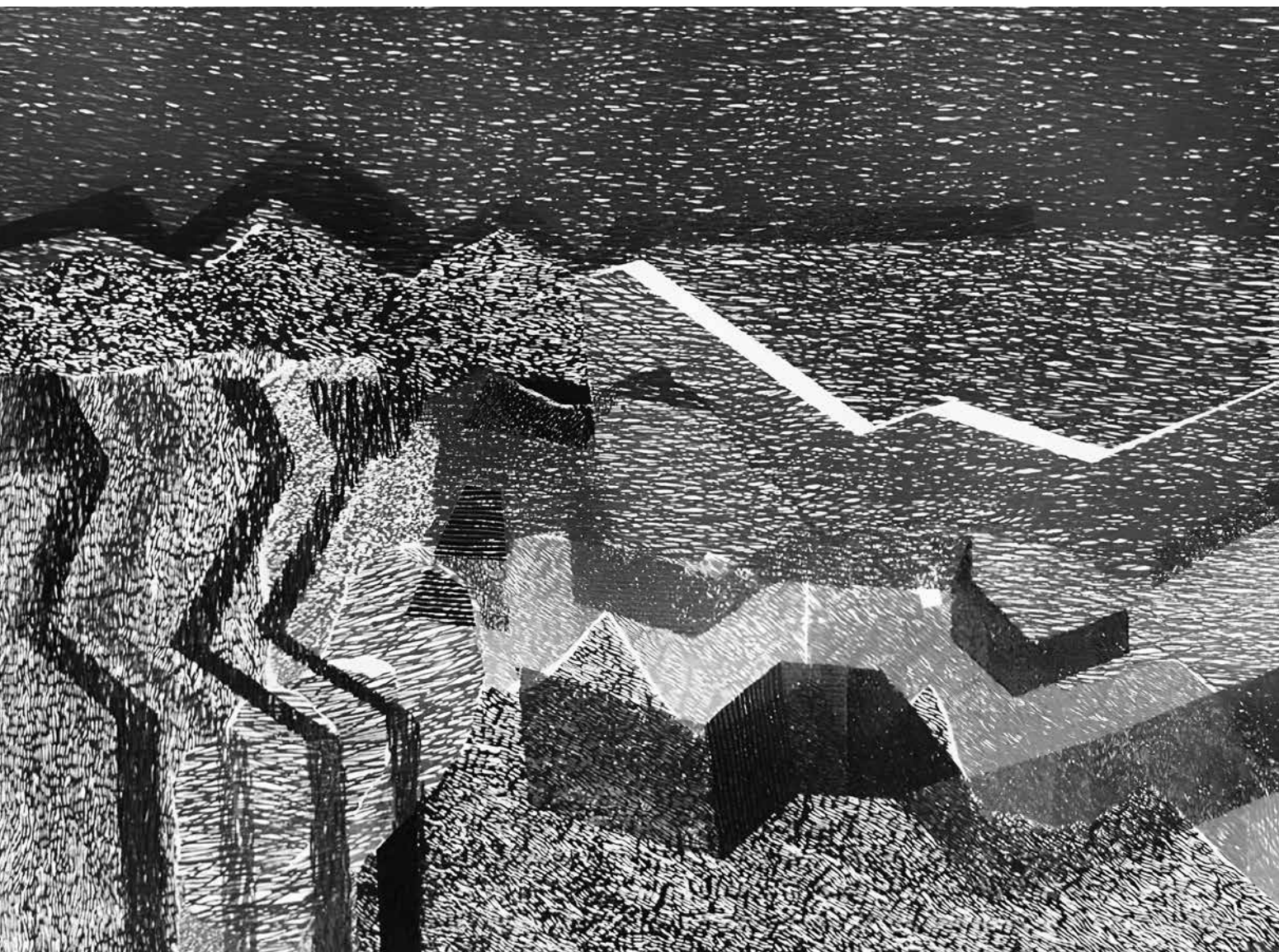
**Czy myśli Pan o tych, którzy tam walczyli, ginęli?**

Tak. Tego się nie da uniknąć. Ja czu-

ję na polu bitwy (i zawsze mnie ciarki przechodzą) taką ciszę, która aż krzyczy. To jest coś metafizycznego, transcendentnego dla mnie. Wyczuwam nawet „obecność”, chociaż nie jestem specjalnie uduchowiony. Wtedy również idę na cmentarz, szukam prawdy o tamtych wydarzeniach, także w literaturze czy filmie dokumentalnym, i często nie potrafię jej znaleźć, bo rzeczywistość jest inna, nawet geograficznie. Na przykład ktoś opisuje, że trzeba było zdobyć szczyt, a ja, będąc na miejscu, widzę lekko wznoszące się w górę pole. W Polsce na pewno nikt nie nazwałby tego szczytem, może w Holandii. Zawsze docieram do relacji z obu walczących stron i dostrzegam epatowanie liczbą ofiar, która w rzeczywistości jest inna, co mnie przeraża. Jest taki cmentarz Neck pod Galipolli, gdzie zginęło kilka tysięcy ludzi. Na tym zaś miejscu stoi obelisk, ale nie ma grobów, których trzeba szukać nieco dalej, więc rzeczywistość różni się z wyobrażeniem, nieświe różne niespodzianki.

**Można odnieść wrażenie, że Pana grafika niesie dalej historię tamtych ludzi, to, co po nich zostało.**

Trochę tak. Obecnie popularna jest turystyka militarna. Ja bardziej to traktuję jak pielgrzymkę – i na jej tle dowartościowuje mnie fakt, że kiedy jestem na polach bitew, cmentarzach czy fortyfikacjach np. w Serbii, pod Salonikami czy we Francji, ludzie pytają mnie: „Dlaczego ty, z Polski, tutaj przyjeżdżasz? Przecież tu Polacy w ogóle nie walczyli. Tu leżą nasi dziadkowie”... Jest takie kapitalne wydarzenie. Codziennie w bramie Ypres, gdzie odbyła się wielka bitwa z wykorzystaniem gazów bojowych, o 20.00 jest apel poległych. To trwa nieprzerwanie – z wyjątkiem czasu okupacji niemieckiej – od 1918 roku. Przyjeżdżają na nie tłumy z Anglii, bo Anglicy ponieśli tam ogromne straty. Rząd francuski zastanawiał się nawet, czy nie podarować tego miasta Wyspiarzom. I wtedy opowiadam spotkanym ludziom z Anglii o Ypres, wymieniam ich angielskich dowódców (nieudolnych), rysuję schematy działań itd. A kiedy robią duże oczy, pytam, co wiedzą o Polsce? Poprzez tytuły moje grafiki inspirują do poznania, choćby tylko przez Internet, miejsc, które mnie zaintrygowały.



**Dużo Pan wystawia, wymienię: 43rd International Print Award „Carmen Arozena” Hiszpania (2015), 18th International Print, Biennial Varna Bułgaria (2015), 3rd Brest Print Triennial Białoruś (2015), 6th Beijing International Art Biennale, Chiny (2015), 11th International Biennial „Iosif Iser”, Rumunia (2015), 1st Bienal de grabado „Carlos Hermosilla”, Chile (2015), ale także w Dubaju, Kanadzie czy Norwegii.**

Teraz moje prace jadą do Rumunii (*śmiech*). Odniosłem nawet jakieś sukcesy pedagogiczne. Przez same nazwy grafik np. *Passendale* czy *le mort homme* zaszczerpiłem w odbiorcach chęć szukania tych miejsc. Robią to nawet na moich wernisażach, jest taka możliwość – dostępny Internet – i dziwią się, że to jest we Francji, Belgii, że była tam jakaś bitwa, jest fortyfikacja. To szczególnie ważne dla młodego pokolenia, które wówczas zaczyna szukać. Mam osobisty kontakt z dwoma młodymi ludźmi, którzy jeżdżą co prawda komercyjnie, ale kiedy już są np. we Francji, chcą odwiedzić Normandię czy Verdun, bo coś o tym dzięki moim pracom wiedzą. To dla mnie jest bezcenne.

#### **A jak wygląda kwestia znajomości okresu I wojny światowej w Polsce?**

Słabo. Oczywiście to kwestia warunków historyczno-politycznych. Bitwa pod Gorlicami, gdzie walczyły pułki poznańskie, stąd polskie nazwiska na cmentarzu, bitwa łódzka (to pod Bolimowem użyto prawdopodobnie po raz pierwszy gazów bojowych), działania w Karpatach czy na przykład oblężenie Osowca – o którym mało kto wie. To wszystko czeka na odkrycie. Rosyjska twierdza Osowiec, gdzie wystrzelono parę tysięcy pocisków, jest nienaruszona do dzisiaj i można ją oglądać. To są kapitalne tereny. Można przy okazji zwiedzić Wiznę, bo to bardzo blisko. Wiem, że moja praca *Osowiec* wywołała spore zainteresowanie tym tematem. Na przełęczy Małastowskiej jest zaprojektowany przez Dušana Jurkoviča przepiękny cmentarz. Na Wzgórzu Pustki, gdzie była chyba najbardziej krwawa bitwa podczas operacji gorlickiej, został odbudowany cmentarz, bo pierwotny spłonął. Zawsze spotykam tam cudzoziemców. Są Węgrzy, którzy przyjeżdżają w mundurach, kultywując swoją historię. Mało jest Rosjan, ale oni mają inne powody. Do czytałem się, że ludność miejscowa lepiej wspomina rosyjskich żołnierzy niż węgierskich Honvédów, z różnych względów (*śmiech*). Czasem, niestety, żyjemy pewnymi stereotypami. Staram się właśnie poznać historię pierwszej wojny na terenie Polski.

#### **Używając do tego, trochę międzypokoleniowo, nowoczesnej techniki.**

Tak, odkryłem Google Maps. Najpierw zacząłem szukać fortec, np. Osowiec. Wpisuję i widzę dokładnie cały zarys fortyfikacji, nawet okopy widać. To jest dla mnie podstawową inspiracją w tworzeniu grafiki. Ta wiedza – obraz z góry, z lotu ptaka – jest dla mnie bezcenna. Później robię szkic, mapę i bez pomocy „Hołowczyca” jadę na miejsce. Docieranie tam jest dla mnie również pewną formą hołdu dla tego miejsca. Trzeba się natrudzić, nawiązać kontakt z lokalnymi mieszkańcami, którzy np. nie wiedzą, że mieszka obok fortu (*śmiech*).

#### **Niedawno słyszałem w Polskim Radio reportaż o dziennikarce, która dla dobrego kadru, nieświadomie wbiegła na pole minowe. Na szczęście uszła z życiem. Czy w czasie wędrówek po fortyfikacjach, które przecięły zasady miały „odstraszyć i pokonać” wroga, zdarzają się tego typu doświadczenia?**

Jest bardzo dużo niewybuchów nie tylko po pierwszej wojnie. Na przykład pod Verdun wpakowałem się w takie miejsce, nieodwiedzane przez turystów (co zawsze mnie bardzo emocjonuje), pełne zasieków i niewybuchów, że zrobiło mi się autentycznie, jak to się mówi: „ciepło”, i od razu się wycofałem, bo można było się nieźle skaleczyć. Mam „zrobioną” całą Linię Maginota, łącznie z częścią alpejską, która jest kapitalna. Zwiedziliśmy od środka fort Four-á-Chaux, ale kiedy chciałem go zobaczyć z zewnątrz, wszedłem na pole tzw. potyczaków. To bardzo ostre, zabetonowane pręty. Jak żołnierzka z pola walki, wyciągnęła mnie stamtąd córka. Inna historia związana jest fortyfikacjami greckimi tzw. Linią Matakasa w Rodopach, obecnie wewnętrzną granicą Unii Europejskiej między Bułgarią a Grecją. Ona jest zaminiowana do dzisiaj. Chciałem zwiedzić fort Istebei położony na szczycie góry, w której wydrążono tunele. Podjechaliśmy tam samochodem, po czym okazało się, że stoimy niemal na polu minowym (*śmiech*). Takie niespodzianki mogą nas spotkać zwłaszcza na Bałkanach, gdzie jest sporo niebezpiecznych terenów po wojnie z lat dziewięćdziesiątych i trzeba bardzo uważać.

#### **Mimo że bardzo wyraźnie zabrzmiała deklaracja o odżegnaniu się od tradycyjnej sztuki batalistycznej – w Międzypolach, cyklu inspirowanym miejscami walki, martyrologii, zmagania się narodów, można dostrzec próbę ponownego opowiedzenia historii.**

Ja jestem wychowany na Sienkiewicz, ale staram się unikać romantycznych mitów, które mnie zawsze draż-

niły. Historia generalnie budzi do życia potwory, a jej obraz jest często zakłamywany. Dlatego moja twórczość nie ma pobudzać odbiorcy do walki, ale do refleksji. Moje przesłanie jest zrozumiałe, bo konkretnie je nazywam. Odbiorcy znają inspirację, bo o nią pytają. Chociaż wystawa w Chinach mnie zdziwiła. Tam Chińczycy, Koreańczycy czy Wietnamczycy, tworzący w bardzo tradycyjny, realistyczny sposób, zostali skonfrontowani z totalnie abstrakcyjną pracą Niecia. Mam z tego dużą satysfakcję, bo okazało się, że temat można w zupełnie odmienny sposób pokazać.

#### **Czy w związku z „chińskim eksperymentem” nie myślał Pan o inspiracji polem bitwy z innego kontynentu?**

Nie. W Europie i na Śląsku jest co robić (*śmiech*). Na przykład okazało się, że w Rudach Raciborskich jest piramidka poświęcona żołnierzom, którzy polegli w wojnie francusko-pruskiej. Tam nasi, śląscy dziańkowie walczyli. W Raciborzu są koszary kawalerii. To pamiątka, która niestety pewnie wkrótce runie... Blisko są fortyfikacje czeskie. Koźle, Nysa – to były fortece. Chcę odnaleźć fortyfikacje w rumuńskiej części Karpat i zwiedzić fort Bukaresztu.

#### **O raciborskich koszarach możemy przeczytać w Śląskim Systemie Informacji Turystycznej, że „wymurowano je w latach 1868–1877 z fundacji księcia von Ratibor. Stacjonował w nich 6. Pułk Huzarów im. hrabiego Goetzena”, i że tutaj szlifowały wojsko zdobywał Kazimierz Raszewski, późniejszy generał broni Wojska Polskiego. Z tego zaś co wiem, przebywał w nich także wbrew swojej woli Stanisław Ligoń zwany Karlikiem z „Kocyndra”, ale z niego pruskiego żołnierza nie udało się zrobić (*śmiech*). A najbliższe plany?**

Jeżeli rzeczywistość pozwoli, udział w Anzac Day, corocznym, obchodzonym 25 kwietnia święcie żołnierzy Australii i Nowej Zelandii, którzy zginęli w czasie bitwy pod Galipolli. To całonocne czuwanie, nabożeństwo wielowyznaniowe, premier, prezydent i mnóstwo młodzieży, która pokonuje pół świata, by oddać hołd poległym. Okazuje się, że pola walki również łączyły narody. Do dzisiaj Australijczycy szanują Turków, a Turcy Australijczyków. Okopy były na tyle blisko, że żołnierze wymieniali się owocami i puszkami z wołowiną. Na wystawie we Wrocławiu prezentowałem między innymi pracę *Lone Pine* inspirowaną właśnie Galipolli, którą dostrzegła rodowita Australijka. Uświadomiła mi, że to święte miejsce dla Australijczyków.

**Dziękuję za rozmowę.** ■

# Wojciech Korfanty Ślązak, Polak, Europejczyk

ZYGMUNT WOŹNICZKA

**20** kwietnia mija kolejna rocznica urodzin **Wojciecha Korfante** (1873–1939), co skłania do refleksji nad rolą w historii i współczesności Śląska – tego wybitnego: **Ślązaka, Polaka i Europejczyka**.

Wojciech Korfanty odegrał ważną rolę, a właściwie najważniejszą, w dziejach Górnego Śląska w XX wieku. Pochodził z górniczej rodziny (syn sztygara z Siemianowic) i dzięki zdobytemu wykształceniu z trudem przebił się do grona ówczesnych elit. Jego życiorys jest przykładem awansu społecznego i odrodzenia narodowego synów śląskiej ziemi, którzy w wyniku masowej edukacji spowodowanej przede wszystkim przez rewolucję przemysłową, odnaleźli swoje związki z narodem polskim. Początkowo, czytając polskie książki, korzystał ze słownika niemiecko-polskiego, ale już niedługo stał się rzecznikiem sprawy polskiej w niemieckiej szkole do której uczęszczał.

W czasie studiów w Berlinie i we Wrocławiu związał się z licznymi tam środowiskami Polaków wywodzących się z Wielkopolski. Ukształtowało to jego poglądy i doprowadziło do rozkwitu działalności politycznej. W czasie kampanii wyborczych do Reichstagu i pruskiego Landtagu porywał za sobą tłumy ludzi zarówno płomiennymi przemówieniami, skutecznością jak i ujmującą aparycją. Niemcy oceniali go krótko „Die Blonde Bestie”.

Korfanty był niezłomnym bojownikiem o sprawę polską. Przekonywał do niej Ślązaków. Doskonale potrafił wykorzystać ich dążenia do sprawiedliwości społecznej, łącząc te idee z ich katolicyzmem i polskim odrodzeniem narodowym.

Zakończenie I wojny światowej oraz powstanie niepodległej Polski stworzyły Korfantomu nowe możliwości działania. Jako jeden z przywódców **Powstania Wielkopolskiego** (1918/1919) stał się jednym z ojców rodzącego się państwa polskiego. W Poznaniu cieszył się wówczas wielką popularnością i uznaniem, mawiano: „Wielki Książę Poznański”.

Jesienią 1918 jest entuzjastycznie witany w Warszawie, wpływa na kształt **Sejmu Ustawodawczego** i jest ważnym graczem na ówczesnej scenie politycznej. Jego postać należy postawić obok pozostałych Ojców Niepodległości: **Józefa Piłsudskiego**, **Romana Dmowskiego**, **Jana Ignacego Paderewskiego** czy **Wincentego Witosa**.

Z jego rodzinnym Górnym Śląskiem w latach 1919–1922 związane były najważniejsze dni jego chwały. Tutaj jako **Polski Komisarz Plebiscytowy**, a potem **Dyktator III Powstania**, Korfanty odegrał decydującą rolę w rywalizacji polsko-niemieckiej. To dzięki jego talentom i konsekwencji, po nierozstrzygniętym z punktu widzenia polskich ambicji narodowych plebiscycie i III Powstaniu, doprowadził do sukcesu politycznego, który zaowocował przyłączeniem części Górnego Śląska do Polski.

W II Rzeczypospolitej był przez pierwsze lata niekwestionowanym przywódcą w Województwie Śląskim i czołowym działaczem chrześcijańskiej demokracji. Korfanty był wieloletnim posłem do Sejmu Śląskiego w Katowicach, Sejmu RP i Senatu RP (oba) w Warszawie oraz dwukrotnie (1923 i 1926) wicepremierem w drugim i trzecim rządzie Wincentego Witosa. Umiejętnie łączył politykę z biznesem, zasiadając w radach nadzorczych wielu przedsiębiorstw i będąc właścicielem koncernu prasowego „Polonia”. Był symbolem sukcesu i awansu jaki osiągnęli też inni Górnoszlązacy w niepodległej Rzeczypospolitej. Nie był jed-



Wojciech Korfanty

nak w stanie skutecznie bronić interesów tego Górnego Śląska w Warszawie. Ponadto był zwalczany przez Józefa Piłsudskiego. Konflikt między nimi, trwający już od 1918 roku, nasilił się po zamachu majowym w 1926 roku, kiedy to wojewoda śląskim został piłsudczyk **Michał Grażyński**. (Korfanty miał z nim konflikt w czasie III Powstania, kiedy to udaremnił inspirowany przez Grażyńskiego tzw. bunt w Grupie „Wschód”).

W drugiej połowie lat dwudziestych Korfante jako jednego z czołowych przywódców opozycji antysanacyjnej represjonowano, stawiając przed sądem marszałkowskim (1927 r.), gdzie starano mu się udowodnić malwersacje finansowe, co się jednak nie udało. W 1930 roku w ramach szerszej walki z opozycją aresztowano W. Korfante i tak jak innym działaczom opozycji wytoczono proces, skazano i osadzono w twierdzy brzeskiej. Po wyjściu na wolność nie zaprzestał jednak działalności przeciwko rządowi sanacji, będąc czołowym dzia-

łaczem **Chrześcijańskiej Demokracji**. Zagrożony ponownym aresztowaniem, wyjeżdża z kraju w 1935 roku i pozostaje na emigracji.

Sanacji nie udało się jednak całkowicie zniszczyć legendy Korfante i wymazać go z pamięci Ślązaków, tym bardziej, że ten, będąc na emigracji w Czechosłowacji, nie zaprzestał działalności politycznej. Był jednym ze współorganizatorów tzw. **Frontu Morges** (1936), który skupiał działania opozycji antysanacyjnej w kraju i na emigracji i doprowadził do powstania w kraju **Stronictwa Pracy**.

Korfanty był politykiem ukształtowanym w zachodnioeuropejskich standardach działalności politycznej i obce mu były romantyczne, kresowe tradycje dawnej Rzeczypospolitej, tak silne u Józefa Piłsudskiego. Marginalizowanie, a potem i represjonowanie przez niektóre elity polityczne w Warszawie osoby Korfante było również pochodną niezrozumienia Górnego Śląska i Ślązaków. Podważano też jego rolę jako przywódcy III Powstania Śląskiego. Celem tych wszystkich działań było przyćmić popularność Korfante – kultem Piłsudskiego, a po części i M. Grażyńskiego na Górnym Śląsku.

W Polsce Ludowej odsunięto w cień dokonania Korfante, ale też i Grażyńskiego, kładąc nacisk na klasowy charakter powstań śląskich, i w długich kryteriach lansowano innych bohaterów (m.in. Józefa Wieczorka).

Dopiero w wolnej Polsce Korfanty zaczął ponownie zajmować należne mu miejsce. Wyrazem tego są nie tylko pomniki, szkoły jego imienia etc. Nadal jednak w świadomości ogólnopolskiej nie jest równie popularny jak Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski czy Wincenty Witos.

Nie jest mała ta grupa ludzi, którzy krytycznie patrzyli i patrzą w dalszym ciągu na Korfante, mając mu za złe działania na rzecz przyłączenia Górnego Śląska do Polski. Przeciwwstawia mu się proboszcza z Raciborza Carla Franza Uliczkę (Ulitzka) i jego działania na rzecz autonomii tego regionu w ramach Niemiec. Podnosi się nacechowany emocjonalnie argument, że w Polsce Ślązacy, w tym także Korfanty – doznali więcej krzywd niż sprawiedliwości.

Niezależnie od tych sporów, rzeczą niezaprzeczalną jest, że Wojciech Korfanty był wybitnym Ślązakiem, Polakiem, Europejczykiem. Pochylamy głowy nad jego dokonania. „To jest nasz zbiorowy obowiązek”.

Jednym z głównych zadań **Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfante** utworzonego przez Marszałka Województwa Śląskiego Jakuba Chelstowskiego jest dokumentowanie i popularyzacja postaci W. Korfante, jego działalności oraz pozostawionej po nim spuścizny.

# Kurza gęś!

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

„Przekleństwo?... Tylko dziki, kiedy się skaleczy  
złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze”  
Kazimierz Przerwa-Tetmajer

Rozmawiałem z wiatrem  
RI ubliżył mi

Albowiem przywiął

Słowa z oberży

– kapitalna miniatura poetycka (pt. *Partner*), świadcząca o dużej kulturze słowa jej autora, abstrahując od kultury osobistej jemu podobnych pięknoduchów. O dziwo, popułnił ją kryminalista (Z.K.), *poete tragique*, który ćwierć wieku przechrapał w mamrze, w tyglu wszelakiego plugastwa, gdzie naturalną siłą rzeczy powinien stracić wrażliwość na subtelności językowe rodem z *la belle époque*, więc okresu przywalonego już wiekową warstwą zapomnienia. Przecież ów nieszczęsny (zapuszkowany ponoć przez złą wolę opresyjnej kasty sędziów) nasłuchał się i nauczył (zapewne!) knajackiej fantazji w nieskrępowanym wyrażaniu złości bądź radości, a jednak zachował – w mrocznych zakamarkach labiryntu szarych komórek – okrucy elementarnej poczucia przyzwoitości. Ten doskonały drobiazg liryczny, jasny krasomówczy klejnocik, w sposób jawny obnażył niejawne skrupuły okrzepłego skazańca, które staroświeckie wychowanie skutecznie przypisało (raz na zawsze?) do niecenzuralnego wystawiania się.

Właśnie ten powyższy czterowers (ale dopiero od dekady?) przychodził na myśl naszemu bohaterowi, ilekroć najbliższe otoczenie waliło go po uszach biczem plebejskiej ekspresji. Był bowiem cienkoscórnym i ciepłolubnym oryginałem, jednym z większych cudaków w cyrku życia, w ludzkiej menażerii, w boskiej kolekcji osobliwości, z których *gros* chodzących dziwadł mogło liczyć co najwyżej na trzeciorzędne role statystów. Na imię miał Orestes, imieniny obchodził 23 listopada, czyli w miesiącu minorowym i migrenowym (okresowe nasilenie objawów tej arystokratycznej przypadłości), ponurym i zimnym, bo zimę zwiastującym. Wyszukane i wyjątkowe (niemal! – z naciskiem na tę poprawkę) IMIĘ to urodzinowy prezent od rodzica, który był zwiariowanym polonistą, fanatycznym miłośnikiem Homera (głównie *Iliady*), znanym w belferskim środowisku z wyparzonej gęby i osobliwego poczucia humoru. (Wymusił tę decyzję na kłótniwej żonie, w której widział lokalną inkarnację Klitajmestry – jako cwanej i cynicznej jędzy – czyhającej na moment sposobny do mężobójstwa, z progenitury zaś próbował uczynić potencjalnego mściciela...). Licealny profesorek, nauczyciel skłonny do obżarstwa i do żartów („taki żarcik” – to było jego ulubione powiedzonko) nauczył syna odpowiedzialności za słowo i pogardy dla knajpianego słownictwa. Pogardliwość owa obejmowała głównie obelżywe epitety i pospolite przekleństwa, których przykładów nie będziemy tu przywoływać ze względu na elegancję wypowiedzi, choć ze stratą dla szczytowości i pełnokrwistości stylu. Przykład idzie z góry, więc pryncypialny ojciec, wobec syna, nigdy nie wplatał żadnych „kurew” ani „kutasów” do swych potocznych rozmówek tudzież potocznych peror, ograniczając się jedynie do przedpotopowych złorzeczy (typu: „do diaska!”, „o, wciorności!”, „do kroćset diabłów!”), zaczerpniętych ze szkolnych, poźółkłych, zakurzonych lektur. Tajemnicą poliszynela było, że filolog-dowcipniś czynił tak z buntowniczej natury, z niepoohamowanej przekory, ze sprzeciwu wobec wszystkiego, co trywialne, nieszlachetne i nieokrzeseane, a co uzurpuje sobie prawo do absolutnej hegemonii także nad egzaltowaną wy-

obrażnią świątobliwych alumnów. Często powtarzał bystremu pacholęciu, że swawolne przeklinanie jest *de facto* przejawem człowieczej słabości, bezsilności, braku woli mocy, co (jak mu się zdawało) wyczytał w obrazoburczych dziełach Fryderyka Nietzschego, który podobno ze stoickim chłodem przyjmował każdy despekt ze strony ślepej Ananke. Tę frazeologiczną kontestację nadopiekuńczy opiekun (dziś byśmy powiedzieli: toksyczny tetryk) wpoił był Orestesowi, uczulając nadwrażliwego chłopca na prostackie odzywki jego rówieśników. Oni zaś (przy lada okazji) naśmiewali się z kolegi, wprzód wyszydząc jego mitologiczne miano, którego nie mogli namierzyć w dostępnym kalendarzu. (Grzebarki wtedy jeszcze nie było, więc penetracje tego rodzaju były z góry skazane na niepowodzenie). Biegali za nim, jak najęci przez bogatego sadystę, wrzeszcząc „Orest Agrest – król ciul!” i rzucali w niego kamykami, kasztanami lub kalumniami, nie szczędząc najcięższych, brukowych wyzwisk. Od tamtego czasu, na samo brzmienie grubiańskich określeń, w jego mimozowatym wnętrzu ZAWSZE rodził się ból – psychogenne, ale fizyczne, cielesne, trzewiowe doznanie, łatwe do zlokalizowania między przetykiem a przeponą. Na złą sprawę, już jako dorosły i dojrzały facet, nie umiał sobie tego zarzewia bólu, tego zmrózenia serca, tego bolesnego ucisku wewnętrznego – wystarczająco wytłumaczyć, choć zapewne słynne warunkowanie Pawłowa (w mitycznej krainie dziecięctwa) miało tutaj coś do powiedzenia...

Przez 5 lat studiował grafikę wśród wyemancypowanych studentek (artystek *in spe*) i wyzwolonych studentów, którzy sypali lumpenproletariackimi (wtedy termin ten miał pikantną semantykę ze względu na agonalne tchnienia tzw. dyktatury proletariatu) i chłoporobotniczymi bluzgami, zupełnie bez zahamowań, jakby kolektywnej kultury nie uczył ich nigdy żaden gorliwy kaowiec czy charyzmatyczny katecheta. Koleżanki i koledzy non stop silili się, by w sobie ucieleśniać wymarzoną jedyność – odrębność – wyjątkowość, ale manifestowali ją wyłącznie poprzez wygląd zewnętrzny (dziś byśmy powiedzieli: wizerunek) – kolorowe włosy, śrubki w skórze, kabaretowe ciuchy, szpanerskie porcięta *et cetera*. Zapominali o dążeniu do istotnej oryginalności w swoich małpiarskich bohomasach, a co miało być (niejako *ex definitione*) ich życiowym powołaniem. Wyróżnianie się z tłumu samym tylko wyglądem to łatwizna nad łatwiznami – to domena próżnych damulek i bawidamków. Dlatego jemu imponował podtatusiały docent Jerzy Duda-Gracz, który wprawdzie grał w ekstraklasie, ale (na oko) w niczym nie przypominał gwiazdora prestiżowych salonów. Jasne jak piwo w ciemnej butelce, że ambicje żakowskiej bohemy nie dotyczyły pięknej i poprawnej polszczyzny, bowiem nikt ich nie zdążył zarażać (nawet najbardziej anemicznym) bakcylem aspirowania do kultury wysokiej. Wtedy właśnie wymyślił własne przekleństwo: KURZA GĘŚ!, które było prawie że surrealistycznym oxymoronem, sprzecznością samą w sobie, międzygatunkową hybrydą, korespondując ponadto z jego ambitnymi, achromatycznymi, antyrealistycznymi grafikami, przed którymi odbiorcy (w tym gadatliwy personel akademicki) stali na ogół w zmieszaniu i milczeniu (behavior ten różnie można było interpretować).

Własny patent lingwistyczny, wyrażający pozytywne i negatywne emocje, cichaczem łęchtął jego skrywaną, łasą na pochlebstwa, wyhodowaną próżność, a jednocześnie dodawał pewności siebie, co było szczególnie korzystne dla nieśmiałego introwertyka, przeważnie bezbronnego (jak wojują-

cy pacyfista na krwawej wojnie) wobec umyślnie napastliwej fanfaronady. Przeklinając „o, kurza gęś (z trzema wykrzyknikami)”, niewątpliwie chciał się popisać przed kawiarznią fejrąją – pokazać im, że oto stać go na oryginalność także w tej dziedzinie, zdominowanej przez różnych specjalistów: profesjonalnych łotrzyków, opryszków, rzezimieszków, meneli, sutenerów czy innych recydywistów. Chciał, jakoby za pomocą szlachetniejszej broni (dajmy na to, rapiera czy batorówki), sparować ich ciosy, wyprowadzane prehistoryczną maczugą albo długą zomowską pałą. „O, kurza gęś!” – rzucał z emfazą w falującą, chybotliwą przestrzeń paranaukowej lub pseudoliterackiej konwersacji i badawczym wzrokiem patrzył w rozochocone i roztargnione facjaty przemądrzałych interlokutorów. „Kurza gęś – jak to możliwe?” – zastanawiali się ze śladowym zainteresowaniem totalnie zblazowani i zniewieściali młodzieńcy, swoje zmęźniałe laski emablujący przykładnym bezwstydem. „Jeżeli coś jest kurze, to nie może być gęsie” – dopowiadał przytomnie domorośły znawca drobiu, który jednakowoż na podwórku swojej babki nie odróżniał koguta od kokoszki. „Kurza gęś to logiczna niedorzeczność” – dorzucał na wszelki wypadek, gdyby ktoś z obecnych, jako ornitologiczny laik, miał w tym względzie pryncypalne wątpliwości. „*Contradictio in adiecto*” – tryumfalnie wtrącał ktoś, kto standardowy kurs logiki niedawno zaliczył na celujący. „To dopiero jest ANTYREALIZM! – prześmiewczo podniosłem głosem (z podniesioną wymownie ręką) ogłaszała *urbi et orbi*, okutana w tęczowy szal i lekko przygniciona ogromnym beretem, bystrooka i bystrousta chłopczyca. W przerwach między swymi kąśliwymi i kanciastymi uwagami „robiła dym”, czyli wypalała jednego papierosa za drugim. (Atmosfera gęstniała niczym przypalony waniliowy budyń, stojący w okiennym przeciągu, podczas śniadaniowej nerwówki w domu rodzinnym, och, kiedyż to było?!...). Orest, przymykając oko na wyuczony persyflaż ich «komplementarnych» opinii, generalnie był kontent z obrotu sprawy, gdyż kręciła się wokół nie tylko semiologicznej miazgi, ale też bezpośrednio dotykała jego antyrealistycznych kompozycji. Czuł kielkującą satysfakcję, że w pewnym stopniu (małym, ale dobre i to) ocalił swoją niezwykłość i niezależność, że nie dał się zatopić jak ta papierowa łódka na wzburzonem morzu peerelowskiej szarżymy. (Szare blokowiska, szare kościoły, szare pomniki, „szare eminencje zachwyty”!). Przez 5 lat studiów nie zdążył się osłuchać – oswoić z wianuszkami ordynarnych „kwiatków”, które (niczym oratorskie ornamenty) spadały z ust kumpelek i kompanów wprost na obojętną ziemię.

Skądinąd wyrażenie „kurza gęś”, wyrażające dezaprobatę albo deklarację nagłej iluminacji, coraz częściej przypominało mu jedyną zbiorową wyprawę na Ukrainę, kiedy to mieszkali (w starej szkole) w Skałacie i jeździli (wynajętym busem) od zamku do zamku, od Chocimia do Kamieńca Podolskiego, od Zbaraża do Żwańca. Telepiąc się po dziadowskich, bo dziurawych i wąskich, drogach ukraińskich, nierzadko mijali, leżące na poboczu, futrzaste truchła naszych braci mniejszych – po pierwszym i ostatnim zderzeniu z cywilizacją. I zastanawiali się niektórzy, co konkretnie zeszytniało już przy drodze: kot, pies czy lis? Wówczas pewien wesoły masażysta (albo może pielęgniarz?), w sam środek wycieczki, rzucał hasło-domysł: „liso-pieso-kot” lub „koto-pieso-lis”, wywołując gremialne salwy śmiechu złąkionych euforii turystów. Tylko Orest w tej sytuacji nie widział nic zabawnego. Wręcz przeciwnie, leżący krwawo zewłok psa, jeża lub zająca zawsze

generował dobrze mu znany ucisk wewnętrzny, podobny do tego, jaki odczuwał na dźwięk werbalnego „mięcha”. Kiedyś w Lanckoronie, podczas spaceru, na jego oczach, kasztanowaty wiewiór wpadł prosto pod terenowe suzuki, kierowca nie zwolnił, stało się: z jezdni czarne oczka martwo patrzyły w nieskazitelnie błękitne niebo, gdzie Manitou witał w krainie wielkich łowów małego gościa. „O, kurza gęś!” – nie zdążył pomyśleć Orest, któremu zrobiło się niewymownie przykro, jakby to on sam (jakąś zabójczą myślą) ukatrupił biedne zwierzątko. Po powrocie narysował tuszem czarnozielony obrazek: linearną perspektywę asfaltowej drogi z białą (środkową) przerywaną linią aż po daleki horyzont, a na poboczu przetrąconego kota, nad tym ponure pochmurne niebo z banderolą, na której umieścić napis NIKT NIE ODKUPI TWOICH CIERPIEŃ.

Wraz z upadkiem PRL-u Orest zdobył upragniony dyplom artysty grafika, co absolwenta katowickiej filii ASP stawiało twarzą w twarz wobec nowych wyzwań i nowych wezwań. Pozostał wierny antyrealizmowi i w kręgu jego oddziaływań usiłował zarabiać na skromny i oszczędny „życie człowieka pocziwego”. Coraz mocniej czuł zew natury, hormony buzowały, ale to głównie jego neurotyczna *psyche* odczuwała dokuczliwy brak bratniej duszy. Na jawie i we śnie marzył o stałej towarzysze codziennych upadków i odświętnych włotów. Szukał kobiety akuratnej: dobranej jak pantofelek do nogi Kopcuszką i delikatnej jak nylonowa pończocha. Ale też osoby diametralnie różnej od wszystkich jego koleżanek ze studiów czy z pracy, które były podobne do jego rodzicielki – kłótlivej kapłanki egotyizmu, a poza tym rzucały „mięsem” jakby pracowały w masarni albo były co najmniej córkami rzeźnika. Wtedy jeszcze nie wiedział, jeszcze nie przeżywał (choć przechwalał się swą kobiecą intuicją), iż wkrótce postępująca transformacja ustrojowa zafunduje oghupialemu społeczeństwu spore zmiany obyczajowe: że facetki staną się wulgarniejsze od facetów, że zasmakują w luzackim odurzeniu się (trawką, prochami, alkoholem), że ogłoszą rywalizację z gorszą połową ludzkości w spontanicznej agresji i w bestialskim okrucieństwie. Słaba płeć, *ergo* silniej ulega słabościom. A przecież dobrze pamiętał rządy Władzy Ludowej, kiedy to nieparlamentarne formuлки niezwykle rzadko gościły na antenie radiowej czy na ekranach telewizorów (rodzimej lub radzieckiej produkcji); kiedy to dziewczyny (niekoniecznie harcerki) upominały niekulturalnych kawalerów, którzy próbowali rzucać „panienkami” w ich zacnym





towarzystwie; kiedy to nauczycielki bezzwłocznie hamowały wszelkie chamskie zapędy niesfornych sztubaków, popisujących się znajomością „polskiej łaciny”. Dziwne, ale to były zupełnie inne czasy, jakby antyrealistyczna epoka, której istnienie wydaje się dziś złudzeniem, czymś zgoła fantasmagorycznym, niewiarygodnym i nieprawdopodobnym, czymś równie problematycznym jak siódme niebo, poruszające bujną wyobraźnię adwentystów dnia siódmego. Na pewno były to lata mniej bolesne dla Oresta, bo słaba płeć oficjalnie zachowywała POZORY swej rzekomej słabości, przynajmniej w tych aspektach, na które w błogim dzieciństwie uczulił go nieszczęśliwy małżonek współczesnej Klitajmestry. Pomimo wysiłków toksycznego ojczulka, mizoginem nie został, autentyczna kobiecość kojarzyła mu się z długimi bujnymi kędziorkami, słonecznym spojrzeniem, niskim ciepłym głosem, różanym zapachem i różową zapaską, czerwoną pomadką do warg, ze złotymi kolczykami lub perłowymi klipsami tudzież dzie-

siątkiem innych kulturowych emblematów, nad którymi nie warto się rozczułać. Kobiecość stanowiła jasny przedmiot pożądania, lecz w jego umyśle była też nierozdzielnie sparzona z dziewiczą wstydlivością oraz z pierwotną łagodnością, czym winna emanować wzorowa kandydatka na żonę. („Wstyd to najbardziej ludzkie uczucie, zwierzęta się nie wstydzą” – powtarzał sobie w myślach zasłyszana od ojca maxymę, jaką pocieszał się w sytuacjach mocno krepujących i usztywniających jego kościstą sylwetkę).

Teraz podświadomie tęsknił do przebrzmiałego „okresu błędów i wypaczeń”, skoro przylazło Nowe i wyrzuciło do góry nogami cały jego UNORMOWANY świat: kryształowy autoportret (hi-hi-hi, taki żarcik!), skryztałowany światopogląd, skostniałe relacje interpersonalne, jako też całą resztę, czyli dookólną panoramę mentalno-obyczajową. Spece od popkultury bezceremonialnie otwarli puchę Pandory i nagle z brukowców, z telewizorów, z radiodiodobniorników (*et cetera*) zaczęła się wylewać rzeka porubstwa, plugastwa i profanacji wszystkiego, co dotąd uchodziło za wzniosłe i budujące. Raptem przeklinanie w literaturze stało się modne, a kto bronił czystości języka, ten automatycznie stawał się *passé, démodé*, ble-ble-ble, czyli zostawał reliktem przeszłości, o której wszyscy na gwałt chcieli zapomnieć. „Jestem literackim jarozsem – nie lubię «mięsa»!” – mawiał Orest, porzucając nowomodne *bestsellery*, w których roiło się od, kalających poczucie piękna, brzydkich wyrazów. „O, kurza gęś!!! – gdzie tutaj jest jakaś wyższa szkoła jazdy pisarskiej?” – pytał retorycznie sam siebie, zapatrzonej w blade reminiscencje chuligańskich inskrypcji („Tu się robi ser dla ZSSR, a tam się sra dla USA”, „My kutasy z VIII klasy”, „W kupie siła!”) na ścianach obskurnych, zalatujących amoniakiem, pelerolwskich szaletów.

(Arcyciekawe, jak na to wszystko zareagowałyby niezapomniany Bruno Schulz, który w międzywojniu zasłynął jako niedościgły adorator lepszej połowy rodzaju ludzkiego, czołowy piewca czarodziejskiego powabu poci pięknej, uchodzącej jeszcze wtedy za personifikację wszelkiej śliczności, czułości i wrażliwości. Czy dziś także serwowaliby z zapałem super sprawnym kobietonom czołobitne pokłony? W swoich rozwichrzonych i rozpoetyzowanych opowieściach mistrz z Drohobycza nie pozwolił sobie na żaden paskudny zgrzyt, birbancki wybryk. On latał wysoko, jak najwyżej, i nie zniżał swych lotów do poziomu zamtuza, chociaż [jako rodzimy prekursor postmodernizmu] mógłby był sobie nieraz pofolgować. Zatem, czy przyłożyłby rękę do lansowanej obecnie degradacji tych ideałów, dla których spalał się gorliwie przez cały swój krótki i tragiczny żywot? – to jest dobre pytanie).

Oczywiście, w tym swoistym inkubatorze neobarbarzyństwa szanse na znalezienie owej „kobiety akuratnej”, przez niepoprawnego idealistę, raptownie zmalowały do zera. Wprawdzie kiedyś pojawiła się niepowtarzalna okazja, gdy obiecującego artystę-excentryka zaproszono do katowickiej TV, gdzie spotkała go boleśnie śmieszna przygoda. Od pierwszego strzału spodobała mu się pewna sympatyczna redaktorka, z którą w dyżurce konwersował (czekając na swoją kolej) niezwykle miło, żeby nie powiedzieć – czule. Ale już na wizji był spięty i sztywny (jak stary gorset na młodej szansonistce). Kiedy wstępnie zapytała: „panie Orest, to jak się pan nazywa”, on odpowiedział: „Agrest” (zgodnie z prawdą), na co ona niespodzianie wybuchła perlistym śmiechem, który szybko stłumiła. Wystarczyło! Speszył się, stropił, poplątał w „zeznaniach” i męczył do końca programu. Czuł się skompromitowany w oczach wszystkich widzów, którzy zostali anonimowymi świadkami jego kolejnego upokorzenia – umniejszenia – upupienia (jak mógłby powiedzieć Gombrowicz). „O, kurza gęś! – no, i jak się pan nazywa, Orest” – pytał siebie przy porannym goleniu, patrząc szatańsko w prawdopodobne zwierciadło. MARIA – może najważniejsza dla ludzkości niewiasta

nosiła właśnie to imię??? Wydzwaniała za nim jeszcze kilka razy, próbowała się umówić na „małą czarną”, może szukała „czegoś więcej”, lecz on się zraził, zawzięł, zniechęcił. I basta! Incydent utonął w szambie codzienności. A po latach Orestes żałował, nie mógł przeboleć, że był tak zatwardziały, jak zawilgocony worek cementu, który nadawał się tylko na kamień u szyi w obliczu bezkresnego morza niefartu...

Rzecz jasna, jak dotąd, bohater naszej opowieści wybranki serca nie znalazł, ale spotkał (jakby na pociechę) artystę, który swoją aparycją, sposobem bycia, a przede wszystkim dorobkiem twórczym (projekty, rysunki, obrazy), naprawdę mu zaimponował. W dobie panoszenia się asamblażu, happeningu, instalacji i tendencji zerowej Kazimierz Wiśniak wypracował indywidualny styl malarski, posługując się archaicznym pędzlem i paletą obciążoną kompletem barw, preferując staroświeckie płótno i sięgając po tematy stare jak świat: krajozaby, martwe natury, scenki rodzajowe. W imaginacji krakowianina odżyły koncepty rodem z praszczura Arcimbolda, z pradziadka Böcklina, z praojca Magritte'a, lecz uwspółcześnione i przeobrażone przez osobiste widzimisię kontynuatora. Na jego płótnach skrzaty, krasnale, chochliki, diabełki, dziwożony, dziwoślaki, dziwojaszczury (itp., itd.) beztrudnie harują w romantycznej scenerii ukwieconych łąk, zaroińniętych pól, wybujałych zagajników czy tajemniczych czarnolasów. A wszystko krzykliwe, kolorowe, kalejdoskopowe. Sam twórca zaś z filuternym błyskiem w oku, z ironicznym półuśmiechem na licu, ale bez kapelusza z półmetrowym rondem, bez

wężowatego szalidła, bez posrebrzanej peleryny i bez kowbojskich botków; ot, siwiuteńki poczciwiec, który nie pozuje na kultowego celebrytę. Rasowy artysta, a nie jakiś tam „liso-pieso-kot” lub „koto-pieso-lis”, jak niektóre wykreowane bożyszczą zidiociałych kolekcjonerów tatuaży. On to niekłamany demiurg: stworzył swój własny kosmos na płaszczyźnie obrazów. Orestes poznał mistrza na pamiętnej wystawie w Katowicach. Uderzony jego skromnością i naturalnością zachowania od razu wyczuł enigmatyczne pobratymstwo duchowe, łączące niewidzialnym iskrzeniem dwie pokrewne wyspy świadomości, górujące (trochę!) nad labilną powierzchnią zaśmieconych i zafajdanych wód współczesnej antykultury. Później rozmawiał z nim w sumie kilka (naście?) razy, ale nigdy nie przyłapał artysty na popisach rubasznosci w stylu Rabelais'go, nie usłyszał choćby tak małego kalibru wulgaryzmów, jak „dupa”, „gówno” lub „sukinsyn”. Znajomy redaktor „Nihil Novi” (który o wiele dłużej znał pana Kazia) zapewniał Orestesa, iż sławny, emerytowany scenograf po prostu nie używa karczemnych wyrażań, w przeciwnieństwie do wielu sympatyków serialu o egzystencjalnych perypetiach Ferdka Kiepskiego. *Casus* autora genialnego akrylu *Helen wraca do Anglii* udowodnił p. Orestowi Agrestowi, że można zachować normalność w anormalnym świecie nowoczesnej sztuki, która już od dawna przypomina węża, pożerającego własny ogon. A to utwierdziło go w przekonaniu, że jego (psychologicznie) podejrzany opór nie jest „snem wariata śnio-nym nieprzytomnie” (Gałczyński).

Niestety, z roku na rok ubywało mu sił do dzielnego trwania na posterunku negacji obyczajowego postępu, po latach dopadł go syndrom „obleżonej twierdzy”: co dzień czuł się cholernie zmęczony i coraz bardziej tracił wiarę w lepsze jutro. Ostatnio, wyobraźcie sobie, tymczasowo bawił w Myślenicach, gdzie akurat przytrafiła mu się deprymująca wpadka w samym sercu sennej starówki. Szedł oto powoli, kroczył za kroczeniem (wszak nigdzie się nie śpieszył), przez środek rynku i widział z daleka (zbliżającą się doń) jakąś wymalowaną i wytatuowaną lalę, miejscową ślicznotkę, która głośno bluzgała do telefonu, trzymanego przy uchu szponiastymi paluszkami. Właśnie mijała piaskowcową figurę św. Floriana, przed którą ludzie stateczni, jeszcze pół wieku temu, zęgnali się nabożnie. Na szczęście święty miał kamienne uszy, przeto nie mogły mu spuchnąć od tego babskiego jazgotu, ale na nieszczęście Orestes przypadkowo zapatrzył się w to ziemskie i dialektyczne zjawisko: rażąca sprzeczność między tym, co widać, i tym, co słychać. Albo – intrygujący rozróżnienie między naturalnym pięknem a nabytą brzydota. („Kobiety mają wybitne skłonności do oszpecania się” – pomyślał przelotnie). Ich drogi miały się przeciąć, wtem wyperfumowana wargula stanęła, odsunęła od ucha telefon i jakby spuchniętymi karminowymi wargami warknęła do zaskoczonego Oresta: „Co się dziadek gapisz, masz coś do mnie? Spierdzielaj!!!” Zdębiał i zaniemówił. Zabolalo go w środku. Nie wiedział, co odpowiedzieć, ale mi-giem lasencja znów była w drodze, bluzgając do komórki jeszcze bardziej. Jak to było u sławnego Hiszpana? – uporczywość pamięci. Stale męczyła go smutna prawda, że dał się podejść, że nie stać go było na godną ripostę – jak dawniej, jak parę lat temu!... W nocy, nie mogąc zasnąć, patrzył z ósmego piętra w granatowy ocean, upstrzony mrugającymi światełkami wokół bladeżłotego rogala, ale wciąż i wciąż przezuwał umysłowe zaćmienie na myślenickim rynku. Tuż przed odlotem w oniryczne przestworza pomyślał: „Im bardziej czas się kurczy, tym szybciej karleje kogucia fantazja we mnie... O, kurza gęś!!!”... ■



*...the eye reveals the brain.*

# Miłość wysadzona w powietrze

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Dzieje Świerklańca obfitują w zdarzenia dramatyczne. Przed 58 laty wysadzono tam w powietrze resztki okazałego niegdyś pałacu Donnersmarcków, który przez wiele dekad stanowił architektoniczną chlubę Neudeck (dawna niemiecka nazwa miejscowości). Górnośląski obiekt architektoniczny był w pewnym stopniu wzorowany na francuskim zamku Pontchartrayn pod Paryżem.

## Od Piastów do pruskich magnatów

Licząca sobie niespełna 4 tysiące mieszkańców obecna wieś w powiecie tarnogórskim ma niezwykłą historię. Jeszcze w XV wieku była we władaniu opolskich Piastów, którzy wzniesli tam nawet swój

## Pałac dla Blanki

Obiekt powstał z miłości hrabiego do markizy **Blanki de Paiva**, starszej od niego o 11 lat urodziwej i wytwornej kobiety, związanej mocno z artystycznym środowiskiem Paryża. Błyskotliwa i inteligentna dama, wyróżniająca się znajomością kilku języków, obdarzona muzycznymi uzdolnieniami (niezła pianistka), stanowiła źródło twórczej inspiracji dla francuskich malarzy, literatów i muzyków.

Słynęła z uczestnictwa w salonowych dyskusjach o sztuce, historii, ale także o polityce i finansach. Dziś byłaby zapewne nazywana celebrytką na skalę światową. Co ciekawe – urodziła się (według oficjalnej wersji) w 1819 roku w Moskwie jako córka ubogich Żydów o polskich, prawdopodobnie, korzeniach.

24-letni Guido zakochał się w 35-letniej Blance od pierwszego wejrzenia, podczas emocjonującego spotkania w paryskiej operze. Od razu zaproponował jej małżeństwo. Okazało się to jednak niemożliwe, bo wybranka jego serca była żoną portugalskiego markiza – Albina de Paiva. Formalny ślub został zawarty dopiero w 1871 roku, po orzeczeniu kościelnego unieważnienia małżeństwa Blanki z portugalskim arystokratą. Porzucony markiz nie mógł się jednak z tym pogodzić i pod koniec 1872 roku zastrzelił się w Paryżu.

Kosztowna rezydencja świerklaniecka była prezentem Donnersmarcka dla markizy, która – odnotujmy to skrupulatnie – wyszła za niego za mąż w wieku 52 lat. Projekt imponującej budowli opracował francuski architekt **Hector Lefuel**. Przedtem był on autorem zrealizowanej z pomyslnym skutkiem oryginalnej koncepcji połączenia pałacu Tuileries i Luwru w Paryżu.

Lefuel nosił tytuł nadwornego architekta cesarza Napoleona III. Fakt zatrudnienia takiego akurat projektanta w peryferyjnym i nieznanym europejskim elitom Świerklańcu świadczy aż nazbyt wymownie o rozległości wpływów Donnersmarcka, który chciał po prostu olśnić w ten sposób ukochaną kobietę.

Budowa pałacu nie była jednak prosta pod względem technicznym z powodu bagnistego charakteru gruntów, na których miał on powstać. Teren został najpierw wzmocniony przy użyciu 2 tysięcy dębowych pali o długości 10 m. Wbito je w ziemię, utwardzając plac budowy. Dopiero na takim podłożu postawiono fundamenty rezydencji.

– Bryła pałacu była niezwykle symetryczna. Środkowy, najwyższy, trzykondygnacyjny ryzalit posiadał wysoki dach, a pozostałe dwa, niższe, usytuowano na krańcach głównego korpusu. Horyzontalnym rozwinięciem budowli były skrzydła galerii, łączące ryzalitty boczne z dwoma czworobocznymi pawilonami z kopułastymi dachami. Zachowana do dziś fontanna z antycznymi muzami, podtrzymującymi glob ziemski, ogrodowe rzeźby, tarasy oraz szerokie schody opadające majestatycznie w stronę stawu, pozwalają się domyślać skali rozmachu architektonicznego XIX-wiecznej rezydencji – opowiada dr **Arkadiusz Kuzio-Podruccki**, historyk z Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim.

fot. arch.

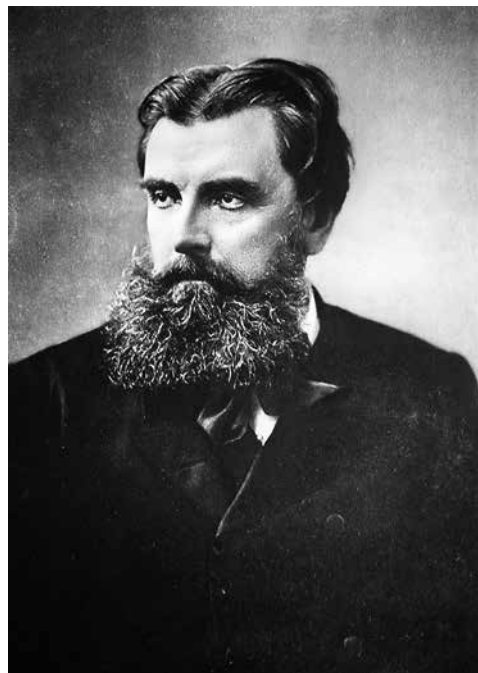


Blanka de Paiva

zamek. W 1623 roku znalazła się natomiast w rękach Donnersmarcków, górnośląskiego rodu magnatów ziemskich i przemysłowych.

Szczególne piętno na architektonicznym wyglądzie miejscowości odcisnął **Guido Henckel von Donnersmarck** (1830–1916), zamożny przemysłowiec, właściciel wielu śląskich hut i kopalń, wpływowy polityk pruski, a zarazem sławny filantrop, który sfinansował m.in. budowę katolickich świątyń w Mikulczycach, Reptach i Tarnowskich Górach. W latach 1872–76 wznosił w Świerklańcu imponującą rezydencję arystokratyczną w stylu renesansu francuskiego. Nazwano ją **małym Wersalem**.

fot. arch.



Guido Henckel von Donnersmarck

## Najwybitniejsza kobieta epoki

Nie zachowały się w ogóle historyczne dokumenty, z których można byłoby czerpać wiedzę na temat dokładnego wyglądu wnętrza dawnego pałacu. Wiadomo tylko, że artystyczne pasje i zainteresowania Blanki miały duży wpływ na wystrój wielu pomieszczeń. Wisiały tam np. bezcenne obrazy, a w jednej z sal znajdowała się unikatowa kolekcja ceramiki starożytnej, w tym m.in. wspaniałe wazy antyczne z greckiej Krety.

Markiza mieszkała w świerklanieckiej rezydencji przez 14 lat. Małżeństwo nie miało dzieci. Blanka zmarła w 1884 roku w wyniku tragicznego wypadku, do którego doszło podczas przejażdżki



konnej. Jej błękitny szal (jeden z wielu pięknych podarków męża) zaplątał się w gałęzie drzew i udusił ją, co stało się później przyczyną snucia różnych spiskowych hipotez na temat okoliczności jej śmierci.

Donnersmarck długo nie mógł dojść do siebie po tym zdarzeniu. Dopiero po upływie pewnego czasu oświadczył publicznie: – *Jestem dumny, że przez blisko trzydzieści lat potrafiłem utrzymać przy sobie najwybitniejszą kobietę epoki.*

Warto jeszcze dodać, że drugą żoną górnośląskiego magnata przemysłowego została w roku 1887 (a więc dopiero po trzech latach od śmierci Blanki) wywodząca się również z Rosji szlachcianka **Katarzyna Slepcew**, ale tym razem młodsza od niego o 32 lata.

### Komunistyczny wybryk

Świerklaniecki pałac nie wyszedł cało z wojennej zawieruchy w 1945 roku. Został spalony i poważnie uszkodzony przez żołnierzy Armii Czerwonej, którzy potraktowali go jako zniszczony majątek niemiecki. Marmury i kamienne bloki ze zrujnowanego obiektu posłużyły podobno w latach 1951–58 do budowy Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Ostatni akt świerklanieckiego dramatu dokonał się latem roku 1962. W czynie partyjnym – pozostałości XIX-wiecznej budowli wysadzono wte-

dy w powietrze. Z inicjatywą w tej sprawie wystąpiła Powiatowa Rada Narodowa w Tarnowskich Górach. W uzasadnieniu wniosku powołano się na opinie poirytowanych kobiet ze Świerklańca, które skarżyły się ponoć, że w zdewastowanych murach niemieckiego pałacu... straszą duchy. Komunistyczni decydenci argumentowali, że żony śląskich górników boją się z tego powodu chodzić w sąsiedztwie upiornych ruin. To w zupełności wystarczyło.

W wakacyjny dzień sierpniowy wezwano saperów, którzy podłożyli ładunki wybuchowe w ruinach i w jednej chwili zamienili w pył resztki małego Wersalu. Podobny los spotkał też tzw. Stary Zamek w Świerklańcu pomimo jego piastowskiego rodowodu. Uczestnicy niszczycielskiego czynu partyjnego nie ukrywali radości. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że operacja została przeprowadzona bez wiedzy i zgody wojewódzkiego konserwatora zabytków, choć pozostałości dawnego zabytku nadal miały zabytkowy charakter.

### Ocalone ślady przeszłości

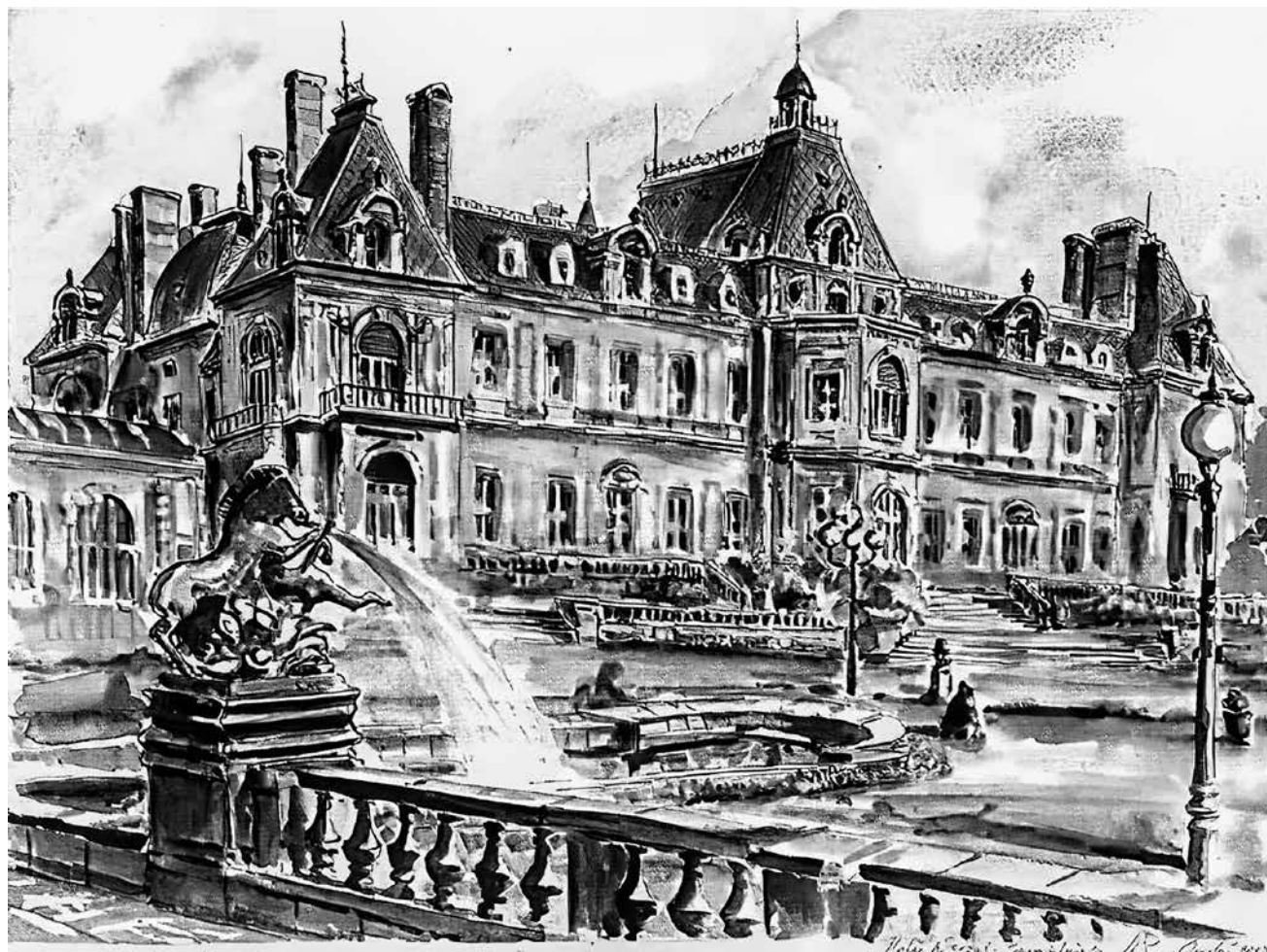
Nie wszystko jednak zdołano unicestwić. Pochodzące z ogrodu pałacowego **dwie rzeźby lwów znajdują się dziś w Zabrze**, zdobiąc wejście do parku przy ul. 3 Maja. Dawna świerklaniecka brama ogrodowa została natomiast przewie-



Ocalała rzeźba muz podtrzymujących glob

ziona do Parku Śląskiego w Chorzowie, gdzie zamontowano ją przy wejściu do ZOO. W samym Świerklańcu ocalały zaś niektóre rzeźby oraz tzw. Pałac Kawalera, neobarokowy obiekt wzniesiony w latach 1903–1906, stanowiący niegdyś część rezydencji Donnersmarcków (był połączony podziemnym tunelem technicznym z małym Wersalem).

Dlaczego ten obiekt nie podzielił smutnego losu pałacu? To łatwo wytłu-



Mały Wersal – akwabela Mirosława Ogińskiego



Tyle pozostało z dawnej rezydencji: rozległe schody i rzeźba

maczyć. W okresie istnienia PRL stał się luksusową siedzibą ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego, przeznaczanego dla wyselekcjonowanych kadr górnictwa. Dziś pełni funkcję restauracyjno-hotelową. O dawnych czasach

przypomina też zadbane 186-hektarowy park pałacowy, utrzymany w stylu francuskim. Jeszcze w lutym uchodził za atrakcyjne miejsce spacerów mieszkańców gminy i przyjezdnych turystów, ale marcowy wybuch światowej zara-

zy wirusowej zmienił radykalnie tę sytuację. Kwietniowy zakaz wstępu do parków obejmuje m.in. świerkklaniecki kompleks przyrodniczy, na którego terenie znajduje się 9,5-hektarowy staw, ceniony od lat przez okolicznych wędkarzy (dorodne okazy leszczy, linów, okoni, płoci, sandaczy, szczupaków, a nawet i węgorzy).

### Benedyktyńska cierpliwość

Pozostały jednak – na szczęście! – nieliczne fotografie i rysunki dawnej rezydencji Donnersmarcków. Na ich podstawie niestrudzony miłośnik modelarstwa, **Zbigniew Czyż** z Tarnowskich Gór, emerytowany inżynier transportu kolejowego, sporządził efektowną makietę pałacu. Rękodzieło o wymiarach 140x80 cm jest absolutnie wierną miniaturą zlikwidowanego obiektu.

Praca przy jej mozolnym i wymagającym niezwyklej cierpliwości sklepaniu zajęła panu Zbigniewowi trzy miesiące: od lutego do maja 2019 roku. Fantastyczny efekt jego manualnych umiejętności można podziwiać w jednej z sal wystawowych Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim. Dzieło XIX-wiecznych architektów i budowniczych ciągle fascynuje współczesnych Ślązaków! ■





Mały Wersal ze Świerklańca



Wersal paryski



# Sarkandiana sprzed 400 lat

JAN MALICKI

Niedawno ktoś zadał mi dziwne pytanie: czy faksymile i reprintsy mogą być białymi krukami? Odpowiedź w zasadzie winna być prosta, jasna i krótka – nie. Mówimy jednak o technice powielania tekstu. Ale też o przestrzeni niezwykle rozległej, rozciągającej się od sporządzania wiernej, rękopiśmiennej podobizny dokumentu, poprzez proces fotomechaniczny mniej dokładny, aż po fotoreprodukcję oryginału, niezadko o nowych danych wydawniczych identyfikujących druk. Bo też biały kruk to metafora dzieła niezwykłego, wyjątkowego, unikatowego. Nihil novi. Lecz wprowadzając aspekt estetyczny – dobór papieru, oprawa, superekilibris – nadajemy owemu drukowi wartość dodaną. Ale co z reprintami, będącymi jednak jedynie odbitym światłem unikatowych, wcześniejszych edycji? Czasem numerowanymi, czasem ozdobnie wykańczanymi, czasem w niewielkiej liczbie uświęcającymi podniosłe uroczystości. Należą jednak do epoki przeddigitalnej, gutenbergowskiej, właśnie przemijającej. Urok takich dokumentów polega jednak na czymś zupełnie innym; na procesie wymuszania poczynań edytorskich, coraz głębszego wnikania w oryginał i znaczne wzbogacania; od transliteracji, transkrypcji, objaśnień filologicznych, językowych, po komentarze naukowe osadzające przedstawiany świat w rzeczywistości realnej. Ale wówczas może się okazać, jak daleko nasz świat uleciał od przeszłości. Od czasów Jana Sarkandra i Ołomuńca, Pierre Meniera, Stróża Bramy św. Wiktora, i Paryża, Fabiana Birkowskiego i Warszawy.

Jest rok 1620. Od dwóch lat trwa wojna religijna państw europejskich. Z jednej strony – Unia, koalicja państw protestanckich, z drugiej – Liga Katolicka. Historycy twierdzą, iż tło stanowiły trwające od lat konflikty ograniczające swobody religijne protestantów, które doprowadziły do wybuchu powstania. Sygnałem była tak zwana II defenestracja praska, wyrzuce-

nie przez okno z hradczańskiego zamku dwóch namiestników cesarskich na znak protestu przeciwko wprowadzanym ograniczeniom religijnym przez cesarza Ferdynanda II. Rozpoczęła się najkrwawsza wojna w dziejach Europy. Szaleństwo przekraczało wszelkie możliwe granice. W miejsce pospolitej miłości bliźniego – niewyobrażalne okrucieństwo. Bez barwy wyznaniowej. Po pierwszych sukcesach protestantów, szala zaczyna się przechylać na stronę katolików. Zwłaszcza, gdy w kierunku Czech i Śląska wyruszają coraz liczniejsze wojska Ligi. Ich pożegnania mają niezwykle uroczysty przebieg tak, jak to się stało w 1620 roku w Rzymie przed właśnie konsekrowanym kościołem Santa Maria della Vittoria (Matki Boskiej Zwycięskiej), dzisiaj nieopodal dworca Termini, a sławnego kaplicą Cornaro i wspinałą Ekstazą św. Teresy, Lorenza Berniniego. Również od strony Rzeczypospolitej nadciągały oddziały kozackie płk. Lisowskiego, wstawionego z niesłychanego okrucieństwa. Już wkrótce lisowczycy staną się postrachem Europy, biczem bożym, Hunami XVII stulecia. Ciągną przez Śląsk i Morawy.

I w tym miejscu należy przypomnieć postać św. Jana Sarkandra, beatyfikowanego dokładnie w roku, gdy Józef Lompa kończył pisać swój przewodnik po Jasnej Górze, a kanonizowany w czasie, gdy ukazały się dwa reprintsy. Jeden, w opracowaniu niezwykle zasłużonej dla poznania przeszłości literackiej Śląska Cieszyńskiego – Haliny Szotek, i drugi opracowany przeze mnie ćwierć wieku temu. Szczególnie cenny jest ten pierwszy zatytułowany: *O ogromnym okrucieństwie i przemocy zadanych osobie Wielebnego Ojca i Błogosławionego Jana Sarkandra, dziekana i pasterza Ołomuńca na Morawach, prowincji czeskiej przez przewrotnych heretyków i niewiernych w 1620 roku... Paryż, Pierre Menier, Strażnik Bramy św. Wiktora*. To była sensacja. Druk ten bowiem ukazał się w Paryżu w pół roku po śmierci Jana Sarkandra, ale już po

bitwie pod Białą Górą, która na stulecia okaleczyła kulturę Czech. Jej autor z niezwykłą precyzją re-lacjonuje przebieg procesu, zakończonego tragiczną śmiercią torturowanego. Werystyczny opis poraża w swojej dosłowności. Ukazuje cały bezmiar okrucieństwa sędziów i katów. Zarzucano mu bowiem zdradę, że sprowadził na Morawy wojska polskie spieszące do Wiednia, że nie złamał tajemnicy spowiedzi, że przywdział na Jasną Górę...

Drugi przywołany druczek, to *Głos krwie B. Iana Sarkandra Męczennika Morawskiego przez X. Fabiana Birkowskiego, Doktora Theologa, z Zakonu Kaznodziejskiego, Dominika świętego*. Było to jedno z trzech kazań opublikowanych w 1629 roku w jednym. Ten nadworny kaznodzieja Władysława IV, członek królewskiej rady „roztrząsającej układy z heretykami” w swoim kazaniu niezwykle erudycyjnym, po przypomnieniu biografii Męczennika, „aniola w ciele dla czystości, męża wielkiego w ciele, dla męstwa wielkiego jego przy zachowaniu pieczęci spowiedniej, której żadne męki katowskie przełamać, oderwać nie mogły”, roztrząsał, deliberował, rozważał kwestie ważne dla spowiedników. Silnie podkreślał aspekty etyczne spowiednika, który „ma milczeć, co na spowiedzi słyszał”. A „spowiedź przez listy zakazana”. Były to więc kazania skierowane zapewne do współbraci zakonnych. Ale pamięć zachowała tę wielką tragedię hołszowskiego proboszcza. Zresztą nie tylko. W Ołomuńcu łatwo jest odnaleźć kaple sv. Jana Sarkandra, charakterystyczną, żółtą, eliptyczną kaplicę; pod nią znajduje się cela, w której był torturowany. Przez okrągłe otwory tam zajmować. ■





# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## Anioł Historii

**R**etrotopia. Cóż to takiego? To termin, który powstał przez połączenie dwóch słów: retro i utopia. Odnosi się do zjawiska przeżywanego; odczuwanego. Czyli – jak czytamy w tekście *Od wydawcy* w pracy Zygmunta Baumana: **Retrotopia. Jak rządzi nami przeszłość** „Zgodnie z duchem utopijnym retrotopia zrodziła się z pragnienia naprawy lub choćby poprawienia urzędnictwa świata...”. I dalej, „głównym punktem orientacyjnym w rysowaniu mapy tego świata ma być wyobrażona przeszłość – pochowana, ale jeszcze nie umarła, ponieważ jak pokazuje Bauman, wciąż tkwi w niej potencjał kreowania teraźniejszości”.

W dobie ponowoczesnej, w czasach globalizmu, ustawicznie odczuwamy poczucie zagrożenia. Już przed wielu laty antropolog Clifford Geertz ostrzegał, że zanika intensywnie epoka silnych „struktur spójności”, a następuje epoka „powszechnego postrzępienia świata”.

W tym świecie ustawicznie pojawia się „płynny strach”. I to zarówno przed teraźniejszością, jak i przed niepewną przyszłością. Teraźniejszość jest ustawicznie zagrożona. Przez obcych i wiele innych – nie zawsze nazwanych – zagrożeń m.in.: okresowe kryzysy ekonomiczne, epidemie, lokalne konfrontacje zbrojne, ale i „wojny kulturowe”, postępującą destrukcję kultury, a dalej choćby dezorganizację relacji społecznych, czy „globalne ocieplenie”. Trwa też ustawiczny konflikt – jak to precyzyjnie wyjaśnia ekonomista Dani Rodrik – między „hiperglobalizowaną gospodarką a spójnością społeczną”.

Przyszłość jawi się jako nierozpoznana, a zatem – groźna. Narasta też poczucie rozdarcia między oglądem przeszłości, która przez jednych jest mitologizowana, przez innych ideologizowana. Pojawia się zarówno „glo-

balna nostalgia” za tym co minione, ale i negacja przeszłości. Temu towarzyszy ustawiczne niezrozumienie realnej teraźniejszości. A nadto niebezpieczne, wręcz obezwładniające poczucie niepewności przed jutrem. Postęp zachwyca i zarazem dla niektórych, staje się ułudą. W ubiegłym wieku kontrowersyjny pisarz Oskar Wilde twierdził, że jest on, czyli postęp – „spełnieniem utopii”. Cóż w takim przypadku począć, skoro wszystko jest niepewne. Może po prostu od tego świata zagrożen, niezrozumienia – odejść. Ale jak? Czy to jest możliwe? Czy można się zachować tak, jak bohater jednej z nowel Franza Kafki pt.: *Wyjazd* i zwyczajnie uciec z miejsca zagrożenia „byle dalej stąd”. Sam też wyjaśnia: „Tylko dalej, jedynie tam mogę osiągnąć swój cel”. A dokąd uciec? Przykładowo teraz, w czasach pandemii. Ucieczka dla bohatera Kafki staje się zatem celem, ale celem nie jest, i nie może być.

Patrząc na to, co nas otacza, wiemy, że nie możemy tak postąpić. Z otaczającym nas koronawirusem, niewidzialnym wrogiem musimy sobie poradzić. Musimy zgodzić się z rygorami i ograniczeniami dnia dzisiejszego, musimy je zaakceptować. Wszak zawsze radziliśmy sobie z wszelkimi – nawet tymi największymi demonami – demonami wojny. Nie ulegajmy więc wizji katastroficznych apokalips, którymi zalany jest m.in. internet.

Dawniej, także na poziomie kultury ludowej wytworzone zostały formy oswojenia tego, co złe, sposoby jego przezwyciężenia, wytwarzania nadziei i budowania działań racjonalnych, załączków nowego porządku, który dziś musi nastąpić w czasie nadchodzącego np. kryzysu ekonomicznego.

Koronawirus to kolejne straszliwe doświadczenie ludzkości. Groźne. Ale przecież siła tkwi w nas samych,

w naszej kulturze, myśleniu, w potęgach umysłu. I ducha. Dziś stawką jest ludzkość, potrzebne są: współdziałanie, nowy solidaryzm, poszanowanie drugiego. Niewidzialny wróg czai się wszędzie i, o zgrozo, także w bliznim. Nie jest on już jednak obleczony w mundur obcego wojska.

Jakże w tym kontekście przejmujący był widok samotnego papieża na placu św. Piotra. On i pustka, zmuszają do refleksji widoki opustoszałych ikonicznych miejsc Starej Europy – Paryża, Rzymu, Londynu, Madrytu. Może zatem znane hasła rewolucji francuskiej – *liberté, égalité, fraternité* musimy odczytać na nowo. Można i należy nadać im nowy sens.

W naszym świecie bez granic, w świecie ustawicznych podróżników, tułaczy, bogatych jak i biednych, także kategorii zwanej *flâneur*, czyli tych wszystkich wałęsających się po nieustabilizowanym świecie.

Przecież wszyscy jesteśmy jedno. I to zarówno na poziomie lokalnym, regionalnym, narodowym, kontynentalnym, globalnym – światowym. Tu nasuwa się skojarzenie z akwarą *Angelus Novus* Paula Klee, która powstała właśnie – o dziwo 100 lat temu, inspirowała wielu, w tym i wspomnianego wyżej socjologa. Teoretyk kultury Walter Benjamin pisał celnie o owym Aniele, że zwrócił się ku przeszłości. „Chciałby się pewnie zatrzymać (...). Lecz od rajy wieje wichur (...). Wichur ten niepowstrzymanie gna go w przyszłość, do której zwrócony jest plecami (...). To, co nazywamy postępem, to właśnie ten wichur”. Z. Baumann dowodzi, że przeszłość i przyszłość pozostają w ustawicznym „akcie wymiany swoich cnót i przywar” (...). Warto w tych dniach pandemii – którą musimy zwyciężyć i zwyciężymy – zastanowić się na stosunku do tego, co było, i co przed nami. ■



## ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Największą furorę wśród nas, jurorów, i publiczności Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, zgromadzonej w ostatnią niedzielę listopada minionego roku na finałowych zmaganiach konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”, zrobiło tytułowe zdanie dzisiejszego odcinka – *syca, bo musa*, wypowiedziane przez Izoldę Czmok-Nowak, rodem z Radzionkowa-Rojcy, dziennikarkę Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach, zwyciężczynię vipowskiej edycji tegoż konkursu. W gwarowym brzmieniu – odpowiadającym ogólnopolskiemu *syczę, bo muszę* – wyraziła ona trwałą obecność w jej rodzinnym idiolekcie (języku osobniczym) *sycenia*, jak mówią ludzie (czyli *syczenia*), w terminologii językoznawczej zwanego *mazurzeniem*, a polegającego na fonetycznej realizacji szeregu spółgłoskowego *sz, ż, cz, dź* jako *s, z, c, dz*: *syceć, syja, zona, zaba, cas, capka, jez-dze, dźdźysty (syczeć, szyja, zona, żaba, czas, czapka, jeźdź, dźdźysty)*. Było ono przez wieki bardzo charakterystycznym zjawiskiem wielu polskich gwar – szczególnie na Mazowszu i Mazurach (stąd termin *mazurzenie*), a także w Małopolsce i na Śląsku. Historycznie niemazurzący obszar natomiast to Wielkopolska (z wyjątkiem okolic Puszczy Noteckiej, zamieszkałych przez Mazurów wielęskich – osadników z Mazowsza).

W naszym regionie niemazurzący jest południowy Śląsk, mazurzący – Śląsk północny (większość gwar Opolszczyzny). Że *sycy* Radzionków czy Rojca (Rojce – jak mówią miejscowi), wiem od dzieciństwa, bo oddalone są te miejscowości od moich niemazurzących Tarnowskich Gór o 8–10 km. Ale *sycenie* można usłyszeć także w innych miejscowościach okolic Tarnowskich Gór, Piekar, Mysłowic, Katowic czy Pszczyny – zwłaszcza na pograniczu Śląska i Małopolski.

Ponieważ stylizacje na język gwarowy są od lat bardzo popularne w rozmaitych poczynaniach artystyczno-medialnych (z tekstami reklamowymi na czele), chciałbym

# „Syca, bo musa”

na koniec rozważań o mazurzeniu ostrzec wszystkich przed często się zdarzającymi formami typu „ksok”, „zyka”, „psyjaciel”, „jo ci psaja”. A dlaczego? – Ano dlatego, że nie dochodzi do mazurzenia w wypadku *rz* – dźwięku, który jest fonetyczną kontynuacją pierwotnego „r miękkiego”. Tego z pewnością nie wie człowiek posługujący się gwarą, ale ma on to niejako w genach, że – owszem – *syja, zyto, cysty, zaba, moze* (czyli *szyja, żyto, czysty, żaba, może*), ale tylko *kszok, zyka, psyjaciel, jo ci psaja, moze* (*krzok „krzak”, rzyka „rzeka”, przyjaciel, jo ci przaja* „ja ci przaje = ja cię lubię, Kocham, morze – Bałtyk, Adriatyk”).

Do wspomnień tarnogórskiego dzieciństwa wróciłem też przed paroma dniami, gdy na kartach „Biegunów” Olgi Tokarczuk zobaczyłem parę razy nazwisko *Kampa*, a „Rodziny” Moniki Jaruzelskiej – *Kansy*. Do owego *Kampy* i *Kansego* mógłbym przecież dołączyć nazwiska innych kolegów ze szkoły podstawowej, zawierające charakterystyczne „a nosowe”: *Bambynek, Damboń, Dambiec, Gambala, Gansiniec, Kandzia, Pandzioch, Pankala, Stanchły, Zamboń*. Oczywiście, wszystkie te nazwiska mogą się pojawić w różnych rejonach Polski, ale aż nadto wyraźna jest ich obecność na Śląsku. Poza nim funkcjonują na ogół standardowe postacie *Bębenek, Dęboń, Dębiec, Gębala (Gębała), Gęsiniec, Kędzia, Pędziach (Pędzisz, Pędzich), Pękała (Pękała), Stęchły* – także z wariantywnymi zapisami z „em” czy „en”, a nie z „ę”.

Owa śląska seria nazwiskowa z „am”, „an” to kolejna skamielina fonetyczno-graficzna, w której zachował się pewien „środkowy” stan historii samogłosek „e nosowego” i „o nosowego”. Dlaczego środkowy? – Ano dlatego, że z języka prasłowiańskiego odziedziczyliśmy te dwa samogłoskowe dźwięki nosowe, ale proszę sobie wyobrazić, że w pewnym momencie dziejów polszczyzny – w XIV i XV wieku – zły się one w głoskę jedną, właśnie „a nosowe” (takie, jakie mamy w wyrazach typu *kwadrans, pasjans, awans, mezialians*: to „-ans” wymawiamy jako „a nosowe”). W tamtym czasie każda samogłoska występowała w odmianie krótkiej i długiej – tak jak do dziś w czeszczyźnie czy w języ-

ku słowackim (panował tzw. *iloczas*, jak się mówi w terminologii lingwistycznej). Funkcjonowała więc np. para wyrazowa „mąąka” i „mąka” – z tak samo brzmiącym „a nosowym”, tyle że w pierwszym wyrazie długo wymawianym, a w drugim – krótko. Kiedy *iloczas* odszedł polszczyźnie w przeszłość, z dawnego dłuższego „a nosowego” powstało „o nosowe” (*mąka*), a z krótkiego „e nosowe” (*męka*). Wróciliśmy więc do stanu wyjściowego, odziedziczonego z czasów prasłowiańskich, a nazwiska z „am”, „an” są graficznym śladem owego etapu środkowego, jak go wyżej nazwałem. Oprócz nich takim śladem jest litera „ą” – w gruncie rzeczy fałszywa, bo nieodpowiadająca brzmieniu „o nosowego”. To powinno być „o z ogonkiem”, a nie „a z ogonkiem”! Ale że skrybowie epoki, w której było tylko „a nosowe”, zaczęli ten dźwięk zapisywać w postaci „a” z doczepionym do tej litery prototypem współczesnego ogonka, grafem ten przetrwał, choć – powtórzmy – z dłuższego „a nosowego” zrobiło się „o nosowe”.

„A nosowe” zachowało się też w wielu gwarach Śląska Opolskiego, gdzie usłyszeć można takie formy, jak *zamb, zamby, gamb, piałć, pianty, Żandowice (zqb, zęby, gęba, pięć, piątą)*, miejscowość *Żędowice* koło Zawadzkiego).

Mamy również parę nazewniczą *Kąty Wrocławskie* (niem. *Kanth* – z „an”!) – *Kęty* (w Małopolsce). Ale że obie te nazwy w XIV/XV wieku realizowano fonetycznie jako *Kanty* – z „a nosowym”, świętego Jana pochodzącego z dzisiejszych *Kęt* określamy mianem *Jana Kantego* (1390–1473).

Wreszcie – jako wierny kibic chorowskiego Ruchu *muszę* się przyznać i do tego, że w czasie egzaminów z gramatyki historycznej często prosiłem studentów o analizę językową nazwiska przedwojennego piłkarza tej drużyny *Panchyrza*. Oczywiście, czekałem na wywód dotyczący owego „a nosowego”, obecnego w przywołanym nazwisku, oraz na zwrócenie uwagi na pierwotny jego wygłos „-yrz”: *Panchyrz* – jak *pastyrz, śmierć, wirzch, wirzba, cirpieć*. Dopiero gdzieś od XVI wieku zaczęły się w naszym języku utrwalac brzmienia typu *pęcherz, pasterz, śmierć, wierzch, wierzba, cierpieć* – z „erz”, „er” ■

## Blues

Ciężko brzmiał jego głos, tuż nad ziemią.  
Nieoczekiwanie podrywał się i opadał jeszcze cięższy.  
Wibrował ciemnymi dźwiękami w górnych rejestrach.  
Mocniej niż kontrabas wprawiał w ruch gęste powietrze;  
zanikało z każdą wyśpiewaną nutą i znów potężniało,  
syciło barwami ulicę.

Śpiewał brudnymi dźwiękami o bólu, samouniżeniu,  
tęsknocie za niedościgłym życiem z dawnych lat.  
O tym kim się stał wbrew sobie, na przekór innym.  
Niezwyknięty w uporze gorzko się śmiał.  
Odchodził i znów wracał do słów.

fot. Maria Korusiewicz



## Małe rzeczy

Słońce lekko rozjaśnia jej lewy profil.  
Dokładnie rozczesuje długie jasne włosy.  
Siedzi przed lustrem w secesyjnej ramie.  
Mężczyzna całuje rozchylone usta.  
Ociera szorstki zarost o miękką skórę szyi.  
W pokoju pachnie świeżo zerwanym bzem.  
Trzasnęły drzwi szarpnięte porywem wiatru.  
Na trzecim piętrze zanosi się płaczem dziecko.  
Głodne albo niekochane – myśli kobieta.  
Będzie burza nie zapalaj światła – mówi na głos.

## Dobre miejsce

Na latarni szara wrona  
obok cisza płochliwa  
w każdej chwili gotowa odlecieć

## Myśliciel

Bezdomny mężczyzna stoi przy ruchliwej głównej ulicy.  
Czyta bezpłatną gazetę. Z mozołem sylabizuje wydrukowane słowa.  
Jego twarz, okolona szpakowatą brodą, przypomina oblicze greckiego filozofa ceniącego wolność ponad życie.

**MICHAŁ ŚNIADO-MAJEWSKI** – poeta związany z Warszawą. Debiutował w tygodnikach o tematyce kulturalnej. Pisze krótkie, oszczędne w formie utwory. Czerpie inspirację z rzeczywistości przefiltrowanej przez wyobraźnię. W swojej twórczości daje wyraz fascynacji człowiekiem, jego złożoną naturą i bogactwem wewnętrznym. Publikował wiersze w e-Dwutygodniku Literacko-Artystycznym *Pisarze.pl*, Wydawnictwie „J” oraz w Magazynie Literackim „Minotauryda”. W lutym 2019 roku, nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, została opublikowana jego książka pod tytułem *JEDNIA* (znajduje się w zbiorach Biblioteki Śląskiej). W poszukiwaniach artystycznych autor łączy czasami poezję ze sztukami wizualnymi.





# Profesor Jan Kazimierz Zaremba

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Z dziejami śląskiej polonistyki nierozdzielnie związane jest nazwisko **Jana Kazimierza Zaremba**, znakomitego znawcy staropolszczyzny i inicjatora literackich badań śląskoznawczych w Katowicach. Człowieka o dramatycznej biografii i oryginalnej osobowości. Średniego wzrostu, z gęstymi ciemnymi brwiami, ze śniadą cerą, zielonymi oczami i zawsze dobrze przystrzyżonym wąsem, wyróżniał się szybkim krokiem i dużym rozrządzeniem, które przeszło do legendy. Student pierwszego roku Mieczysław N. wchodzący do rektoratu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w roku 1958 czy 59 minął na schodach groźnie wyglądającego mężczyznę o ciemnej karnacji. „Pewnie profesor” – pomyślał, i na wszelki wypadek bardzo grzecznie powiedział: „Dzień dobry”, co pozostało bez reakcji. Po paru minutach tenże ciemnowłosy osobnik zbiegł gwałtownie po schodach i zwrócił się groźnie do struchlałego studenta: „Pan mi się kłaniał?” – „Tak” – wyszeptał bliski omdlenia Mieczysław – „Dzień dobry. Przepraszam, że panu nie odpowie-

działem”. I „ten z wąsem” pognał przed siebie. To był właśnie Jan Kazimierz Zaremba. Wieloletni prorektor (1951–1956 i 1961–1968) i dziekan (1956–1958) Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach, potem dyrektor Instytutu Filologii Polskiej (1969–1973), wreszcie kierownik Katedry Literatury Staropolskiej, Oświeceniowej i Romantycznej (aż do przejścia na emeryturę) w Uniwersytecie Śląskim.

Jan Kazimierz urodził się w 1 stycznia 1906 roku w Ostrawie jako syn Zofii Zaykowskiej herbu Jastrzębiec i Bolesława Zaremba herbu własnego, inżyniera pracującego w śląskim hutnictwie w Witkowicach, gdzie „dorabiał do herbu”, jak z przekąsem napisał Bolesław Lubosz. W *Pamiętniku* Zaremba wspominał: „Ostrawę, z której wyjechaliśmy w 1916 roku, przypominam sobie dobrze. Było to miasto fabryczne, zapyłone i zasmolone, a mimo to zachowałem do niego pewien sentyment. (...) W dzień widać było dookoła kominy hut, a w nocy długie języki ognia uchodzącego gazu z fabryk. (...) Wieczorem obserwowałem

w pokoju, w którym spałem, grę świateł i cieni na ścianach”. Ale Zarembowie pochodzili z sądeckich Stróż koło Gorlic (były to dobra Zaykowskich), ziemi Waclawa Potockiego, gdzie do dziś znajduje się piękny podworski „Park Zarembów”, trudno więc się dziwić, że Waclaw Potocki stał się tak ważny dla przyszłego profesora polonistyki.

Naukę podjął w krakowskim IV Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki o profilu klasycznym, ojciec chciał, by został inżynierem, matka, by wybrał rolnictwo i osiadł w majątku rodzinnym, jego jednak ciągnęła polonistyka i marzenie o przyszłej pracy na wyższej uczelni. Został więc studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a jego mentorem był prof. Ignacy Chrzanowski, a potem prof. Stanisław Kot, który zainteresował go literaturą protestancką; w efekcie Zaremba w 1933 obronił doktorat o Anonimie Protestancie, a następnie powrócił na Śląsk, by uczyć w szkołach średnich – w Wirku, Mysłowicach i w Boguminie na Zaolziu, wreszcie w Sosnowcu.

Profesor Zaremba był w młodości harcerzem, żarliwym, ideowym i utalentowanym literacko, zapewne związanym z drużyną, która działała przy krakowskim gimnazjum, a fascynacja ruchem pozostała mu na całe życie, co znakomicie poświadcza współpraca z „Na tropie”, świetnym czasopiśmie harcerskim z dwudziestolecia, wychodzącym w Katowicach. W latach 1928–1930 wchodził w skład redakcji, a publikował od pierwszego numeru, i zawsze znaleźć można było w piśmie jego wiersze, gawędy, opowiadania, reportaże czy szkice popularnonaukowe. Już w pierwszym numerze pisma znajdziemy mały „poemacik” o tym, *Jak harcerze do Betlejem wędrowali*, otoczony pięknie ilustrowaną stajenką. W drugim numerze możemy przeczytać wiersz *Na śmierć Zawiszy*, w trzecim *Pieśń o Chocimiu* oraz piękny reportaż z Wileńszczyzny, zatytułowany *Nad błękitnymi oczyma niebios*. W tym krótkim wyliczeniu widać różnorodność form oraz pewien rozmach twórczy. Może był niespełnionym poetą? Pisarzem? Aż do końca życia wracał bowiem do innej jakości pisarstwa niż naukowe. Jednak współpraca późniejszego autora *Waclawa Potockiego ziemi podgórskiej* z „Na Tropie”, to temat na inny szkic.

Te jego „inne” możliwości zauważono także, gdy nawiązał współpracę z Polskim Radiem w Katowicach, które 31 sierpnia 1939 jako ostatnią audycję w języku polskim wyemitowało profetyczne *Larum w obozie* Jana Kazimierza Zaremby. To o bitwie pod Buczyną, między prezydentem do korony polskiej Maksymilianem III Habsburgiem a zwycięskim hetmanem wielkim koronnym Janem Zamoyskim. Druga emisja miała miejsce 31 sierpnia 1977 roku, obie wyreżyserował Zbigniew Lipczyński.

Międzywojnie w Katowicach to były jeszcze związki z „Fantaną”, najpoważniejszym piśmie literackim w Katowicach. Wyłoniła się ona z „Kuznicy”, pisma Pawła Musioła, związanego z Obozem Narodowo-Radykalnym „Falanga”, a następnie ze Związkiem Młodej Polski, który, oderwawszy się od ONR, współpracował z Obozem Zjednoczenia Narodowego. Miesięcznik, a później dwutygodnik „Kuznica” poświęcony był „zagadnieniom współczesności i Śląska” i ukazywał się od 1935 roku. Do września 1939 r. pojawiło się 86 numerów „Kuznicy”, powstała również Biblioteka „Kuznicy”, w której w 1938 r. wydano *Hanysa* Wilhelma Szewczyka i *Pieśń o jaworowym krzaku* Jana Baranowicza. Wypromowanie młodych autorów było wielką zasługą P. Musioła, który był mentorem zwłaszcza W. Szewczyka. Z „Kuznicy” wyłoniła się jesienią 1938 r. „Fantana”, jej redaktorem został W. Szewczyk, K. Zaremba był współredaktorem. Od drugiego numeru do zespołu dołączył Zdzisław Hierowski, *de facto* jednak najbardziej zaangażowany był W. Szewczyk.

„Fantana” to grupa literacka oraz miesięcznik z podtytułem „literacko-artystyczny”, który zamieszczał też aktualności i sprawy polityczne. Poezję publikowali tu W. Szewczyk i Baranowicz; Zaremba ogłosił poemat *Słowo o Krzysztofie Arciszewskim*, ale więcej zamieszczał publicystyki o różnorodnej tematyce. Szewczyk, wspominając tamten czas, napisał: „Poza Baranowiczem był poetą „Kuznicy” – Jan Zaremba, dr filozofii, nauczyciel gimnazjum żeńskiego w Mysłowicach, później w Boguminie. Wiersze jego, nieliczne zresztą, były racjonalistycznie suche, tu i ówdzie tylko błysnęła świeża metafora. Miały jednak myśl i dlatego tak się niektórym podobały. Zaremba był właścicielem ziemskim, posiadał do spółki z bratem [Karolem] i rodzicami wielki folwark w Stróżach nad (sic!) Krynicą. Był podobny do Węgra i szalały za nim dziewczynki w szkole, a i jakieś dwie koleżanki po fachu zakochały się w jego czarnym, węgierskim wąsie. Tak mówiono w Mysłowicach”.

Jednak związki fantanistów musiały być bliskie i powiedzmy dość „serdeczne”, skoro mógł po latach Bolesław Lubosz w *Alfabcie śląskim* w haśle „Zaremba” dość przekornie przypomnieć: „Swoich kolegów po piórze z redakcji „Fantany” zapraszał w okresie wakacji do rodzinnego dworku, żeby tych głodomorów wreszcie dożyć i porządnie wyszorować w dworskiej balii. Jednak owe literackie przechery zamiast stołu szlachetnej pani Zarembiny, przy którym trzeba było zmówić paoierek, zamiast hożych, dworskich dziewczek, które czekały na nich z utęsknieniem przy dymiących baliach z ryżowymi szczotkami w krzepkich dłoniach, oni upodobałi sobie dworcową knajpę, a to dlatego, żeby ich tam nikt nie odnalazł. Bowiem pani

diedziczka widząc, jakie to ancymony, przykazała wiejskiemu szynkarzowi, żeby natychmiast, gdy tylko panice pojawią się u niego, on – przy pomocy miejscowych osiłków – odstawiał ich ciupasem do dworu. Mośka aż skręcało, bo miał litościwe serce dla trunkowych, ale uroczyście poprzysiągł na Biblię”.

Wybuch wojny w 1939 roku przerwał to wszystko, zniszczył rozwijające się środowisko, a przyszyły profesor wraz z rodziną wrócił do rodzinnego dworu. Tu jak wielu nauczycieli zaangażował się w tajne nauczanie, prowadzone bardzo regularnie i rzetelnie. W nieodległych Gorlicach mieszkał Stanisław Zabierowski wraz z żoną Jadwigą z Łobaczewskich i synem Stefanem. Rodziny były od dawna zaprzyjaźnione, ponieważ jeszcze w starszym pokoleniu Łobaczewscy z Zaykowskimi utrzymywali bliskie, zażyłe kontakty, które teraz na nowo odżyły, zwłaszcza że Stanisław Zabierowski, również polonista, też był zaangażowany w tajnym nauczaniu. Rodziny się chętnie odwiedzały. Natomiast Jadwiga z Łobaczewskich osobiście przenosiła pytania maturalne z Gorlic do Stróż.

W nieodległym Berdechowie (część Bobowej) ukrywał się Hugo Steinhaus, genialny matematyk pochodzenia żydowskiego, przed wojną profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, twórca tzw. lwowskiej szkoły matematyków, który czasem też przebywał w Stróżach, oczywiście pod fałszywym nazwiskiem, zaangażowany w tajne nauczanie. W wydanych pośmiertnie w 1992 roku w Londynie *Wspomnieniach i zapiskach*, pięknie pisał o Janie Kazimierzu i jego inteligencji.

Po wojnie modrzewiowy dwór Zarembów zniszczono doszczętnie; tak działała „reforma rolna”, podłogi porąbano na opał. Brata Rosjanie wywieźli na Sybir, a w roku 1946 Jan Kazimierz znalazł się w Gorlicach, zamieszkał u państwa Zabierowskich i uczył polskiego w miejscowej szkole średniej. Gdy na Boże Narodzenie uczniowie wystawiali *Betlejem polskie* Lucjana Rydla, dopisał do widowiska drugą część z realiami wojennymi, np. występował w jednej ze scen więzień Auschwitz. Kolejnym przystankiem Wandy i Kazimierza Zarembów (ślub odbył się w 1935 roku) był Kraków, gdzie też powrócił z Sybiru brat Jana Kazimierza – Karol, który zmarł po kilku dniach; był tak wycieńczony, że rodzina go w pierwszej chwili nie poznała.

Wreszcie rodzina Wandy i Kazimierza Zarembów (były już na świecie dwie córki: Wanda i Zofia) osiadła w Katowicach, gdzie życie trzeba było ułożyć od nowa, w bardzo zmienionych warunkach. Ludowa rzeczywistość generalnie nie sprzyjała właścicielom ziemskim, tzw. „bezetom” i Zaremba też był tego świadom. Przypomnieć też należy, że wszystkie osoby związane z nieżyjącym już Pawłem Mu-

siołem, który został zgilotynowany w roku 1943 w katowickim więzieniu, znalazły się pod obserwacją Urzędu Bezpieczeństwa. W aktach IPN możemy przeczytać taką notatkę: „Jest to mianowicie samorodna przedwojenna ścisła grupa śląska inteligentka, która jakiś czas była w porozumieniu z naprawiaczami, ale ostatecznie wyłądownała w O.N.R. i robiła próbę współpracy z »pułkownikami« na podłożu wspólnemu im wstecznictwa oraz antysemityzmu. Na tym tle ich przywódca, Paweł Musioł został kuratorem rządowym Związku Nauczycielstwa Polskiego. Najważniejsi byli tam wtedy następujący młodzi ludzie: Hierowski, Szewczyk, Alojzy Targ i Bednorz oraz Kokot”. Dodajmy, że „dotarto” wtedy jeszcze do innych osób związanych w przeszłości z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Katowicach, nie tylko do Zaremby, ale i do Tadeusza J. Dobrowolskiego czy Kazimierza Popiołka. Zaremba miał też na swoim koncie jeszcze wydaną w roku 1937 przez Wojewódzką Komisję Wychowania Obywatelskiego *Płonącą Hiszpanię*, po wojnie bardzo nieprawomyślną, którą w panice próbował wycofywać z bibliotek publicznych. W tej sytuacji znajomy adwokat doradził mu wstąpienie do PPR, wskutek czego późniejszy profesor w roku 1948 znalazł się w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Bolesław Lubosz w *Alfabcie śląskim* napisał, że prof. Jan Zaremba „swoich przedwojennych komiltonów unikał niczym zarazy”. I tak było, za dużo o sobie wiedzieli. Wszyscy odwracali się od siebie. Jakże mieli sobie teraz spoglądać w oczy, gdy każdy z nich musiał w sobie zabić własną młodość, gdy wiedzieli o wspólnym kłamstwie, gdy w każdej chwili mógł się pojawić szantaż, gdy z premedytacją niszczone ich przyjaźń i porażano łękiem?

Widocznie jednak wykonał wówczas „właściwe” ruchy i w roku 1950 Ministerstwo Oświaty (ówczesny minister, Stanisław Skrzeszewski, pochodził z Nowego Sącza, co wiele tłumaczy) powierzyło mu organizację **Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej** w Katowicach, której został prorektorem, a fizyk, prof. Stanisław Glücksman – rektorem. Uczelnia miała początkowo kierunki ścisłe i jeden Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii. Dopiero w 1953 roku powołano Wydział Filologii z kierunkiem filologia polska; w roku 1956/57 zaczęto nabór na studia wieczorowe z zakresu historii, dwa lata później powstała bibliologia (polonistyka z nachyleniem bibliotekoznawczym). To wszystko w dużej mierze było inicjatywą Zaremby, który tak realizował młodzieńcze marzenie o pracy akademickiej.

Wróćmy jednak do wcześniejszych rozważań. Profesora Zarembę zapamiętali wszyscy studenci katowickiej polonistyki, studujący w latach jego pracy, zwłaszcza jego ubiór, niezbyt staranny lecz w pew-



Prof. dr hab. Jan Kazimierz Zaremba (drugi z prawej) i ówczesny dr Witold Nawrocki (pierwszy z lewej)

nym stylu, do którego należały niedobre do pary sznurówki i skarpetki, kontrastowe spinki przy mankietach koszuli i szelki, z których lubił „strzelać” w najmniej oczekiwanych okolicznościach, na przykład podczas egzaminu. Prowadził zajęcia głównie z literatury staropolskiej, sobie najbliższej, stanowiącej pierwszy przedmiot jego badań naukowych.

Były to głównie artykuły o Waławie Potockim, a więc *Waławia Potockiego ziemia podgórska*, *Waławia Potocki a środowisko ziemi bieckiej*, *Tradycja czarnoleska w twórczości Waławia Potockiego*, czy *Przekład „Jerozolimy wyzwolonej” Tassa w romansach wierszowanych Waławia Potockiego*. Pisał również o Janie Kochanowskim i jego bratanku Piotrze, i ich wpływie na twórczość poety z Woli Łużańskiej. Kilka rozpraw poświęconych zostało Anonimowi Protestantowi.

Drugi nurt jego zainteresowań tworzyło polskie piśmiennictwo na Śląsku. W tej dziedzinie miał istotne osiągnięcia badawcze. Pamiętać należy o zarysie monograficznym poświęconym Adamowi Gdaczusowi, pastorowi z Kluczborka; o publikacjach o Walentym Rożdżeńskim, zwłaszcza większym opracowaniu *Poemat Rożdżeńskiego o hutnikach*; o książce *Polscy pisarze na Śląsku po wojnie trzydziestoletniej*; o pisarzach osiemnastowiecznych – Janie Muthmanie i Samuelu Ludwiku Zasadiusie, związanych ze Śląskiem Cieszyńskim. Być może największym jego dokonaniem jest tzw. *Korbut śląski. Bibliografia piśmiennictwa śląskiego XVII i XVIII wieku* dla badań śląskoznawczych mający znaczenie fundamentalne. W katowickich „Poglądach” w roku 1972 wyznał: „Któż bowiem, jak nie śląscy poloniści powinni odkrywać w części zapomniane do dziś piśmiennictwo dzielnic, która od czasów Rożdżeńskiego, »Wielkiego obywatela Katowic«, i Adama Gdaczusza, twórcy polskiej prozy na Śląsku, po czasy »Zarania« Śląska Cieszyńskiego, polskiej pieśni po-

wstańczej i poetyckiej działalności Jaronia i Świdra, wykształciła jedyną, w pełni dojrzałą literaturę regionu. Tej literaturze poświęciłem najwięcej moich prac”. I istotnie, jego zasługi w tej dziedzinie są niepodważalne, także ze względu na swój pionierski charakter. Wyrazem uznania dla nich była docentura przyznana w roku 1956 oraz profesura nadzwyczajna, którą uzyskał w roku 1970.

Wypromował jedenastu doktorów, których dysertacje dotyczyły albo literatury Odrodzenia i Baroku, albo problematyki śląskiej. Właściwie wszyscy poświęcili się później pracy naukowej, troje – Renarda Ociecek, Jan Malicki i pisząca te słowa – doszło do profesur tytularnych, jedna – Maria Pawłowiczowa – została profesorem uczelni. Jednak jego życie akademickie nie obfitowało tylko w sukcesy i miłe wydarzenia, przeżył też porażki i upokorzenia, z których największą było – arbitralną decyzją KW PZPR – przeniesienie w maju 1973 roku Wydziału Filologicznego do Sosnowca. Profesorowie J. Zaremba i Irena Bajerowa zrozpaczeni udali się do wojewody Jerzego Ziętka, który bezradnie i ze smutkiem rozłożył ręce.

Jednak pamięć ludzka jest przewrotna i nigdy nie wiadomo, co w niej przetrwa, a co pokryje zapomnienie. Otóż „Jan Czarny” bardziej przetrwał w anegdocie niż w nauce. A „Czarny” dlatego, że wówczas na WSP było trzech Janów: „Jan Piękny” – prof. Jan Pachociński, wybitny historyk wojskowości, znawca epoki napoleońskiej; „Jan Dobry” – profesor Jan Bohucki, pedagog, chętnie opowiadający studentom o Januszu Korczaku, którego znał osobiście, dziekan Wydziału Filologiczno-Historycznego od roku 1958; czerni wąsów i karnacji określiła Jana „od staropolszczyzny”.

Jan Zaremba lubił swoich studentów i dydaktykę akademicką, zwłaszcza wykład. Nigdy nie krzywdził studentów, także w czasie egzaminów, choć wiadomo było, że są teksty, które trzeba znać

doskonale: *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa, *Pamiętniki* Paska, *Wojnę chocimską* Potockiego i *Opis obyczajów* Jędrzeja Kitowicza. Przekazywano także kolejnym rocznikom jego perfidne i bardzo szczegółowe pytania z Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza*, którego znał na pamięć i z upodobaniem recytował fragmenty w czasie wykładów i egzaminów. Przymykał wtedy oczy, a twarz mu się wygładzała. Przerwanie recytacji zawsze profesora bardzo gniewało i było działaniem na własną zgubę; zwłaszcza w trakcie egzaminu. Tak było właśnie w czasie egzaminu z literatury staropolskiej, którym bezlitośnie straszono studentów pierwszego roku. Zaremba co jakiś czas – wydawało się – zasypiał, zwłaszcza po zadaniu pytania – początkowo posapując, potem pochrapując. Ten i ów wyciągał notatki i szybko coś doczytywał, po chwili egzaminator gwałtownie się budził i bezlitośnie oblewał nieuczciwych, a dla reszty był łagodny, ponieważ nie spał, tylko obserwował ludzkie zachowania. Podobne reakcje spotykały też młodych asystentów, dających się nabrać na pozorną nieuwagę pryncypała. Dla tych ostatnich nie zawsze był łagodny; rozgniewany, podnosił głos i potrafił być niemiły.

Trzeba wreszcie napisać o wycieczkach, specjalnie umiłowanych przez Profesora, który opracował całą ich poetykę, świetnie przygotowanych, łączących pięknie i w sposób przemyślany zdobywanie wiedzy z przygodą krajoznawczą. Było też w tym echo tzw. „wycieczek patriotycznych”, tak ważnych w edukacji II RP, gdy trzeba było scalać w jeden organizm podzielone zaborami ziemie. Przyświecało im hasło „Piękna nasza Polska cała”, zaczerpnięte z *Pieśni o ziemi naszej* Wincentego Pola.

Po latach prof. Zbigniew Jerzy Nowak nazwał te wycieczki „darem harcerskiego serca”. Poprzedzało je przygotowywanie tras, referatów, gromadzenie przewodników i opisów zabytków. Tak wędrowaliśmy szlakami Jana Kochanowskiego, Waławia Potockiego, Stefana Żeromskiego, do kolebki Państwa Polskiego do Gniezna i nad Gopło. Kiedyś nawet pojechaliśmy do kopalni „Śląsk” w Chropaczowie, był zjazd na dół, spotkanie z górnikami i przeczłoganie się wąskim chodnikiem.

Stałym i atrakcyjnym punktem programu wycieczki było zaginięcie profesora. Zwykle dwie specjalnie wytypowane osoby czuwały nad nim dyskretnie, ale on się i tak zawsze zgubił. Później długo go szukano, a gdy wreszcie odnaleziono, było wiadomo, że wycieczka jest udana i prawdziwa. Były różne zaginięcia Jana Zaremby, trzeba wspomnieć choć jedno do kolebki Państwa Polskiego po Wielkopolsce. Gopło, ciepły, pełen barw jesienno-zimnych, właśnie żegnany ostatnim spojrzeniem jezioro, gdy okazuje się, że nie ma profesora. Wszyscy zaczynają szukać. Zaczyna zapadać zmrok, a jego nie

ma. Wreszcie wylania się z alei biegnącej wzdłuż jeziora, idzie wolno, w zadumie, jest cały oblepiony rudziejącymi liśćmi. Gdzie był i co robił pozostanie tajemnicą.

Wycieczki miały swoją niepowtarzalną atmosferę. Decydowało o tym także nasycenie ich literaturą: fragment *Puszczy jodłowej* Żeromskiego czytany na stokach Świętej Katarzyny czy *Malwiny* księżnej Wirtemberskiej w Puławach zapadały głęboko w pamięć. Jakżo urok miał wykład o Renesansie na tle czarujących kamieniczek Zamościa czy niezapomniany spacer po Kaliszu, śladami pani Barbary Niechcicowej i jej dzieci. W tym Kaliszu rozrzucony, wówczas jeszcze dr Z.J. Nowak wznosił okrzyki: „Vivat Calissia reverendissima”, a profesor Zaremba w restauracji zamawiał „cebulkę”, bo w menu napisano „rumsztyk z cebulką”. Często były to najsilniejsze przeżycia naukowe i estetyczne w czasie studiów.

Profesor dobrze czuł się wśród młodzieży, chętnie brał udział w rozmowach, śpiewach, chętnie sam gawędził i nie wiadomo, kiedy gawęda zmieniała się w wykład. Tak dowiedzieliśmy się właśnie o autorze i dziejach ulubionej studenckiej pieśni *Gdy Noe świętym był*; znakomitym satyryku Włodzimierzu Zagórskim (1834–1902). Otoczony ludźmi czuł się w swoim żywiole, bo w ogóle bardzo lubił towarzystwo. Dlatego chętnie organizował zjazdy absolwentów, uroczyste zebrania Koła Polonistów, wieczory autorskie studentów, gdy próbował tańczyć ze studentkami, mylił zabawnie np. walc i tango, choć wycucie rytmu miał znakomite.

Wielkim dorocznym wydarzeniem były jego imieniny w dniu św. Jana 24 czerwca, na które zapraszano zaprzyjaźnione osoby, także przedstawicieli Koła Polonistów. Katedra, a potem Zakład zmieniały wygląd: panie w nowych kreacjach, panowie pod krawatami, niemalże „przy orderach”, a pięknie zastawiony stół ugiął się

pod ciężarem potraw i trunków (profesor sam hojnie ten stół zaopatrywał). Wiwaty i patetyczne mowy gęsto inkrustowane łaciną, toasty: „winszuję w Pana ręce, Panie Profesorze!” Wino profesor zawsze przynosił sam, a ponieważ *in vino veritas*, zaczynały się wspomnienia, przywoływał w nich Jan Zaremba lata swej studenckiej młodości, a zwłaszcza postać Ignacego Chrzanowskiego, stanowiącego dla niego ideał wykładowcy uniwersyteckiego. Mówił o jego odwadze, ale też o tragicznej śmierci w Sachsenhausen i wtedy smutniał. Natomiast z humorem opowiadał o krakowskich sentymentach dla Franciszka Józefa (interesujące, że z teatru Kazimierza Wyki też w najmniej oczekiwanych momentach wysuwał się portret Najjaśniejszego Pana) i wspominał spotkania, na których, stojąc, śpiewało się „Boże chroń cesarza”. Z tego sentymentu do Krakowa wynikało też zapraszanie na wykłady gościnne krakowskich uczonych, czasem zatrudnianie na krótszy lub dłuższy czas. Tak poznawaliśmy najświetniejszych polonistów tamtego okresu: z Uniwersytetu Jagiellońskiego – Stanisława Pigonia, Zenona Klemensiewicza, Kazimierza Wykę; z Uniwersytetu Warszawskiego – Juliana Krzyżanowskiego; z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – Czesława Zgorzelskiego i Jerzego Starnawskiego. Zajęcia prowadzili Tomasz Weiss, Stanisław Jodłowski, Alfred Zaręba, Marian Tatar, Zygmunt Czerny, Stanisław Sierotwiński i inni. Literaturę powszechną wykladała – oprócz Stanisława Zabierowskiego – świetna romanistka – Maria Strzałkowa, później też wybitny filolog klasyczny Władysław Madyda. Te przyjazdy, zwłaszcza na gościnne wykłady, bywały także okazją do biesiad.

Anegdota o Janie Kazimierzu Zarembie istnieje niezliczona ilość, trudno wszystkie spisać. Może ich bohater znał *Komizm* Jana Stanisława Bystronia, opi-

sującego postać roztargnionego nauczyciela, nieustannie myślącego o nadchodzącym wykładzie i pisaniem artykułu. Był dumny, że jest profesorem i „dobawiał” rzeczywistość tak, by zwrócić na siebie uwagę. Wróciwszy ze stypendium naukowego w Paryżu opowiadał, że gdy kiedyś szedł ulicą, trzymając jedną nogę na trotuarze, a drugą na jezdni, clochard odezwał się do niego: „Monsieur le professeur vous trompez les jambes?”. „Nawet on poznał, że jestem profesorem” – opowiadał z dumą.

Ostatnie imieniny profesora obchodziliśmy w jego mieszkaniu przy ul. 3 Maja, w czerwcu 1982 roku. Na uczelni trwały zwolnienia związane ze stanem wojennym, było smutno, bo początkowo rozmawialiśmy o internowanych kolegach i nikomu nie chciało się żartować. Na nienakrytym stole stała butelka czerwonego wina i kilka kieliszków. W pewnym momencie Zaremba machnął ręką, wino się rozlało, a dobra i mądra pani dr Wanda Semkowicz-Zarembina, mediewistka, znawczyni *Roczników* Jana Długosza, powiedziała, wzdychając: „Teraz już mogę nakryć do stołu”. Wstała, powycierała i wyjęła białą serwetę. Wino jednak poprawiło nastrój, a Jan Kazimierz jakby już zarzucił PRL-owską cenzurę i zaczął rozmowę w innym tonie. O „Tygodniku Powszechnym”, o audycjach radia „Wolna Europa”, o niedzielnym homiliach w swoim kościele parafialnym, o Janie Pawle II.

Profesor Zaremba zmarł 7 lutego 1983 roku, jego córka dr Wanda Cyankiewicz wspominała, że zawsze polecał jej i młodszej Zofii, by modliły się za konających, ich nieznaną nikomu mękę.

Tak modlili się pod koniec jego uczniowie, zwłaszcza najwierniejsza z nich, prof. Maria Pawłowiczowa. Ona też wraz z panią dr Cyankiewicz zajęła się organizacją pogrzebu, który zgodnie z życzeniem Zmarłego miał być z krypty Katedry Chrystusa Króla, pełniącej obowiązki „kościół akademickiego”. Nie udało się tego załatwić, więc niestrudzona Pani Maria, gotowa dla „swego profesora” zrobić wszystko, udała się do biskupa Herberta Bednorza, znanego z niekonwencjonalnych zachowań. Opowiedziała o zaistniałej sytuacji, a hierarcha powiedział: „to pogrzeb będzie z Katedry”. I tak się stało. W bardzo mroźny lutowy dzień w Katedrze zgromadziły się tłumy, pracownicy Uniwersytetu, krakowscy przyjaciele, pokolenia śląskich polonistów. Nie wszyscy weszli do kościoła. Eucharystii przewodniczył ks. bp. Czesław Domin, który w homilii pogrzebowej pięknie mówił o pracy naukowej, o fascynacji literaturą, tak jakby osobiście znał Zmarłego. Odprowadziliśmy go na cmentarz ewangelicki przy ul. Francuskiej. I tak został na zawsze na Śląsku, któremu służył czynami i słowem. ■

phot. arch.



# Na odejście pewnej aktorki

pamięci MARII STOKOWSKIEJ-MISIURKIEWICZ

BOGDAN TOSZA

Co to za pokój i kto w nim  
czeka  
Czy to pokój dziecinny  
Co to za pokój  
I kto siedzi przy mnie  
Czy to Duniasza czy już  
śmierć  
Jak to możliwe że się mieszczę  
w tym małym łóżku  
I znowu oczy oczy jak z ołowiu  
nie poznałam cię  
może jutro będzie lepiej  
dlaczego ten las podchodzi do okna  
czy to już koniec  
dlaczego znowu lecę w dół  
Lonia nie pozwól mi tak spadać  
gdzie moja córka znowu ją zgubiłam  
a więc mój syn żyje i jest tu ze mną  
raz już wychodziłam z grobu  
na wezwanie kochanka  
albo sama go wołałam  
dlaczego wszystko się chwieje  
albo kurczy  
co to za pokój  
już miałam taką twarz  
kiedy to było  
w białych bandażach  
kram Karoliny  
jak mi zimno  
czy to wiosna  
nie przecież to grudzień  
umarły las ścinają drzewa  
drzewa na trumny

(2020)



fol. Bogna Idziak

Sztuka współczesna w równej mierze fascynuje, co wzbudza nieufność. Wśród części odbiorców uchodzi za dość hermetyczny obszar kultury, a dostęp do niej wydaje się być utrudniony. Pokłosiem dawnej koncepcji sztuki, rozumianej jako praktyki przeciwstawiania się kulturze masowej, jest ciężące nad nią piętno elitaryzmu. Pełnej demokratyzacji kultury przeciwstawia się również kapitalistyczna rzeczywistość, ufundowana na dyskretnych różnicach klasowych, artykułowanych za pośrednictwem określonych preferencji estetycznych, reprezentujących poszczególne grupy. Kultura, stanowiąc przedmiot konsumpcji, jest obszarem szczególnie podatnym na dystynktywne różnicowania mające manifestować bądź zdradzać status jej konsumentów.

Jedną z bezpośrednich przyczyn wyłączenia bądź ograniczenia udziału pewnych grup w kulturze, anachronicznie nazywanej *wysoką*, jest niedobór *kapitału kulturowego*, a więc kompetencji nabytych w wyniku edukacji i uczestnictwa w życiu społecznym. O ile osoby wyposażone w taki kapitał równie sprawnie poruszają się w polu sztuki instytucjonalnej, co popkultury, o tyle osoby o niższym poziomie kompetencji kulturowych mogą czuć się niepewnie w konfrontacji ze sztuką współczesną, która zbyt często jest dla nich nieczytelna, a w konsekwencji obrazoburcza, bądź co gorsza – nużąca.

Paradoksalna jest pewna „dwubiegowość” świata sztuki, który z jednej strony wciąż jest przynależny elitom, a jednocześnie stanowi pole dla emancypacyjnych, oddolnych działań, mających realną siłę podważania społecznych struktur oraz przesuwania granic utartych norm. Sama figura współczesnego artysty, będącego zarazem „producentem” luksusowych dóbr, za jakie możemy uznać dzieła sztuki, jak i pre-



for. arch.

Oprowadzanie filozoficzne J. Hessa po wystawie Michała Gątarka

# Nowe perspektywy sztuki

ADA PIEKARSKA

kariuszem zmuszonym do radzenia sobie z niestabilnym zatrudnieniem, doskonale oddaje to napięcie.

Misją Galerii Bielskiej BWA, jak każdej publicznej instytucji kultury, jest dotarcie do jak najszerszej grupy odbiorców i wyposażenie ich w odpowiednie kompetencje. Procesem demokratyzacji w polu sztuki współczesnej sprzyjają aktywności oparte na partycypacji. Przykładem takiego działania jest cykl **oprowadzeń filozoficznych** po aktualnych wystawach. Prowadzone od początku tego roku spotkania umożliwiają aktywny udział uczestników. Tym, co

odróżnia je od zwyczajowych oprowadzeń kuratorów, edukatorów i historyków sztuki, jest ich *filozoficzna perspektywa*. Przewodnikiem po wystawach jest Jarosław Hess, filozof, który dzieła sztuki osadza w orbicie pojęć związanych z językiem dotychczas zarezerwowanym dla nauk humanistycznych czy społecznych. Wszelkie twierdzenia filozoficzne powstają zawsze w odpowiedzi na pytania. Formuła tych spotkań pozwala na swobodne ich zadawanie i wspólne podejmowanie prób szukania odpowiedzi. To jak różnorodnie mogą przebiegać trajektorie tych dyskusji, oddaje złożoność wizualnego medium sztuki.

Sztuki wizualne nie są zawieszane w próżni, choć surowe, białe wnętrza galerii mogą potęgować wrażenie pewnego wyabstrahowania z rzeczywistości. Przeciwnie – dzieła sztuki współczesnej powstają zawsze w konkretnym czasie, w danej sytuacji społecznej, są zapisem indywidualnego doświadczenia artysty, ale doświadczenie to pozostaje osadzone w szerszym fragmencie rzeczywistości. Dzieło sztuki jest jej świadectwem. Dyskursywny charakter współczesnych wystaw zachęca do podejmowania nowych prób odczytań, opartych nie tylko na znajomości sztuki jako takiej, ale także na refleksji nad ludzką kondycją, zarówno w ujęciu jednostkowym, jak i zbiorowym. Sam udział w życiu społecznym jest więc przepustką do w pełni satysfakcjonujących spotkań w tej tylko na pozór niedostępnej krainie nieskrępowanej wolności. ■

for. arch.

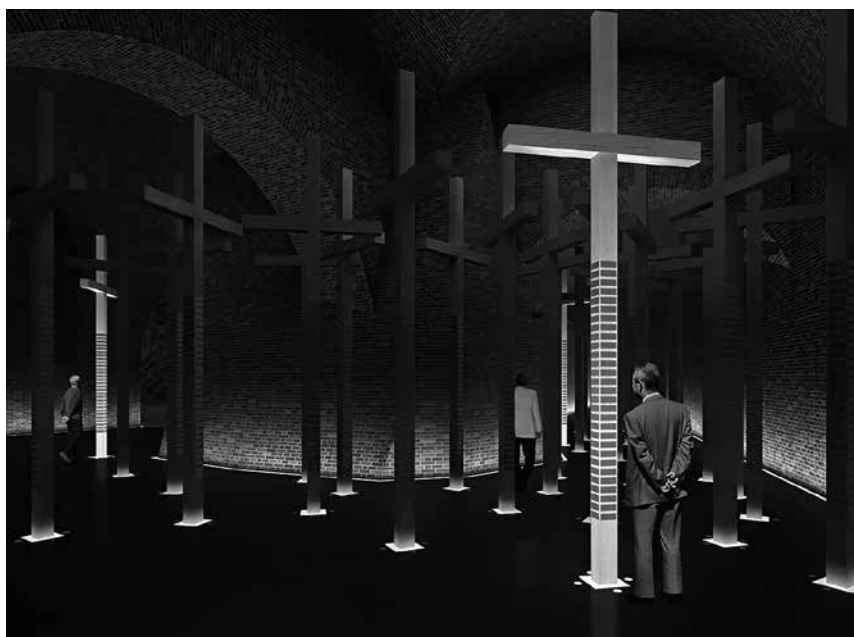


Oprowadzanie filozoficzne J. Hessa po wystawie Michała Gątarka

Projekt koncepcyjny Kaplicy Golgoty Wschodu, ulokowanej w Bastionie Św. Barbary na Jasnej Górze opracowany przez Atelier PS w roku 2004 został przez ojców paulinów przedstawiony papieżowi Janowi Pawłowi II na audyencji w tym samym roku i przez Niego pobłogosławiony.

Projektowi towarzyszył opis, z takim oto przytoczonym fragmentem...

Bastion jest doskonale dostępny od strony głównej południowej bramy, jak i zachodniego wejścia od strony parkingów. Wejścia, jedno ulokowane przy zachodniej Bramie Papieskiej zaopatrzone w schody i windę dla niepełnosprawnych i drugie na tarasowym dachu bastionu pozwalają dostać się w istniejącą przestrzeń przesklepionego kolebą ceglano korytarza usytuowanego pomiędzy ścianami mniejszego starszego bastionu, a zewnętrznymi kilkumetrowej grubości murami nowszego bastionu. W dolnym poziomie w strefie wejść ulokowane są sanitariaty, a także magazyn krzesel wnoszonych w przestrzeń na co dzień pustej kaplicy, przed mszą i dłuższymi uroczystościami. Dodatkowo okalający kaplicę korytarz dostępny jest okazjonalnie lub awaryjnie bezpośrednio z terenu okalającej bastion fosy. Pozostawiony jest jego kształt. Ceglana faktura murów podlega jedynie oczyszczeniu i konserwacji. Zastosowana cegła to w większości dobrze wypalona „wiśniówka” o litej, niezniszczonej strukturze, ze sporadycznie pojawiającymi się słabo wypalonymi „kopciówkami”. Widoczna jest cegła formowana ręcznie, jak i kształtowana maszynowo. Ciemna granitowa posadzka i korytarz podświetlany światłem sączącym się ze szczelin między podłogą a ścianami stanowią oprawę dla stu kilkudziesięciu krzyży. To obraz drogi krzyżowej tych, którzy zginęli w Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych, nieznanach do dziś miejscach. Na krzyżach ulokowano tabliczki wotywnie z nazwiskami zamordowanych. Na każdym krzyżu sto kilkadziesiąt nazwisk – na wszystkich dwadzieścia cztery tysiące. Przestrzeń wypełniona lasem krzyży wykonanych z sosen lasu katyńskiego – przeciskamy się pomiędzy nimi w klaustrofobicznej przestrzeni, poszuku-



Wizualizacja i model: ATELIER PS

Wizualizacja koncepcyjna lasu krzyży w kazamatkach kaplicy, z tabliczkami wotywnymi polskich ofiar zamordowanych na Wschodzie

## Kaplica Golgoty Wschodu

MAREK SKWARA

jąc nazwisk nam bliskich (przy wejściu można na liście komputerowej znaleźć nazwisko i tym samym spowodować, by podświetlił się krzyż z tabliczką o tym nazwisku). Znajdujemy podświetlony krzyż, tak jak sektor cmentarza wojakowskiego – szukamy nazwiska – znajdujemy [...] (fot.1). Uczestniczymy w swoistej drodze krzyżowej w lesie katyńskim, w lesie krzyży [...] Z wąskiej, przesklepionej przestrzeni okalające-

go korytarza wchodzimy przez przekute pod oryginalnymi łukami przejścia do ascetycznej z kolei, pustej przestrzeni kaplicy. Kaplica wydrążona jest w ziemi i skale, we wnętrzu starych murów. W kaplicy dominuje spokój. Ciemna posadzka hallu przechodzi tu w jasny kamień. Ściany częściowo z odkrytej cegły, głównie jednak z ciosanego rodzimego białego kamienia wapiennego na kształt grotty. To na jego tle usytuowany jest potężny, z cedrowego drewna wyrzeźbiony, prosty Chrystusowy krzyż.

Niewielki świetlik rzuca światło naturalne na krzyż i ołtarz wydobywając je spośród mroku kaplicy (fot. 2). Za nimi natomiast pojawia się wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej – Królowej Polski. Ten sam, którego oryginał ulokowany jest w pobliskim Sanktuarium, lecz nieco inny, większy i równocześnie niematerialny. Pojawiający się i znikający. Wyobrażany jakże często tam, na obczyźnie. Tu podobnie zjawia się, tym razem przy dźwiękach muzyki specjalnie na tę okazję skomponowanej przez Wojciecha Kilara. Obecny jest dzięki współczesnej trójwymiarowej technice holograficznej. Muzyka dopełnia kształt przestrzenny obiektu. Jest integralną częścią Golgoty Wschodu. Słyszalna już przy wejściu do lasu katyńskich krzyży, w miarę podążania ku kaplicy wzmaga się, by kulminować przed obrazem Królowej Polski, przy ołtarzu.

Tylko stojąc blisko ołtarza, można zobaczyć skrawek nieba przez pryzmę szklanego świetlika. Pochylają się nad nim zasadzone na dachu Golgoty Wschodu sosny, świerki i brzozy. Czuwają nad tymi, co pod ziemią. Tyle z opisu koncepcji. Wizualizacja i model: ATELIER PS

Wizualizacja i model: ATELIER PS



Wizualizacja koncepcyjna ściany ołtarzowej kaplicy z trójwymiarowym hologramem obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej

# Wierzą w wieżę

MAŁGORZATA LICHECKA

7 marca pod wieżą ciśnię przy Sobieskiego 20 w Gliwicach zebrał się mieszkający i społecznicy, którzy pragną ratować ten zabytek przed postępującym niszczeniem. Podczas akcji obywatelskiej rozmawiano o działaniach kolejnych właścicieli, instytucji i Śląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Podpisano także petycję, przygotowaną przez społeczników ze stowarzyszenia „Miasto ogród Gliwice” i „Ratujmy lipy”, skierowaną do prezydenta Gliwic. Protest współorganizował tygodnik „Nowiny Gliwickie”.

– *Przyszlśmy na Sobieskiego, bo mieszkamy w pobliżu. Kiedy mijamy wieżę, serce się kraje. Kiedyś nawet widzieliśmy jak szarpana wiatrem folia fruwa w powietrzu – mówią dwie panie, które trzymały w rękach przygotowane transparenty z napisem WIERZĘ W WIEŻĘ.*

## Solidna niemiecka robota

Historia zabytku to wspaniała karta nie tylko lokalnego dziedzictwa. Wieżę wzniesiono w początkach XX wieku na niezagospodarowanych peryferiach miasta. Budowlę uroczyscie oddano do użytku 9 lipca 1904. Była ona zwiastunem późniejszej urbanizacji tej części miasta zgodnie z planem radcy budowlanego Karla Schabika i jego współpracowników.

W latach 1922–1936 w okolicach wieży rozlokowało się osiedle domków jednorodzinnych towarzystwa GAGFAH, zaś w 1927 wybudowano kościół pw. św. Antoniego. Razem z wieżą stały się nie tylko landmarkami Gliwic, ale też istotnymi elementami koncepcji miasta-ogrodu, wprowadzanej skrupulatnie w życie przez Schabika. Świadczy o tym rekreacyjna funkcja terenów z dużą ilością zieleni, jak i wybudowane nieopodal korty Gliwickiego Klubu Tenisowego Gelb-Weiss (działające jeszcze w okresie powojennym).

## Remont, który się nigdy nie zaczął

Wieżę użytkowano do roku 1985 (właścicielem był wówczas gliwickie wodociągi). Wyłączono ją z eksploatacji, bo przeciekał zbiornik i obawiano się katastrofy. Wykonano inwentaryzację i zalecono gruntowny remont, ale nigdy go nie wykonano. Obiekt zamknięto w 1986 roku i przez 20 lat nikogo nie interesował. Dopiero dzięki działaniom Bożeny Fedas-Frączek, w grudniu 1998 wieżę wpisano do rejestru zabytków: dzięki temu bezcenny obiekt zyskał prawną ochronę. Niestety, oddanie wieży w prywatne ręce spowodowało ciąg zdarzeń, przyczyniających się do jej degradacji.

## Było ich ośmiu, zrobili niewiele

Do 2020 roku zabytek przechodził z rąk do rąk i każdy kolejny właściciel, a było ich ośmiu, zapewniał, że będzie wieżę ratował. Powstawały kolejne koncepcje zmiany jej funkcji, angażowały się znane pracownice architektoniczne, mia-

ły być lofty, pracownie artystów, restauracja, hotel. A na terenie przy zabytku... apartamentowce.

Przy wieży cyklicznie na wizjach lokalnych spotykali się kolejni właściciele, miejski konserwator zabytków oraz przedstawiciele z województwa. Ci ostatni wydawali zalecenia, które albo ignorowano, albo wykonywano opieszale. Tak robili: spółka Yours Gallery (Tomasz Gudzowaty), spółka Water Tower, Insel Holding, Stefan Franaszczyk i Zakład Badawczo-Rozwojowy Mostostal Warszawa.

Zabytek zyskał solidniejsze zabezpieczenie za kadencji Cypriana Krzysztofa Lutoborskiego, który kupił go w 2013 roku. Wtedy zamocowano na dachu czerwoną folię, w okiennicach uzupełniono płyty paździerzowe, wycięto rosnące na elewacji samosiejki, wstawiono solidne drzwi i bramę wjazdową. Przez pięć lat poszycie dachu zdążyło się podrzeć, a chwasty i samosiejki odrodzić. Lutoborski w 2016 roku wystawił teren z wieżą na sprzedaż. Kupiec znalazł się wiosną 2018. Była to pyskowska firma Komsta Group. Niestety, jej działania, szczególnie w zakresie zabezpieczenia zabytku, okazały się niewystarczające: wprawdzie załatano kilka dziur w plandecie i usunięto chwasty, ale folię regularnie szarpał i niszczył wiatr, a teren zarastał. Jak oświadczyli przedstawiciele firmy, ostatnie prace przy zabezpieczeniu dachu wykonano w czerwcu 2019 roku, jednak stosowne dokumenty projektowe złożono dopiero w marcu 2020 roku.

## Ratujmy wieżę

O wieżę, po raz kolejny, upominał się czynnik społeczny. Tym razem stowarzyszenia: „Miastoogród Gliwice”, „Ratujmy lipy” i grupa „Gliwice dla Schabika”.

– *Sprzeciwiamy się beczynności właściciela, który od wielu miesięcy nie uważa nawet za stosowne naprawić dach zabytku, aby nie niszczyła go dostająca się do środka woda, i który, jak dotąd, nie podjął żadnych działań w celu przywrócenia wieży do stanu dobrego zachowania, do czego zobowiązuje go ustawa – wylicza Jakub Słupski i dr Justyna Swoszowska, na co dzień wykładowca Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej.*

W tej sytuacji stowarzyszenie zdecydowało się zawiadomić wojewódzkiego konserwatora. Społecznicy chcą kontroli zabytku i ustalenia jego aktualnego stanu oraz stopnia uchybień właściciela. Istotne będą zalecenia pokontrolne, zobowiązujące do pilnego przeprowadzenia konkretnych, realnych działań, powstrzymujących proces degradacji.

Wsparciem dla społecznej aktywności była właśnie akcja obywatelska przy wieży. 7 marca zmanifestowano nie tylko niezadowolenie z dotychczasowych działań właścicieli i instytucji; pokazano też, że nie można ignorować dziedzictwa, któremu należy się bezwzględna troska.

## Podpisz petycję, uratuj zabytek

Autorzy petycji zdają sobie sprawę z tego, że rewitalizacja zabytku, szczególnie tak specyficznego, nie jest łatwa ani tania. „Nie domagamy się jednak od właściciela wielomilionowych nakładów, a tylko zabezpieczenia obiektu, tak by w przyszłości miał on szansę dalej wyznaczać charakter dzielnicy. Jednocześnie apelujemy do władz Gliwic o podjęcie równoległych działań w celu uratowania wieży i doprowadzenia do jej remontu. Prosimy o rozważenie wszelkich dostępnych środków – od ułatwień dla właściciela w procesie inwestycyjnym, po wykup obiektu i wykorzystanie go na cele publiczne. Uważamy, że Miasto Gliwice powinno wziąć odpowiedzialność za stan znajdujących się na jego terenie zabytków, tym bardziej, że wieża ciśnię przy ul. Sobieskiego była przecież przed laty własnością komunalną” – czytamy w dokumencie.

Adresatem petycji jest biuro WKZ oraz prezydent Gliwic. Można ją było podpisywać podczas akcji – udało się wówczas zebrać 83 podpisy, przygotowano również wersję *on line*. Liczba podpisów rośnie i po tygodniu przekroczyła tysiąc. ■



Wieża ciśnię, Gliwice, ul. Sobieskiego. Wysokość – 36 m, średnica – 27 m, pojemność zbiornika – 3000 m<sup>3</sup>

for. Michał Buksa



Losy głogóweckiego zamku oraz lokalnego muzeum już od dekad splatają się ze sobą, choć z oczywistych względów historia samej warowni sięga znacznie dalej w głąb czasu. Na przestrzeni wieków w zamku bywały osoby związane z losami Polski i Europy, a przez pewien czas, patrząc od strony formalnej, miejscowość pełniła rolę tymczasowej stolicy królestwa polskiego. Obecnie dzięki staraniom lokalnych muzealników i pasjonatów, zrujnowana budowla ma szansę odzyskać swoją świetność.

Historia Muzeum Regionalnego w Głogówku sięga przełomu XIX i XX wieku. Wówczas to znany historyk i kolekcjoner, baron Ernst von Woikowsky-Biedau, zorganizował pierwsze muzeum, które zajmowało parę pomieszczeń tzw. Gartenburgu. Zebrał on tam wiele interesujących eksponatów z Głogówka i okolic. Dużą pomoc w zorganizowaniu zbiorów wykazali uczniowie głogóweckiego seminarium nauczycielskiego (Lehrerseminars).

Po śmierci Woikowskiego von Biedau w 1912 roku wiele spośród najcenniejszych eksponatów zostało przejętych przez muzea w Nysie, Gliwicach, Raciborzu i Bytomiu. 1 maja 1928 roku połączono zachowane zbiory z izbą regionalną, która utworzona została po pierwszej wojnie w gmachu wspomnianego seminarium. Wówczas utworzono nowe Heimatmuseum, dyrektorem którego został Josef Strecke, rektor Szkoły Podstawowej. W pierwszym okresie istnienia zbiory prezentowano na poddaszu w szkole, następnie – w budynku starej remizy strażackiej, w sąsiedztwie kościoła klasztornego.

Wiosną 1932 roku zbiory powiększono o składającą się z przeszło 3000 eksponatów kolekcję w postaci obrazów, map i książek, które sprezentował dyrektor szkoły dr Rhein. Stanowiły one liczące 130 lat zbiory seminarium, i wcześniej były pomoc dydaktyczną. Do głównych zbiorów muzeum należało archiwum, które liczy-



Zamek w Głogówku od lat budzi wielkie zainteresowanie turystów i miłośników dawnej architektury obronnej

# Forteca, gdzie gościł polski król

## Historia zamku w Głogówku

TOMASZ BIENEK

ło bogatą kolekcję książek i prasy regionalnej. Mała przestrzeń, trudności ekspozycyjne i wciąż zwiększające się zbiory, były przyczyną przeniesienia siedziby Muzeum w nowe miejsce. W listopadzie 1937 roku siedzibę Muzeum przeniesiono do klasztornego Refektorium.

Jednym z najistotniejszych eksponatów w mieście jest sam zamek, który stanowi bardzo ważną część historii Głogówka i był świadkiem wielu ważnych wydarzeń historycznych oraz kulturalnych. W 1561 roku

gród został wydzierzawiony Oppersdorffom, którzy władali nim do 1801 roku. To na zamku w Głogówku w czasie najazdu Szwedów na Polskę przebywał ówczesny król Jan Kazimierz wraz z małżonką Marią Ludwiką, nadając tym samym miastu rangę stolicy Polski. W tym czasie zamek gościł też inne ważne osobistości: hetmana Stefana Czarneckiego wraz z małżonką, słynnego poetę barokowego Jana Andrzeja Morsztyna, a także Jakuba Sobieskiego, ojca przyszłego króla. Przyjaźń Oppersdorffów z parą monarchów utrzymywała się jeszcze przez długie lata. Dowodem tego jest ponowna wizyta Jana Kazimierza w lipcu 1669 roku, kiedy to już jako abdykant podążał do księstwa Nevers we Francji.

Drugim istotnym wydarzeniem jest pobyt wybitnego kompozytora Ludwika van Beethovena. Kompozytor pracował tu nad ukończeniem IV symfonii B-dur op 60, którą potem zadedykował hrabiemu Franciszkowi Joachimowi Oppersdorff. Rodzina Oppersdorffów przechowywała skrzętnie korespondencję z artystą, a także klawesyn, na którym koncertował. Instrument obecnie znajduje się w Muzeum Wnętrz w Pszczynie, a sam pobyt kompozytora dokumentuje kamień pamiątkowy.

– Na decyzję o realizacji projektu odbudowy wpłynęła więc bogata historia zamku i chęć pokazania jej w atrakcyjny sposób szerokiej społeczności – wyjaśnia

foto. J. Kruk



Plan zagospodarowania zamku oparto o cykl konsultacji społecznych

Kinga Markowska z Muzeum Regionalnego w Głogówku. – Muzeum Regionalne w Głogówku, działające aktualnie jako dział Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury (gminnej jednostki organizacyjnej), posiada bardzo bogate zbiory, jednakże obecne warunki infrastrukturalne zupełnie uniemożliwiają nam ekspozycję tego dorobku. Podjęte działania formalne, zmierzające do utworzenia samorządowej instytucji kultury – Muzeum Zamek w Głogówku, które kontynuować będzie – już jako instytucja muzealna, nie dział ośrodka kultury – działalność w wyremontowanym zamku. To pozwoli wyeksponować wielki potencjał Muzeum i powrócić z ofertą do zamku.

Gdy w 1945 roku ostatni pan z rodu Oppersdorffów, Wilhelm Jan wraz z rodziną opuścił rezydencję, uciekając przed Armią Czerwoną, zamek na najbliższe pół wieku stał się własnością państwa polskiego, a dokładniej własnością gminy. Do lat 50. XX w. systematycznie niszczący zamek nie był objęty opieką konserwatorską. Po wojnie stare piwnice służyły jako magazyny różnym miejscowym zakładom (m.in. przetwórstwa warzywno-owocowego). W następnych latach zaadaptowano część zamku na schronisko młodzieżowe, a potem muzeum regionalne. Pomimo różnych drobnych prac remontowych zamek wciąż wymagał gruntownych prac konserwatorskich. Z biegiem lat stan techniczny nieużytkowanego obiektu pogarszał się w zastraszającym tempie, a dziurawy dach tylko przyspieszał ten proces.

Powojenna historia Muzeum rozpoczyna się w latach siedemdziesiątych. Z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Głogówka, 22 lipca 1975 roku, zorganizowano nowe Muzeum Regionalne w czterech pomieszczeniach parterowej części zamku dolne-

go. Muzeum w początkowym okresie reaktywacji zajmowało się przede wszystkim ratowaniem od zniszczenia dawnych narzędzi i strojów gospodarstwa domowego, oraz promowaniem wiedzy o regionie. Już we wrześniu 1976 roku Społeczny Komitet Odbudowy i Zagospodarowania Zamku w Głogówku postanawia przy istniejącym Muzeum Regionalnym utworzyć Muzeum Jana Cybisa, jako Oddziału Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu.

Na kierownika powołano mgr Alberta Szyndzielorza. Kolekcja prezentowała bogate zbiory ponad 80 obrazów olejnych i ponad 800 szkiców, rysunków i akwarel Cybisa. Lokacja zbiorów znanego polskiego malarza w zamku miała w zamierzeniu przyciągnąć uwagę Warszawy i ułatwić wsparcie remontu ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W następnym czasie stopniowo organizowano zbiory. W 1977 roku utworzono w Bramie Zamkowej Salę Rafała Urbana oraz wyremontowano pomieszczenie dawnej biblioteki zamkowej, w której powstała sala koncertowa imienia Ludwika van Beethovena.

Zbiory Jana Cybisa powróciły do Opola w 1993 roku. Głogóweckie Muzeum Regionalne uległo stopniowym przekształceniom administracyjnym, zmieniając także profil działalności. W latach 1997–2007 jego dyrektorem była mgr Barbara Grzegorzczak. W tym czasie powstawały nowe ekspozycje tematyczne, związane z Oppersdorffami, pobytem króla Jana Kazimierza w Głogówku, jak również Izba u Starci, ukazująca w części wystawy etnograficznej bogaty zbiór wyposażenia kuchni z czasu międzywojennego. Główny nacisk postawiony został przede wszystkim na organizację życia kulturalnego w mieście.

Na początku XXI wieku Gmina Głogówek postanowiła sprzedać zabytkowy zamek inwestorowi, który wyremontuje obiekt i przywróci go do życia. Po dwóch nieudanych przetargach postanowiono obniżyć znacząco cenę. Później nastąpił krótki okres nadziei związanych z nowym właścicielem, a następnie długi okres sporów sądowych. Kolejne lata to liczne zawirowania prawne wokół własności zamku. Stanowią one przykład determinacji i konsekwencji działań samorządowych władz Głogówka oraz współpracy z lokalnymi liderami.

W 2005 roku Zamek został sprzedany prywatnemu inwestorowi, który planował urządzić w zamku centrum hotelowo-konferencyjne. W umowie notarialnej z Gminą zobowiązał się do wykonania (w trzech etapach) generalnego remontu zamku i prac konserwatorskich uzgodnionych z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków. Termin I etapu miał upłynąć w grudniu 2008 roku. Zakończenie wszystkich prac miało nastąpić w 2015 roku. Z uwagi na niewywiązywanie się inwestora z tych zobowiązań, podjęto próby odzyskania zamku. Trwające wiele lat procesy sądowe zakończyły się w 2014 roku, gdy zamek powrócił formalnie na własność gminy Głogówek.

Od tego czasu prowadzone są sukcesywne prace remontowe, które pozwalają zatrzymać postępującą degradację obiektu. Brak jest jednak środków, które pozwoliłyby przeprowadzić te działania w sposób kompleksowy, co pozwoliłoby nadać obiektowi funkcje kulturalne. Na chwilę obecną w budynku Dolnego Zamku wyremontowano dach, wymieniono okna i elewację, jednakże wciąż zdegradowane pozostają wnętrza. ■

Zamek w Głogówku w pierwszych promieniach wiosny



Od kilku miesięcy, wokół głogóweckiego zamku trwają prace, których celem jest pozyskanie funduszy norweskich (EEA and Norway Grants) zapewniających rewitalizację dwóch skrzydeł na potrzeby muzealne, koncertowe oraz Akademii Beethovenowskiej. Czy może Pan przybliżyć, kim Państwo jesteście w kontekście odbudowy zamku w Głogówku i inicjatywy zagospodarowania tego obiektu; lub inaczej – kto konkretnie zajmuje się rewitalizacją?

Obecnie głogówecki zamek jest własnością gminy Głogówek. Dlatego wszelkie działania związane z jego rewitalizacją są zawsze realizowane przez ten urząd, i dlatego oficjalnym wnioskodawcą projektu pn. „Przebudowa Zamku w Głogówku na centrum kulturalno-szkoleniowe” jest gmina Głogówek. Jednak zamek jest na tyle „złożonym” obiektem, że we wszystkich pracach związanych z jego odbudową bierze udział kilkanaście osób. Przy realizacji projektu prowadzona będzie ścisła współpraca z gminną jednostką organizacyjną – Miejsko-Gminnym Ośrodkiem Kultury, a dokładnie jego działem – Muzeum Regionalnym w Głogówku. Muzeum zaangażuje się w realizację oferty kulturalno-edukacyjnej. Projekt będzie realizowany w partnerstwie projektowym z instytucją The Norwegian Society of Composers and Lyricists, używającą też skróconej nazwy NOPA (w tłumaczeniu na język polski: Norweskie Towarzystwo Kompozytorów i Twórców Tekstów), będącą przedstawicielem Państw-Darczyńców.

**Poproszę Pana o dwa słowa o samym zamku; z jakiej epoki pochodzi, jakie były jego losy?**

Zamek jest cennym obiektem architektury rezydencjonalnej w województwie opolskim. Pierwotnie pełnił funkcję obronnej budowli rycerskiej, a następnie, po przebudowie, funkcję rezydencji książąt piastowskich. W okresie nowożytnym zamek należał do możnego śląskiego rodu von Oppersdorffów, którzy w okresie wojen szwedzkich udzielili na zamku w Głogówku schronienia królowi Polski Janowi Kazimierzowi. Zamek związany jest z wieloma wybitnymi osobami kultury europejskiej. Na zamku przebywał w 1806 r. Ludwig van Beethoven, gdzie skomponował IV Symfonię b-dur. Budowla była wielokrotnie rozbudowywana i przekształcana. W XIX w., po wielkim pożarze, zamek został odbudowany przez architekta Karla Fridricha Schinkla. Po zniszczeniach powojennych, w latach 50. XX wieku został rozpoczęty remont zamku, niedokończony do dziś. Podjęto wówczas próbę zagospodarowania obiektu i jego adaptacji do potrzeb lokalnego społeczeństwa. W zamku funkcjonowało Muzeum Regional-



Aleksander Devosges Cuber

# Ten zamek inspirował Beethovena

Z ALEKSANDREM DEVOSGES CUBEREM,  
dyrektorem Muzeum Regionalnego w Głogówku  
rozmawia TOMASZ BIENEK

ne oraz lokale użytkowe. Po roku 2007, z uwagi na zły stan techniczny, zamek został zamknięty, a Muzeum przeniesione do innego obiektu (baszty strażniczo-więziennej). Sam zamek na początku XXI w. został sprzedany osobie prywatnej, która nie sprostала ogromowi prac remontowych i rewitalizacyjnych. Po tych perypetiach gminie udało się odzyskać zabytek

**Skąd ponownie zainteresowanie tematem tego obiektu?**

Zamek w Głogówku to jeden z najcenniejszych zabytków Opolszczyzny wymagający wsparcia i przeprowadzenia remontów konserwatorskich. Na podjęcie decyzji o realizacji projektu miało wpływ wiele czynników. Pierwszym z nich jest ogromna ranga zabytku, jakim jest głogówecki zamek, wpisany do rejestru zabytków nieruchomych prowadzonego przez Opolskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Zdajemy sobie sprawę, że dziedzictwo kulturowe ma duży wpływ na jakość życia mieszkańców gminy Głogówek, bo charakter miejscowości oprócz zamku nadają inne cenne zabytki. Dla gminy jest to nie tylko element tożsamości lokalnej, ale także źródło zysków z turystyki. Oprócz samego zamku, wśród najważniejszych zabytków wymienić należy kolegiatę św. Bartłomieja, pochodzącą z XIV wieku, która obecny

kształt zyskała w latach 1776–1781, kościół oo. Franciszkanów wraz z Domkiem Loretańskim – jego pochodzenie to XVII/XVIII wiek, Bramę Zamkową z 1511 roku, wieżę strażniczo-więzienną, gdzie obecnie mieści się siedziba Muzeum Regionalnego w Głogówku. Inne cenne zabytki to Ratusz z 1608 roku – obecnie siedziba władz gminnych, oraz wieża wodna z 1597 roku – jeden z najstarszych pomników techniki na Górnym Śląsku

**Jaki jest nadrzędny cel waszej idei, co będzie się mieścić w odbudowanym zamku? Co chcecie Państwo osiągnąć?**

Projekt powstał w odpowiedzi na społeczne zapotrzebowanie, przy udziale i zaangażowaniu mieszkańców oraz lokalnych organizacji. Głównym celem projektu jest przeprowadzenie prac remontowo-budowlanych przy obiekcie Dolnego Zamku w Głogówku, służących dostosowaniu obiektu do potrzeb kulturalno-edukacyjnych i uruchomienia w nim działalności Muzeum. Celem strategicznym projektu, o wymiarze długofalowym, jest ochrona dziedzictwa kulturowego zabytkowego obiektu, czyli Zamku w Głogówku, a także stworzenie w nim warunków do prowadzenia działalności kulturalnej, służącej edukacji kulturalnej społeczeństwa, rozwoju przedsiębiorczości w kulturze



Fundusze z Norwegii pozwolą przywrócić całości rezydencji dawny blask

i wzmocnienia dialogu międzykulturowego. Dla rozwoju gospodarki i turystyki regionu istotne jest otwarcie się na turystów zagranicznych. Kwestia ta wielokrotnie była podkreślana podczas konsultacji społecznych. Nowa oferta kulturalno-edukacyjna instytucji muzealnej nastawiona jest nie tylko na prowadzenie współpracy z instytucjami kultury z kraju i zagranicy, lecz również obejmuje środowiska twórcze i artystów spoza kraju. W tym znaczeniu kultura odgrywa ogromny potencjał w promowaniu Głogówka i korzystnie oddziałuje na rozwój jego marki.

#### **Czy może Pan przybliżyć szczegóły?**

Cele szczegółowe projektu to realizacja niezbędnych prac remontowych i konserwatorskich przy budynku Dolnego Zamku wraz z konserwacją

wybranych muzealiów. Kolejny etap to zakup sprzętu i wyposażenia, niezbędnych do prowadzenia działalności kulturalnej i edukacyjnej, a następnie uruchomienie funkcji kulturalno-edukacyjnych w nieużytkowanym obecnie budynku Dolnego Zamku. Planujemy wdrożenie oferty kulturalno-edukacyjnej odpowiadającej na potrzeby społeczne i służącej rozwojowi przedsiębiorczości oraz współpracy kulturowej. W efekcie realizacji projektu osiągnięte zostaną także takie cele pośrednie projektu, które powiązane są ściśle z korzyściami społeczno-ekonomicznymi, jak zwiększenie powszechnego uczestnictwa kulturze, w tym osób dotychczas wykluczonych (np. niepełnosprawnych) czy wzrost kompetencji kulturowych społeczeństwa i szeroka edukacja kulturowa. Istot-

ne są takie aspekty jak budowanie sieci współpracy z instytucjami zagranicznymi na rzecz rozwoju oferty kulturowej, wzmocnienie tożsamości kulturowej mieszkańców oraz rozwój dialogu międzykulturowego i wzrost atrakcyjności turystycznej Głogówka oraz rozwój społeczno-gospodarczy Opolszczyzny.

#### **Czy planujecie Państwo organizować na zamku jakieś imprezy kulturalne, artystyczne?**

Oczywiście. Przygotowana oferta jest bardzo różnorodna, zarówno pod względem formy prowadzenia działań, poruszanej tematyki, jak i profilu odbiorców. W ramach programu zaplanowano organizację festiwalu i koncertów muzycznych, konkursów i warsztatów artystycznych, jak również zajęcia muzealne czy kursy przewodnickie. Mając na względzie czas trwania projektu i cykliczność zaplanowanych działań przyjęto, że w całym okresie jego realizacji odbędzie się łącznie 90 przedsięwzięć o bardzo zróżnicowanym charakterze. Będą to między innymi koncerty muzyki klasycznej i jazzowej, jak Śląski Festiwal im. Ludwiga van Beethovena, Śląskie Lato Muzyczne, Zaduszki Jazzowe, a także lekcje i warsztaty artystyczne, ukierunkowane na tworzenie witraży, mozaiki, rzeźb, płaskorzeźb i instalacji artystycznych w przestrzeni miejskiej, oraz warsztaty senso-plastyczne. Planujemy lekcje muzealne i warsztaty z zakresu etnografii – na temat historii Głogówka, jego wielokulturowego dziedzictwa oraz występujących w nim religiach. Chcemy organizować lekcje i kursy dotyczące różnych dziedzin sztuki (malarstwo, książka, rzeźba) prowadzone przez znanych artystów, naukowców i pedagogów, a także warsztaty o pracy w muzeum, w tym warsztaty konserwatorskie. Mamy w planach wykłady i prelekcje o zarządzaniu kulturą i kierowaniu zespołem projektowym, szkolenia i warsztaty z zakresu zarządzania w kulturze i nawiązywania współpracy instytucji kultury z biznesem, a także kurs przewodnicki dla przyszłych przewodników po historii i zabytkach miasta i gminy Głogówek. Chcemy też organizować gry terenowe w przestrzeni miasta, odwołujące się do jego historycznych i artystycznych kontekstów. Przewidujemy powstanie Akademii Beethovenowskiej, będą to m.in. kursy muzyczne w zakresie kameralistyki, w formie cykli wakacyjnych warsztatów skierowanych do młodzieży i studentów, prowadzone przez muzyków i pedagogów z kraju i zagranicy.

**Dziękuję za rozmowę.** ■



*Iluminowany zamek w Głogówku*





Pałac w Łażanach w gminie Żarów to jeden z tych obiektów, które okrutny los rzucił wiele lat temu na kolana. Pierwszy cios zadali mu w końcowej fazie drugiej wojny światowej czerwonarmiści, gdy podczas walk w 1945 roku pałac w Łażanach został uszkodzony przez radziecką artylerię. Po zakończeniu działań wojennych Armia Czerwona zajęła pałac i wszystkie zabudowania folwarczne. Żołnierze spod znaku czerwonej gwiazdy nie szanowali nikogo i niczego, to, co „trofejne” należało wywieźć, a resztę zniszczyć. Dopiero latem 1946 roku powiatowi inspektorzy rolni zakwalifikowali majątek do rozparcelowania. Uszkodzenia pałacu oszacowano na 75 procent i Wojewódzki Konserwator Zabytków zdecydował o pozostawieniu go w formie trwałej ruiny. W latach 1959–60 dla celów archiwalnych wykonano inwentaryzację pomiarową i studium historyczno-architektoniczne. Do ostatecznej ruiny budowlę doprowadzono w późniejszych czasach Polski Ludowej, bezlitośnie prując i rujnując zabytkowe wnętrza. Pałac, od dziesięcioleci otoczony fosą skonał jak bezbronna więźń na swojej wyspie, z roku na rok popadając w większą agonię.

Od zarania swych dziejów, które sięgają XIV wieku, przez setki lat, wybudowany w tym miejscu dwór obronny będący siedzibą znanych na Śląsku możnych rodów von Seidlitz i von Mühlheim był sukcesywnie rozbudowywany. Otoczony fosą, posiadał pierwszy w Europie żelazny most. Pałac wzniesiono na planie prostokąta. Czteroskrzydłowy obiekt ukończono w 1622 roku, sfinansowany został przez rodzinę von Seidlitz (linia z Mościska i Łażan), następnie dwukrotnie przebudowywano go na przełomie XVII i XVIII wieku, prawdopodobnie właśnie wtedy elewacje zyskały charakter baroko-



fot. Julia Montewska

## Śląskie tajemnice cz. 26

### Pałac w Łażanach

JULIA MONTEWSKA

od 1815 roku grobowca fundatora „żelaznego mostu” Nikolasa Augusta Wilhelma von Burghauss.

Obecnie czasy świetności rezydencji należą już do przeszłości, a dekady barbarzyństwa i ludzkiej głupoty odcisnęły na pałacu w Łażanach nieodwracalne piętno, lecz pomimo iż sama budowla z zewnątrz nie wygląda zachęcająco – ot taki, odarty z tynku klocek, to jednak wchodząc do pałacowych wnętrz, a w zasadzie do tego, co po nich zostało, stąpając po resztkach ka-

miennego dwuarkadowego mostu, wkraczamy do innego wymiaru. Przed nami wejściowy portal, brama, która od zawsze była najważniejszym miejscem pałacu, łącznikiem ze światem zewnętrznym, by podkreślić rangę tego miejsca, mieniła się bogactwem zdobień. Dawniej nad zwieńczeniem portalu znajdował się kartusz herbowy podkreślający rangę i znakomitość rodu, dziś pozostał w tym miejscu zaledwie cień.

W leniwym, wiosennym słońcu wewnętrzny arkadowy dziedziniec robi ogromne wrażenie, skąpane w delikatnych półcieniach ścian, rozkute piece czy pozostałości posadzki w dawnej pałacowej kuchni to zaledwie echo minionych wieków, słysząc je wyraźnie, gdy w samotności, bez pośpiechu, oderwani od dnia codziennego próbujemy poszukać odrobiny wytchnienia w tych jakże malowniczych ruinach. Być może nie jest to ostatni akt w tym niemym teatrze światłocieni, ponieważ od kilku lat pałac ma właścicieli. Teren wokół został wykarczowany z samosiejek, w pałacowych wnętrzach trwają mozolne prace porządkowe, każda cegła, każdy detal architektoniczny wygrzebany wśród ceglano-rumosu znajduje swe miejsce na układanych stertach. Prawdopodobnie odbudowa pałacu potrwa długie lata i pochłonie miliony, ale niezmiernie pocieszające jest to, że są ludzie, którzy podejmują takie wyzwania. ■

fot. Julia Montewska



wy. Do dziś zachowały się ślady dawnych podziałów i zdobień w postaci kamiennego portalu, obramowań wokół otworów okiennych i korynckich pilastrów. Pałacowy dziedziniec zdobi fontanna, która została wybudowana w miejscu istniejącego

**Julia Montewska** – inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywcą”.

e nowa, nie  
iczą ją wal-  
oinierzy w  
Napoleona,  
odryskanie  
czą ją losy  
tóra na zie-  
dowała pole  
cz interesów  
Od tamtych  
hymnie pol-  
abrowskiego  
d Bonaparte.  
...”, od tam-  
i popularny  
„Marsylian-  
ym odczuciu  
n wolności.  
Izle przypo-  
skiej ziemi  
el wielkich  
Mickiewicza.  
kiego. Tutaj  
Chopin.



W programie — rozmowy polityczne  
oraz pobyt w Krakowie, na Śląsku i Wybrzeżu

# Prezydent Francji przybywa dziś do Polski

## Charles de Gaulle w Nowym Bieruniu

EDWARD DŁUGAJCZYK

Dawno, jakieś kilkanaście lat temu, późniejszy profesor Jan Czempas z Bierunia zagadnął mnie, pytając o pobyt de Gaulle'a w składzie wojsk francuskich na Śląsku podczas plebiscytu. Zachnąłem się i odparłem, że nic mi o tym nie wiadomo. Czempas już nie żyje, był związany z Wyższą Szkołą Ekonomiczną w Katowicach, obecnie Uniwersytetem Ekonomicznym, osobą wielce zasłużoną dla Bierunia, animatorem wydawnictw dotyczących historii tego odradzającego się wtedy miasta.

O sprawie zapomniałem. W ubiegłym roku wybrałem się do Nowego Bierunia, żeby obwałowaniem Wisły przejść w stronę Woli. Chciałem sprawdzić, jak tam, zwłaszcza podczas pierwszego powstania, konspiratorzy śląscy radzili sobie w kontaktach z Polską położoną po drugiej stronie rzeki, gdzie chronili się przed prześladowaniem i skąd przynosili broń. Najpierw wstąpiłem na przykościelny cmentarz, gdzie niedawno poświęcono pomnikowy graniastosłup z wrytymi nazwiskami poległych powstańców, ponadto ofiar drugiej wojny światowej i represji komunistycznych. Poległych powstańców wydało mi się trochę za dużo. Ich nazwiska przeniesiono potem na zrekonstruowany i odsłonięty 11 listopada 2019 roku pomnik powstańczy. Ale to inny temat. Na Zabrzeżu, skraju Nowego Bierunia, w ostatnim budynku przed mostem w kierunku Oświęcimia natknąłem się na restaurację pod nazwą „Degolówka”, a na niej tablicę w hołdzie de Gaulle'a, kapitana wojsk francuskich na misji plebiscytowej i odwiedzinom w 1967 roku już jako generała i prezydenta Republiki Francuskiej. Powód wystarczający, żeby się

sprawą zająć, zwłaszcza kiedy niewiele się o niej wie.

Dla komunistycznej Polski miała Francja szczególne znaczenie ze względu na długoletnie tradycje współpracy, wsparcia wojskowego podczas pierwszej wojny światowej i po jej zakończeniu, zaangażowania po stronie Polski w staraniach o Górny Śląsk, koalicjanta w wojnie z hitlerowskimi Niemcami, a potem za ambitnej i mocarstwowej prezydentury de Gaulle'a widoki na przyjazną Francję, opowiadającą się za trwałą granicą na Odrze i Nysie w obliczu wciąż utrzymującego się rewizjonizmu niemieckiego.

Pod koniec maja 1967 roku prasa doniosła, że w dniach od 7 do 13 czerwca na zaproszenie przewodniczącego Rady Państwa Edwarda Ochaba prezydent Republiki Francuskiej generał Charles de Gaulle wraz z małżonką złoży oficjalną wizytę w Polsce. Program wizyty obejmował rozmowy polityczne w Warszawie z czołowymi osobistościami PRL, zwiedzenie Krakowa, hitlerowskiego obozu zagłady w Oświęcimiu, Śląska i Wybrzeża, gdzie prezydent miał oddać hołd bohaterom Westerplatte, powrót do Warszawy, przechadzkę po mieście, końcowe konferencje polityczne i wystąpienie w sejmie.

„Trybuna Robotnicza”, organ Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach, wiadomość o wizycie prezydenta de Gaulle'a w Polsce podała dopiero w poniedziałkowym numerze z 5 czerwca 1967 roku w korespondencji swojego wysłannika z Paryża. Autor skupił się na rozwoju powojennych stosunków polsko-francuskich. Nie podał daty wizyty, ani wiadomości

o zamierzonym odwiedzeniu Śląska, bo to nie należało do jego obowiązku, a gazeta przemilczała. Władzę zaprzętnęły też inne czynności: organizacyjne przygotowanie wizyty, żeby wypadła jak najokazalej, i zapewnienie bezpieczeństwa. Tym drugim zajęła się Służba Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska. Akcji nadano kryptonim „Uran”. W województwie katowickim realizowało ją prawie 9,5 tys. funkcjonariuszy MO i członków ZOMO. W archiwum katowickiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej zachowała sięteczka oficera operacyjnego Służby Bezpieczeństwa, odpowiedzialnego za Zabrze. Daje ona wyobrażenie o stopniu mobilizacji: aresztowań i zatrzymań milicyjnych na 24 godziny pod byle pretekstem najgroźniejszego „elementu antypaństwowego” i wzmoczonej inwigilacji pozostałych osób, jak „niezrównoważonych psychicznie” i elementu kryminalnego, też groźnych dla porządku publicznego, po których nie wiadomo, czego można się było spodziewać. Na całej trasie przejazdu mieli czuwać wmieszani w wiwatujący tłum tajni figuranci.

Wizyta w planowanym terminie nie odbyła się. Na Bliskim Wschodzie wzrosło napięcie. Wizytę przełożono na wrzesień.

W sobotę, 9 września, we wczesnych godzinach przedpołudniowych, delegacja francuska, po pobycie w Krakowie i zwiedzeniu obozu w Oświęcimiu, przybyła do Nowego Bierunia, potem wyruszyła do Mysłowic i przez Sosnowiec zjechała do Katowic. Po śniadaniu w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej trasa wiodła do Zabrzeża, gdzie w Domu Muzyki i Tańca, gdzie na cześć gości wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”. Tam władze i Polacy usłyszeli, że Zabrze jest



najbardziej śląskim miastem, a więc najbardziej polskim. Na koniec odwiedziny w Bytomiu.

W reportażach gazet śląskich z wizyty w 1967 roku nie ma nawiązania do pobytu de Gaulle'a na Śląsku podczas plebiscytu. A sposobności, żeby o tym wspomniał albo żeby mu przypomnieć było sporo. W Katowicach kolumna samochodów zatrzymała się przy Rondzie. Teodor Mańczyk, bajorczyk i żołnierz Armii Generała Józefa Hallera podczas pierwszej wojny światowej we Francji, potem dowódca batalionu powstańczego, powiódł Prezydenta ku świeżo odsłoniętemu (1 września) Pomnikowi Powstańców Śląskich, mówił o wysiłku zbrojnym powstańców, którzy wywalczyli Śląsk dla Polski. W Bytomiu poseł Józef Kwieciński, również powstaniec i działacz przedwojennego Związku Polaków w Niemczech, wskazał na propolską postawę żołnierzy francuskich podczas plebiscytu i przyjaźń polsko-francuską, która wówczas się zrodziła na Śląsku. Nie wspomniał o kapitanie Bernardzie Montalegre, dowódcy francuskiego 27 batalionu Strzelców Alpejskich, zastrzelonym w Bytomiu przez niemieckiego bojowca pod koniec trzeciego powstania.

Na interesującą mnie informację natknąłem się dopiero w czasopiśmie popularnonaukowym „Focus Historia”, odwołującym się do „Dziennika Polskiego” z 1967 roku. W sprawozdaniu z wizyty Prezydenta redaktor Jerzy Steinhauf twierdził, niezupełnie zresztą obeznany realiami plebiscytowymi na Śląsku, że:

*W Bieruniu Nowym i okolicy są ludzie, którzy pamiętają jego pobyt przed*

*47 laty, w czasie gdy dla zabezpieczenia porządku naruszanego przez Niemców w czasie plebiscytowym przebywały tu wojska francuskie.*

Steinhauf odesłał do swojego wcześniejszego artykułu, opublikowanego jeszcze przed odwołaniem czerwcowego przyjazdu de Gaulle'a. W ten sposób udało się dotrzeć do źródła, początku sprawy żywej do dnia dzisiejszego. Nic więc nie pozostaje, jak w całości tekst ten przedrukować. Może też gdzieś zawierzył się inny przekaz, do którego nie dotarłem? Póki co, ten awansował do rangi dokumentu. Trzeba przyznać, że dziennikarz zgłosił pewne wątpliwości do zawodowej pamięci ludzi, ale temat wydał się ciekawy, więc utrwalił w piśmie, co usłyszał:

*Trudno jest przebijając skorupę czasu i odtwarzać minione zdarzenia oraz ludzi z tymi zdarzeniami związanymi. Trudno to czynić z perspektywy pół wieku, kiedy pamięć często zawodzi...*

*Nieopodal Oświęcimia zaczynają się pierwsze zabudowania Bierunia Nowego, wsi leżącej na skraju dwóch województw: krakowskiego i katowickiego. W okresie rozbiorowym przebiegała tędy granica prusko-austriacka. Niedaleko stąd znajduje się „trójkąt trzech cesarzy”. Pamięta te czasy niewielka strażnica postawiona przez prusaków nad Wisłą. Tu w roku 1920–1921 gościła grupa żołnierzy francuskich. W strażnicy miał się zatrzymać bardzo wysoki i chudy kapitan, a obecnie generał i prezydent Republiki Francuskiej Charles de Gaulle, który przez jakiś czas swego pobytu w Polsce przebywał także w tych okolicach.*

*W najbliższą sobotę [10 czerwca] po złożeniu hołdu pamięci ofiar Oświęcimia Charles de Gaulle przejedzie przez Bieruń Nowy, witany tam przez gospodarzy ziemi śląskiej. Dowiedziawszy się o tym, iż w Bieruniu Nowym, a także w innych okolicznych miejscowościach, są ludzie, którzy pamiętają z tego okresu kapitana armii francuskiej i pragną mu przypomnieć chwile tam spędzone, przekroczyliśmy most na Wiśle – w poszukiwaniu zdarzeń sprzed lat pięćdziesięciu.*

*W Gromadzkiej Radzie Narodowej spotkałem jej sekretarza, Izabellę Sowę, która zgodziła się służyć dziennikarzowi za przewodnika. Od niej właśnie uzyskaliśmy oficjalne potwierdzenie, iż – zdaniem mieszkańców Bierunia Nowego – w roku 1920 wśród oficerów francuskich był tu Charles de Gaulle. „Najlepiej o tym powie Franciszek Barow, emerytowany kolejarz, który jest działaczem naszej Rady” – zawyrokowała pani Izabella – udaliśmy się aż za Bieruń Stary na wielką piaskownicę [Łysinę], gdzie Barowa zatrzymywali właśnie obowiązki służbowe.*

*„Któż to mógł przypuszczać, że jeden z tych oficerów, z którymi wówczas stykaliśmy się, zostanie po wielu latach głową państwa. Kiedy jego nazwisko stało się sławne, kiedy zdjęcia generała zaczęły się pojawiać na szpaltach gazet, rozpoznaliśmy w nim od razu kapitana. Nie mieliśmy co do tego wątpliwości – odznacza się on przecież bardzo charakterystycznym wyglądem, który utkwił nam w pamięci”.*

*„Ja w roku 1920 – powiada pan Franciszek – byłem jeszcze kawalerem i do Bierunia Nowego wyjeżdżałem w konkury. Na przeciw strażnicy, tuż nad Wisłą, znajdo-*

PRL wita generała de Gaulle'a. Fot. arch.





Z komedii Marcina Melona „Skarb de Gaulle’a”, wystawianej w Teatrze dla Dorosłych w Bieruniu

wała się wówczas przydrożna karczma, prowadzona przez Chodamickich, którzy mieli duże gospodarstwo. Dziewczęta ze wsi najmowały się tam do skubania gęsi. U Chodamickich pracowała także moja obecna żona, która też zapamiętała dobrze wysokiego i eleganckiego oficera, noszącego sztywne czako o czerwonym denku. Gdyby przyjechał pan do nas o parę lat wcześniej, powiedzieliby panu o nim wiele ciekawych rzeczy tujejsi obywatele: Gwóźdź, Strauch i inni, którzy, niestety, już nie żyją. Niech pan wraca do Bierunia Nowego i zagładnie do Ignacego Drózdza. Mieszka za torem kolejowym, a także do mojej żony, która opowie panu, jak w przydrożnej karczmie Chodamickich tańczyła z kapitanem de Gaullem”.

Babcia Barowowa zajęta była właśnie gospodarstwem domowym, dzieląc czas między gotowanie obiadu i dogładanie wnuczka. Moją wizytą i pytaniem o taniec z wysokim kapitanem była wyraźnie zaskoczona i zmieszana.

„O, panie, to było tak dawno, że wszysko się już w głowie miesza. W restauracji Chodamickich często odbywały się zabawy, organizowane przez harcerzy, gminę, strażaków czy kolejarzy. Przychodzili na nie również i Francuzi, którzy stali na przeciwko w strażnicy. Może raz, może dwa razy z grupą oficerów przyszedł kapitan de Gaulle, który popijając wino, z zainteresowaniem przyglądał się tańcom.

Niektórzy oficerowie nie chcieli być tylko biernymi obserwatorami – i do nich należał ów wysoki kapitan. Przyszedł, skłonił się szarmancko i ruszyliśmy w tany. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że kiedyś zostanie on sławnym mężem stanu. Jeśli zapamiętałam dobrze ten taniec, to dlatego, że sięgałam swemu partnerowi do pasa. Z kapitanem tańczyła też Anna Janikowa, ale ona była już wówczas mężatką, a mąż na takie sprawy patrzył krzywym okiem, bo zaliczał się do zazdrosnych.

Wśród dziewcząt, które spędzały po południa u Chodamickich, skubiąc gęsi, była też Anna Walus, odznaczająca się dużą urodą. Mieszkała – jak mówi Barowowa – w sąsiednim Zarzeczu. Ona miała największe powodzenie wśród żołnierzy francuskich. Szczególnie upodobał ją sobie gruby kapral, który często zaglądał na podwórko, częstując czekoladkami i proponując spacer. Jednego dnia ze złościśmy się na niego i w dwadzieścia kobiet chwyciliśmy Francuza za kołnierz, wrzucając do balii z pierzem. Widzieli to jego koledzy i tarzali się ze śmiechu”.

Ignacy Drózdź kończy w tym roku 80 lat. Zastąpił go, gdy przy akompaniamencie ćwierkania kilkunastu słowików spisywał wspomnienia z powstań śląskich. Zaliczał się do aktywnych powstańców, był tutaj komendantem obwodowym.

Drózdź wyciąga fotografię. Na jednej z nich widać grupę powstańców w otoczeniu żołnierzy francuskich, którzy w odróżnieniu od Włochów czy Anglików udzielali powstańcom wydatnej pomocy. Oповіда Drózdź, jak to jego oddział, udając się do akcji powstańczej, miał uzgodnione z żołnierzami francuskimi odpowiednie sygnały, które powstańcom torowały drogę. „Na nasze poczynania patrzyli przez palce, a wielokrotnie wyciągali pomocną dłoń w naszą stronę” – czyta pan Ignacy zdanie ze swego gęsto zapisanego brulionu. Pewnego dnia zwrócił się o pomoc do podoficera, ten zaprowadził go do wysokiego kapitana, który, wysłuchawszy, sprawę załatwił.

O pobycie kapitana de Gaulle’a na Śląsku w roku 1920, w gorącym okresie, kiedy decydowały się losy tej ziemi, mówili reporterowi inni mieszkańcy, zarówno Bierunia Nowego, jak i Chełma Śląskiego i Imielina, przy czym fakt pobytu generała na tej ziemi potwierdził nam francuski konsul. W sobotę [9 czer-

ca] ci mieszkańcy witają go będą jako swego znajomego.

Pobyt de Gaulle’a na Śląsku stał się na tyle atrakcyjny, że w 2011 roku podchwycił go wspomniany już miesięcznik „Focus Historia”. Tym bardziej, że autorka zamieszczonego w nim artykułu znalazła wdzięcznego wspominkarza, który, nie wiadomo skąd, uzupełnił historię o restauracji nowobierunskiej, pobycie w niej (teraz już stałym mieszkaniu) podczas misji plebiscytowej Francuzów z kapitanem de Gaullem. Z gęsiej szkubaczki zrobiła się kelnerka. A co do 1967 roku:

Niecałe pół wieku później de Gaulle znowu się tutaj pojawił. Organizatorzy wizyty dożyli wszelkich starości, żeby generał wrócił do kapitańskich czasów. W gospodzie, gdzie kiedyś mieszkał, odtworzono jego oficerski pokój. De Gaulle wszedł i rozpoczęła się rozmowa. Wspominał śląskie potrawy, które jadł w gospodzie, tańce, pewną młodzieńką kelnerkę... Po 47 latach gospodarze odnaleźli dziewczynę, dla miejscowych „babcię Barowową”. Dali jej się przystróić w ludowy strój i przywitać gościa. Generał de Gaulle pamiętał ładną śląską dziolchę, a tu zjawiała się obfita kobita w śląskim stroju i zaczęła z nim rozmawiać łamaną francuszczyzną. Oboje byli wzruszeni. Generał poprosił, byśmy zostawili go ze znajomą sprzed lat, ich rozmowa trwała siedemdziesiąt minut.

Zapomniał może tylko dodać, że małżonka, polscy oficerze i, jak zawsze przy takiej okazji, spędzone tłumy na zewnątrz grzecznie czekały.

Oficjalny program wizyty na sobotę 9 września przewidywał: godz. 11.10. Przejazd samochodami z Oświęcimia na granicę województwa katowickiego w Nowym Bieruniu. „Wyjście z samochodów. Powitanie przez przewodniczącego WRN tow. Ziętka z Małżonką. Tow. Ziętkowa wręcza kwiaty Pani de Gaulle. Dzieci w strojach ludowych wręczają kwiaty”. Godz.

11.20. Odjazd do Katowic, czyli raptem 10-minutowy postój w Nowym Bieruniu.

Informatorem okazał się nie byle kto – Franciszek Wszółek, w 1967 roku dyrektor kopalni „Wujek”, potem wiceminister górnictwa i energetyki. Ile wart jest to wspomnienie, świadczy dalszy wywód Wszółka o perypetiach związanych z przygotowaniem odpowiednio dużego łóżka dla Prezydenta, o czym gospodarze zapomnieli. Wszółek, obarczony tym zadaniem, sprawił, że łóżko takie wykonano i de Gaulle miał się na czym w Katowicach wygodnie przespać. Prawda jest taka, że delegacja francuska nie nocowała na Śląsku. Tego samego dnia po przybyciu odleciała o godzinie 18.00 z Pyrzowic specjalnym samolotem na Wybrzeże.

Bez wątpienia Wszółek sobie zażartował z dziennikarki. Ceniono go za fantazję i poczucie humoru. Gawędziarskie urabianie rzeczywistości przebija z innych jego opowieści. Jednak na dobrą sprawę trudno ustalić, czy dziennikarka osobiście z nim rozmawiała, czy też poniosła ją fantazja, choć najprawdopodobniej rozmawiała, posiłkując się wydanymi właśnie wspomnieniami Wszółka. Pojawił się też w tych wspomnieniach epizod nowobieruniński i „łóżkowy”, ale – trzeba przyznać – bez kategorycznego utrzymywania, że de Gaulle spał w Katowicach.

Skoro ważne wydają mi się wszystkie detale nowobierunińskie, przytaczam tekst Wszółka z jego wydrukowanych wspomnień. Są skromniejsze i błędne w twierdzeniu, jakoby w Nowym Bieruniu odbyło się pożegnanie de Gaulle'a opuszczającego Śląsk:

*Wyjeżdżając z Województwa Śląskiego [!], Generał odwiedził karczmę śląską w Nowym Bieruniu przy rzece Wisła, w której przed laty, w 1921 roku, miał kwatery wówczas kapitan de Gaulle, przysłany przez Rząd Francuski do obserwowania plebiscytu, decydującego o przynależności terenów Śląska do Polski lub Niemiec. Generał odwiedził wtedy swój pokój oficerski na pięterku, gdzie spotkał kelnerkę, która go karmiła w czasie plebiscytu. I tu było pewne zaskoczenie: de Gaulle wspominał ładną śląską dziewczynę, a tu zjawiała się gruba baba w śląskim stroju, ale zaskoczyła go mówiąc do niego łamaną francuszczyzną.*

*Pożegnanie Generała de Gaulle odbyło się przy moście na rzece Wisła, a ja, stojąc w szeregu VIP-ów, uściśnięciem dłoni dostojnego gościa.*

Pamięć o wysokim, przystojnym kapitanie z czasów plebiscytu i późniejszym Prezydencie, zrodzona w 1967 roku, zagnieździła się na stałe wśród miejscowej społeczności i to nie za sprawą Wszółka. Wszółek pojawił się później. Bieruń, odrodzony jako miasto, jest znany z tego, że nawiązał liczne kontakty z zagranicznymi miastami partnerskimi. Ruchliwość w tym zakresie wykazywało się miej-



Tablica pamiątkowa na restauracji „Degolówka” w Bieruniu

sce Stowarzyszenie Współpracy Zagranicznej „Wspólna Europa”. W lipcu 2008 roku w Bieruniu bawiła liczna delegacja partnerskiego Meung sur Loire z Francji. Ktoś wpadł na pomysł, żeby na tę okoliczność przygotować tablicę pamiątkową do zawieszenia na budynku restauracji w Nowym Bieruniu. Uroczyste odsłonięcie tablicy w języku polskim i francuskim z udziałem delegacji francuskiej nastąpiło w niedzielę 6 lipca. Tekst polski informuje:

„Ten dom jest związany z pobytym oddziału wojsk francuskich i kapitana Charlesa de Gaulla [!] podczas plebiscytu na Śląsku. Jako prezydent Francji odwiedził to miejsce w 1967 roku”. Na końcu data A.D. 2008 i fundatorzy: Stowarzyszenie 800-letniego Bierunia i Stowarzyszenie Porąbek.

W 2019 roku „Polityka” zamieściła okolicznościowy artykuł Marka Mikołajczyka o pobycie de Gaulle'a w Polsce latach 1919–1921 jako członka Francuskiej Misji Wojskowej. O Śląsku nie ma tam ani słowa, co ktoś rozzalony skomentował: „Znowu o Śląsku zapomnieli”. Przedtem Mikołajczyk wydał książkę o relacjach de Gaulle'a z Polską i Polakami. Doprowadził ją do 1967 roku. Dokładnie de Gaulle przebywał w Polsce od kwietnia 1919 do stycznia 1921 roku.

Temat nabrał już waloru literackiego, trafił do teatru. Marcin Melon, znany z pisania po śląsku, skreślił zabawną komedię *Skarb de Gaulle'a*, z powodzeniem wystawianą przez bieruński Teatr dla Dorosłych. Przedstawienie przenosi widza w czasy komunizmu. Dwaj miejscowi postanawiają odnaleźć skarb ukryty w Nowym Bieruniu przez żołnierzy francuskich z kapitanem de Gaulle'em. Przeszkadza im w tym lokalny sekretarz partii. Wprawdzie sztuka przyjmuje za historyczny pewnik udział de Gaulle'a w misji plebiscytowej, ale i bez tego też by się obeszło, spektakl na niczym by nie stracił.

Pora na kryminał o zacięciu szpiegowskim. Punkt wyjścia sprowadza się do przesłanki o tak głębokim utajeniu plebiscytowej misji de Gaulle'a, że biografowie o niej nie wiedzą, przemilczal ją Prezydent podczas wizyty w 1967 roku, a i obecnie jeszcze władze francuskie wzbraniają się z udostępnieniem dokumentów.

Denis Sorel, Francuz zamieszkały w Hiszpanii, zamieszcza na stronie internetowej wiadomość, że po swoim dziadku Julianie (Julien) posiada kilka listów. Wynika z nich, że dziadek po pierwszej wojnie światowej pełnił służbę w wojsku francuskim na Górnym Śląsku (Haute Silésie) w oddziale specjalnym współpracującym z kapitanem de Gaulle'em, późniejszym prezydentem Francji. De Gaulle oficjalnie występował we Francuskiej Misji Wojskowej w Warszawie, a jego kontakty z Górnym Śląskiem były utrzymywane w głębokiej tajemnicy. Grupa francuska miała siedzibę w restauracji w miejscowości Berau (?) przy rzece, blisko granicy polskiej. Tam się spotykali i niekiedy nocowali. Grupa między innymi zapobiegła planowanemu przez Niemców zamachowi na życie komisarza Korfantego, wspomagała polskich destruktorów Tadeusza Puszczyńskiego w przygotowaniu akcji „Mosty” na inaugurację trzeciego powstania. W restauracji de Gaulle poznał młodą kelnerkę, która została jego kurierką, wykonywała też inne sekretne polecenia. Po powrocie kapitana w 1921 roku do Francji pojechała za nim i jakiś czas u niego przebywała.

Sorel podaje, że przeczytał wiele książek o prezydencie de Gaulle'u, ale nie znalazł w nich nic o jego działalności na Górnym Śląsku. Prosi kogokolwiek, kto posiada jakieś informacje na ten temat o pomoc, która by pozwoliła do końca rozwikłać zagadkę.

Mam cichą nadzieję, że to, co tu napisałem, nie zaszkodzi legendzie. Niechby nadal trwała, choćby z przymrużeniem oka. „Degolówce” życzę biznesowego powodzenia.

\*\*\*

Będę cię czytał dotykiem  
warg  
jak niewidomy łaknący  
blasku oczu  
będę cię czytał  
opuszkami palców  
by odczuć  
najsztelniejsze tajemne  
drgnienia muzyki ciała  
Będę czytał pulsującym rytmem  
naszych serc  
co melodię duszy pojęły  
darowaną  
Będę czytał czytał  
i czytał  
po kres

\*\*\*

Tylko w twoich oczach  
sukienka ma kolor nieba  
tylko w twoich oczach  
zieleń moich  
odbija  
kolor morskich głębin  
z odwieczną tajemnicą  
tylko w twoich oczach  
odzyskują spokój  
poszarpane myśli skołatana  
głowa  
tylko w twoich  
oczach  
jestem

*fot. Maria Korusiewicz*



## Tajemnice przyjaźni

*Przyjaciół to prezent jaki sprawiasz  
samemu sobie*  
(Louis Stevenson)

Czy to praprzyczyna  
sprawia  
że ktoś tak daleki  
staje się bardzo bliski?  
I że nie ma na to żadnego  
racjonalnego wytłumaczenia  
I że nie wiadomo dlaczego  
współodczuwasz  
jego radości satysfakcje  
sukcesy  
i każdą chwilę złą  
W jakim miejscu znajduje się  
ten pełen tajemnic imperatyw  
że biegniesz, wyciągasz rękę  
w niezrozumiałym geście  
niewytłumaczalnej Bliskości?

## Dokąd?

Gdy buty schodzone a nogi zdarte  
dokąd można zajść?  
Nad przepaść marzeń  
o świecie?  
Nad szumiący miłośnie  
leśny strumyk?  
Na skraj drogi bez wyjścia?  
W głąb własnej  
niemożliwości?  
Chyba jednak gdzieś  
dojść można  
skoro wciąż na niebie  
Wielki Wóz i Gwiazda Polarna  
skoro w duszy ten sam  
azymut  
i melodia znana od stuleci

## Oczekiwanie

Skrzynka pocztowa coraz częściej  
pusta  
sympatyczny listonosz  
behradnie pociesza  
to ja napiszę  
przyniosę i wrzucę  
jutro albo pojutrze  
będzie wesoły ze znaczkami  
słowikowym  
Ale... ale  
proszę zobaczyć  
może  
coś jest „w spamie”?

**Lucyna Żbikowska** jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracę magisterską i doktorską napisała pod kierunkiem profesora Artura Hutnikiewicza. Pracowała w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie w latach 1968–2001, następnie w Uniwersytecie Rzeszowskim w latach 1993–2001. Wydała dotychczas: *Innym i sekretnie* (2017), *Rozproszone myśli o świecie* (2018), *Któż zmusi wiersze do milczenia* (2018), *Z jesienią w tle* (2020).

# O stylu prozy Olgi Tokarczuk

Dopowiedzenie: od L do Ż

JERZY PASZEK

W pierwszej części moich wywodów, których podtytuł brzmiał identycznie tak, jak obecny nagłówek, poświęconych głównie *Księgom Jakubowym*, prowadziłem rekoniesans alfabetyczny, dotyczący charakterystycznych cech sztuki pisarskiej Olgi Tokarczuk, z hasłami od litery A do K. Teraz zajmę się podobnymi tematami na końcowe litery polskiego abecadła.

Pierwszą kwestią niechaj będą **liczby**. Liczby święte. A do nich wszak zaliczana jest siódemka, a jeszcze bardziej trójca. Tomiszczce Tokarczuk podzielone jest na 7 części: „Księgę Mgły”, „Księgę Piasku”, „Księgę Drogi”, „Księgę Komety”, „Księgę Metalu i Starki”, „Księgę Dalekiego Kraju”, „Księgę Imion”. Poszczególne, fundamentalne i zarazem tajemniczo tytułowane „księgi” (proste jest wytłumaczenie niektórych nagłówków, jak na przykład księgi I, II, IV i VI, bo tam istotnie widzimy mgły, karawanę, kometę i „daleki kraj” od Podola, czyli miejscowości Prossnitz [morawski Prościejów], Brünn, Wiedeń i Offenbach nad Menem), mają mniejsze, wyróżniające tytułami rozdziały, których ogółem jest 31 (czy to aluzja do „wstecznego” liczenia, a stąd do feralnej „13”?). Nie wiadomo, dlaczego w poszczególnych księgach ilość tych rozdziałów bywa tak widocznie zróżnicowana: jest ich bowiem kolejno 4, 8, 6, 5, 2, 5, 1. Widzę, że brak tu tylko trójki i siódemki, by powstał szereg od jedynki do ósemki.

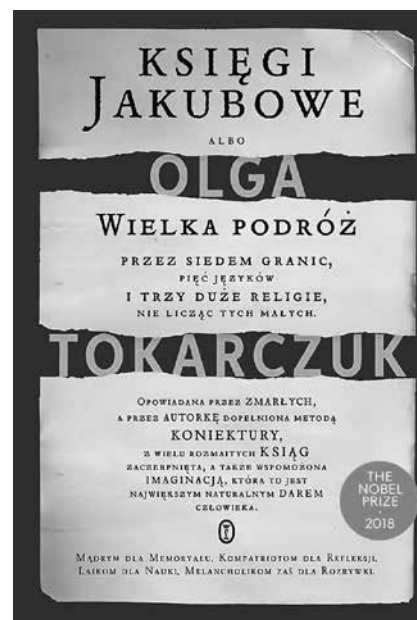
Najważniejsze, bo obejmujące prawie całe dzieło, są oczywiście symboliczne sensory, które powiązane w religioznawstwie i mistyce z trójcą i czwórca! Kwestia Świętej Trójcy jest najbardziej zawikłaną tajemnicą chrześcijaństwa: Jeden Bóg w Trzech Osobach. Herezje dodają tu Czwórcę, czyli – jak we frankizmie – kobietę, Pannę bez Ocu (kochankę Franka, Chaję, oraz Ewę, córkę Jakuba). Uzasadnienia Świętej Czwórcy frankiści doszukują się w tekście Biblii: w rozdziale 13 jeden z paragrafów nosi tytuł-przypis: „Trzech jest ukrytych przede mną, a o czwartym nie wiem. Księga Przysłów 30,18” (KJ, 655), co miałoby prowokować wyznawców do dyskusji o świętych tajemnicach liczb w kabile i pismach apostołskich.

**Lacina** wiąże się w *Księgach Jakubowych* głównie z postawą i poglądami księdza Benedykta Chmielowskiego. Jakże zdziwiony jest, iż w Rohatynie nie wszyscy – nawet mądry kupiec Szor – posługują się tym antycznym językiem! Nie przeszkadza mu to jednak w przekonywa-

niu poetki Elżbiety Drużbackiej o potrzebie używania nobliwych i ścisłych wyrażań łacińskich: „gdyby Polacy [...] łaciny poniechawszy, albo spolszczonych terminów, samą mówili i pisali Polszczyzną, musieliby się wrócić do zarzuconej i niezrozumiałej Słowiańszczyzny owej w Pieśni Świętego Wojciecha [czyli *Bogurodzicy*] znajdującej się: Już nam czas godzina grzechów się kajaci, Bogu chwałę daci. Ale cóż to znaczy? Jakie ›kajaci‹, jakie ›daci? Chciałyby Waćpani mówić Sypialnia zamiast Dormitarza? Nie wierzę! Jadalnia miasto Refektarza, Chałupka zamiast Celle?” (KJ, 767). Należy dodać, iż trudniejsze frazy łacińskie objaśnia w przypisach dolnych na wchodzących tu w grę stronicach.

**Metafory.** Tokarczuk zaskakuje Czytelnika oryginalnymi powiedzonkami w narracji. Na przykład pisze o „rabatkach” dziewczęcych, gdy należałoby wspomnieć o genitaliach. Mówi też o „werblach”, gdy opisuje starość. Oto owe przykłady: Młodzietka Chana (liczy sobie 14 wiosen!), żona przywódcy ruchu, po nocy poślubnej: „Zdziwiona tym wtargnięciem o dwanaście lat starszego męża w sennie rabatki swojego ciała, pytająco patrzy w oczy matki i sióstr. A więc to tak?” (KJ, 736). Migotanie sensów i iskier dookólnego światła bożego polega na tym, że trzy akapity dalej, jak gdyby z cicha pęk, czytamy: „Zdeptany ogródek, przewrócone ogrodzenie, piasek naniesiony do wnętrza domu przez tańczących, którzy [...] wnosili zapowiedź pustyni na podłogi” (KJ, 735; rzecz dzieje się w „Księdze Piasku”). Pani Kossakowska przed swoim dalekim krewnym, Moliwdą, „wstaje i wyciąga przed siebie ręce, jakby się przeciągając. Słychać trzeszczenie stawów w dłoniach. [...] – Wybacz, mój drogi, to są werble starości w moich kościach – uśmiecha się od ucha do ucha” (KJ, 528).

Metafor i porównań jest w *Księgach Jakubowych* sporo, rzekłbym nawet: zatrzęsienie, gdyż pisząc o wieloznacznej hebrajszczyźnie Tokarczuk zmuszona jest stale wprowadzać objaśnienia encyklopedyczne (na co nb. zwrócono uwagę w uzasadnieniu przyznania jej Nagrody Nobla), a najprościej używać zestawień ze znanym Czytelnikom światem zwierzęcym (niekiedy pojawiają się i tu rzadkie wyrazy: trawy „odslaniają swoje jasne podbrzusza, zielonoszare jak podszerstek psa”; KJ, 539). Reb Mordke bierze



„pod lupę poszczególne chwile świata pod czujnym okiem liter alfabetu” (KJ, 734–733). Bo są aż cztery rodzaje ludzi, badających język pism świętych: „Jest czytelnik gąbka, czytelnik lejek, czytelnik cedzido i czytelnik sito” (KJ, 749). Jedyne ten ostatni „oddziela plewy, żeby otrzymać najlepsze ziarno” (ib.).

Wbrew moim oczekiwaniom, **neologizmów** w tomiszczu Tokarczuk nie jest tak wiele.

Zaliczam do takich słów określenie „otchłanik”, pokrewne pewnie „oddalencom” Bolesława Leśmiana: „Mieszkańcy tego świata, otchłanicy, i tak nic nie rozumieją, wszelka prawda jest od nich odległa niczym Afryka” (KJ, 776). Ksiądz Chmielowski przypuszcza, że łacińskiemu spektatorowi odpowiadałby po polsku jakiś patrzacz! (KJ, 767). W tyglu języków arabskich i tureckich dostrzega się produkcję nowotworów: „miejsce, gdzie pije się kaffę? To kahvehane, prawda? [...] Z kolei targ kamieniami [...] to bezestan, czyż nie?” (KJ, 749). Tak samo w półświatku warszawskim, krótkie koszulki dziewczyn mogą być „semidupkami”, a zalenie impotentą zwie się „semiuśmenki” (KJ, 113). Oczywistym dla Czytelników znających język rosyjski będzie czasownik „pietuszyć” (KJ, 442: „Może pietuszą ją Turcy?”), nawiązujący do powinności koguta. Zakochany Benedykt „napisał dla ukochanej książkę do nabożeństwa. Tym zabiegami udało mu się oddzielić ukochaną od siebie, unieszkodliwić ją niejako, uświecić i zanielić” (KJ, 841). Tu chyba neologizmy Zygmunta Krasińskiego byłyby trafnym kontekstem.

Łatwiej napotkać w narracji o frankistach **okazjonalizmy**, czyli wyrazy nawiązujące do istniejących haseł, na przykład przymiotnik salonicki i rzeczownik Saloniki (KJ, 743). Takich pomysłów u Tokarczuk jest więcej: „kobietce dywańskie” (KJ, 825), „dach kuczkowych szalasów” (KJ, 821), „gematryczne kolumny” (KJ, 757), „smyrnieńskie noce” (KJ, 751), „nikopolskie wino” (KJ, 730). Mogą to być też połączenia dwu epitetów typu: głowy „szaropomarań-

czowe” (KJ, 451). Niekiedy można posłużyć się nazwą poszewki, zaczerpniętą z gwary krajeńskiej: „obleczywo zaś z różowego adamaszku” (KJ, 507). Na pograniczu okazjonalizmów i neologizmów lokują się przeróżne nazwy dawniejszych zawodów kobiecych w rodzaju: olejarka, solarka, płótniarka, paszтетniczka (KJ, 899)

**Persewera**cje wyrazów i fraz są bazą spójności fabuły tekstu powieści Tokarczuk. Takie stałe nawroty tych samych obrazów, muzyczne motywy przewodnie, dotyczą tu przede wszystkim wywodów genealogicznych, prawie biblijnego określenia tego, „kto kogo zrodził” i kiedy się to stało. Motywem spajającym poszczególne rozdziały jest korespondencja poetki Druźbaczki z encyklopedystą Chmielowskim. Innym podobnym spoiwem jest serial zapisów Nachmana Samuela ben Lewiego, rabina z Buska, zatytułowany skromnie „Resztki”; pojawia się ten tekst, drukowany odrębnie od całości narracji czcionką, w następujących księgach: II, III, IV, V, VI. Ba, nawet detale realistycznego opisu, takie jak charakterystyka ubioru (turecka wysoka czapka Franka) lub wyglądu bohaterów (czy ktoś jest niski czy wysoki, szczupły lub gruby, piękny bądź brzydki i okaleczony) bywają gwoździkami spinającymi tunikę i woale fabuły w świecie muzułmańskim, chrześcijańskim i żydowskim. Już nie wspomnę o pamięci zapachów zapyziałych miasteczek podolskich: autorka stale wspomina o zwalach nawozu końskiego (KJ, 897, 894, 860 itd.).

**Realizm** prozy Tokarczuk jest zauważalny dla Czytelnika: wszak musi każdy Lektor borykać się z nawałą obcego słownictwa; jeśli przyjąć za miarę przeciętnego odbiorcy literatury współczesnej kogoś, kto zna 25.000 haseł naszych leksykonów (jak wiadomo, skrabliści muszą poruszać się w zasobie o ponad 100.000 obszerniejszym!), to autorka *Domu dziennego, domu nocnego* zderza go – jak przypuszczam – z prawie dwukrotnie większym, gigantycznym dykcjonarzem. Jednym z przykładów mogą być opisy różnorodności towarów na kresowych jarmarkach. Rohatyn nie jest dużym miastem, ale co środę odbywały się tu głośne targi:

„Książ [Chmielowski] posuwa się wzdłuż straganów skonstruowanych z wszelkiej możliwej materii – desek, kawalków grubo tkanego płótna, koszy wiklinowych, a nawet liści. Jakaś dobra kobieta w białej chustce na głowie sprzedaje dynie z wózka i ich jaskrawy pomarańczowy kolor przyciąga dzieci. Obok inna zachwala gomółki sera ułożone na liściach chrzanu. [...] A tu bogaty kram ormiańskich kupców – piękne, lekkie materie, noże w zdobionych pochwach, i zaraz – wizina [wyzina], czyli suszone ryby, których mdły zapach przenika wełniane tureckie makaty. [...] Bajgle obwieszają cały kram piekarza” (KJ, 899).

Oczywiście, trzeba odczytać sobie z satysfakcją ten obszerny opis – popis pisarki! Myślę, że podobne obrazy pamięta się z *Pana Tadeusza*, *Chłopów*, *Żywych kamieni* czy *Wiatru od morza*, w którym to Żeromski, ukazując jarmark gdański z roku 1308, konkurował z tylko o 4 lata wcześniejszą wizją Berenta w jego „opowieści rybałta” (nb. tę zabawną wojenkę przedstawia Aleksandra Paszek w eseju *Enumeracyjna emulacja*

*Żeromskiego z Berentem* w t. zb. *Alfabet Paszka. Berent, stylistyka (i okolice)*, Żeromski pod red. Jana Jakóbczyka i in., Katowice 2010).

**Seksualizm** w *Księgach Jakubowych* zadziwiający swą prostotą i wstrzemięźliwością – nie ma tu epatowania dosadnością słownictwa, choć okazji nie brakowało, bo wszak machna, chawura czy gawura frankistów częstokroć na swych spotkaniach odprawiała rytuały seksualne, mieszczące się w nazwie „grzech adami-tów” czy „przy zgaszonych świecach”. Jakub Frank zaprowadził obyczaj sypiania z wszystkimi kobietami kompanii, nie bacząc na fakt, iż większość z niewiast miała już małżonków! Panny w końcowym okresie życia Pana służyły do ogrzewania zimnego ciała ich przywódcy. W takim kontekście może dziwić skromność autorki, nakazująca jej obrazy rozpasania płciowego zamykać najczęściej takimi słowami, jak: obcowanie, przyrodzenie (wejście do jaskini „ma kształt babskiego przyrodzenia”, KJ, 777), genitalia (Chana „patrzy ze zdziwieniem na jego [Jakuba] genitalia”, KJ, 735), męskość („nagi mężczyzna, owłosiony, z męskością dyndającą między nogami”, KJ, 452–451). Dzieci obserwują „nocne zmagania” rodziców, gdy oni „pojękują w łóżku”, a ojciec „w tajemnicy przed resztą rodziny wygania z matki dybuka” (KJ, 754). Dopiero pod koniec książki, w związku z pisanem przez Moliwdę przewodnika po warszawskich zamtuzach i kurwach, pojawiają się koszulki-semidupki i kobiety, potrafiące „dorobić się własną piczką całkiem sporego bogactwa” (KJ, 114–113).

**Triady** leksykalne i syntaktyczne. Jest to hasło związane z poprzednim artykułem o realizmie. Autorka w dążeniu do wypełnienia miejsc niedookreślonych sięga po antyczną, cyconiańską strukturę. Mogą to być 3 epite-ty, 3 czasowniki, 3 rzeczowniki lub 3 krótsze czy dłuższe zdania. Już we wstępnej charakterystyce Rohatynia widać na jednej stronie 5 różnych paralelizmów leksykalnych: 1. „ich niewinnych, chrześcijańskich, pachnących farbą drukarską stron”; 2. „bieda zgrzebna, cicha, przygięta do ziemi”; 3. „To już nie sklepy, nie kramy, ale budy jak dla psów”; 4. „buty wiele razy już szyte, zelowane i łatanie”; 5. „czy to bieda żydowska, czy cerkiewna, czy katolicka” (KJ, 898). Na innej stronie mamy też: 1. „pokazał jej [Jencie] litery, sądząc, że będą dla niej jak obrazki, jak klejnoty i gwiazdki”; 2. „Wokół ciemność, chłód i wilgoć”; 3. „Latem pył, zeschnęła trawa i kamienie”; 4. „Gdzie to wszystko jest – ten świat, to całe życie, ten raj?”; 5. „każdy taki wiec-zór opowieści stawał się gęsty, bardziej ciemny, nieprzenikniony” (KJ, 755).

**Uszczegółowienie**. Chodzi mi o takie wywody fabularne, gdy przedstawiany trwały przedmiot lub zjawisko nierealne traktowane jest z encyklopedyczną ścisłością. Tu mógłbym dać kolejne przykłady dywagacji z zakresu gematrii, ale uważam, iż egzemplifikacja sensów liczby 44 (patrz hasło „Gematria”) zupełnie wystarczy. Dodam inny przykład: osoby piszące lub mówiące o frankistach miały kłopot z nazwaniem owego religijnego ruchu. Ludzie uczeni posługują się u Tokarczuk określeniem anty-talmudyści lub kontr-talmudyści. Ludzie

prości mają dźwięczną ksywę – to są „ciapciuchy” (KJ, 502). Jak wieściarka doszli do tej inwektywy? Trudzi się nad tym biskup Mikołaj Dembowski: „Szapsa Zwinnicy / Szabsa Swinnicy / Szabsa-cwinnicy / Szabsia-swinnikowie / Szapła-swinki” (KJ, 638). Książd Pikulski poprawia biskupa, twierdząc, że „lud mówi na nich »sabsa-cwinnicy” (ib.).

**Wyliczenia**, czyli enumeracje. Jest to również koncept kancelaryjny lub policyjny. Bo najlepiej przesłać komu należy listę znanych anty-talmudystów; biskup Dembowski wymienia 12 przechrztów (z rodzinami) w liście do biskupa Sołtyka: „Lejzorg i Jeruhim z Jezierzan / Lejb Krysa z Nadwornej / Lejbka Szajnowicz Rabinowicz i Moszko Dawidowicz z Brzezan / [...] Nutka Falek Mejerowicz zwany Starym Fatkiem / Nachman z Buska” (KJ, 612). Ale mistrzowski pazur pokazuje Tokarczuk dopiero w opisie rytuału przedseennego małego Jakuba, czyli Jankiela: „Chłopczyk musi jeszcze wszystkiemu wokół powiedzieć <dobranoc>. Szepcze [...] »Dobranoc, babciu Jento, dobranoc, bracie Izaaku i sestro Chano, i kuzynko Cifko, dobranoc, mamó Rachel; a dalej wymienia po imieniu wszystkich sąsiadów [...] Potem mały mówi dobranoc okolicznym psom, kotom, jałówkom, kozom, i w końcu przedmiotom. Misie, powale, dzbanowi, wiadrom, garnkom, talerzom, łyżkom, pierzynom, poduchom, kwiatom w donicach, firankom i gwoździom” (KJ, 773).

**Zeugma**. Jest to bardzo wyszukana sztuczka składniowa. Przykład: Błysnęła warkoczem i intelektem! W *Księgach Jakubowych* nie mogło zabraknąć tej struktury. Oto kilka cytatów: „wiążą ich ze sobą pokrewieństwo [...], żyrowane pożyczki, pożyczane fury” (KJ, 871); „łącząc interesy i poznanie prawdy” (KJ, 806); „kupcy trzymają swoje rodziny i najcenniejszy towar” (KJ, 793); „reb Mordke może usunąć się w cień i w dym swojej fajki” (KJ, 730); „Brinken wyszedł od niej [Marii Szymanowskiej] otumaniony jej wdziękiem oraz kilkoma butelkami świętego wina” (KJ, 28).

**Źródła**. Autorka daje w „Nocie bibliograficznej” listę ważnych, fundamentalnych prac, dotyczących frankizmu. W Internecie Czytelnik znajdzie informacje o leksykonach kultury żydowskiej. Istotną książką jest *Jonathan Eibeschtz And I Came this Day unto the Fountain*, czyli *I przyszedłem dzisiaj do źródła* (KJ, 22–21, 802; podkr. J.P.).

**Żydowskie** języki. Jak wiadomo z moich dociekań, uczeni znawcy pism świętych i komentarzy talmudycznych posługują się dawnym (i rewitalizowanym obecnie w Izraelu) językiem hebrajskim. Ladino jest dialektem Żydów hiszpańskich, ale w XVIII wieku było to narzecze znane w krajach południowej Europy (w powieści cytuje ten język Jakub Frank). Tokarczuk „językiem żydowskim” nazywa jidysh, czyli ludową wersję hebrajskiego, nasyconą dialektami germańskimi, romańskimi i słowiańskimi (w jidysh pisał laureat Nobla, Izaak Singer). Uważam, iż można przeczytać powieść Olgi Tokarczuk bez biegłości czy nawet powierzchownej znajomości tych trzech języków. Należy je traktować jak rodzyнки w cieście przebogatej polszczyzny!

# Odczytywanie Wojtyły

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL



Ukazanie się antologii prac o pisarstwie Karola Wojtyły – Jana Pawła II jest ciekawą lekcją poznawczą. Po pierwsze dlatego, że księga gromadzi wiele ważnych wypowiedzi krytycznych, a po drugie dlatego, że prowokuje pytania o badanie recepcji dzieła, które wciąż nie jest, a może i nigdy nie będzie, lekturowo neutralne. „Jakiegokolwiek by [...] oceny były, pochwalne lub krytyczne, zawsze w odczuciu publicznym zamąci je fakt, iż Karol Wojtyła jest Papieżem, Janem Pawłem II” – pisał Jerzy Andrzejewski (s. 61), natomiast Artur Sandauer radził niebezpiecznie, by rozgorączkowani adherenci literackiego dorobku autora *Hioba* okiełznali swój „entuzjazm całkowicie autentyczny: zawsze spotkają się bowiem z podejrzeniem o interesowność” (s. 82).

Krzysztof Dybciak, który podjął trud opracowania antologii, napisał, że pozycja społeczna poety i dramaturga przesłoniła jego dzieło, w wyniku czego dotychczasowe lektury były (i wciąż są) krępowane przez cytaty, a interpretacja przez streszczenie (s. 34). Rzeczywiście, utwory Karola Wojtyły często są owinięte w niepotrzebną apologię. Przeniknęła ona tak głęboko do rozmaitych komentarzy, że zieleń pustą mądrością bombastu. Czy to będzie wczesna (więc dopiero rokująca nadzieję), czy dojrzała twórczość, wielu krytyków pióro analityczne zamieniało na wyznawcze, tracąc z oczu przedmiot swoich rozważań i zapominając, o czym się pisze. O literacie czy papieżu? Afirmacja wyraża się w stosowaniu wielkiej litery w słowie Poeta, której nie uświadczymy na przykład przy Mickiewiczu, czy też w słowie Papież, które już w ogóle zaciemnia refleksję, bo nie wiadomo, czy mowa jest o podmiocie czynności twórczych czy o kościelnym hierarsze.

Antologista twierdzi, że w recepcji dzieła Karola Wojtyły da się wyodrębnić istnienie dwóch „szkół” interpretacyjnych. Pierwsza – filologiczna – stara

się „wyjaśniać styl, konstrukcję i znaczenia poszczególnych utworów, przynależność gatunkową i związki z pozostałymi faktami literackimi”, druga – zorientowana na biografię – koncentruje się na „podmiocie czynności twórczych, traktując utwory jako semiotyczny materiał dostarczający wiedzy o osobowości jednej z czołowych postaci swojej epoki” (s. 13). Mała niezgoda: trudno odmienne podejścia badawcze czy krytyczne nazywać „szkołami”. Żeby „szkoła” mogła rozwijać swoje koncepcje, musiałaby mieć jasno określonego mistrza, egzegetę, tymczasem autorzy piszący o poezji i dramacie Wojtyły nierzadko uczestniczą w radosnym karnawale rozmaitych podejść i grają komedię pomylek. Przypomnijmy, że jeśli bada się dzieło wyłącznie w kategoriach poetyki, albo pyta o jedną z ról autora realnego, to nie wyjaśnia się, jak dzieło mieści się w porządku historii literatury, nawet jeśli ów porządek jest ograniczony do naszej współczesności.

Krzysztof Dybciak referuje poglądy poszczególnych krytyków, starając się je pogrupować w jakieś wiązki. Czy dowiadujemy się przez to, jak czytano Wojtyłę? Z trudem. Badanie recepcji nie jest specyfikacją poglądów poszczególnych, lecz próbą uchwycenia „właściwej historyczności”, czyli tego, co Hans Robert Jauss określał jako „przyswajanie i oddziaływanie dzieła w dającym się zobiektywizować systemie odniesień do określonych oczekiwań”. Tymczasem w zreferowanych pracach o pisarstwie Wojtyły trudno znaleźć wyjaśnienie „historyczności” jego dzieła. Coś za coś: wiele możemy natomiast dowiedzieć się o nim poza kontekstem historycznoliterackim, w rozciągniętych na lata – jakby powiedział Michał Głowiński – pojedynczych „świadectwach odbioru”.

Świadectwa zaś czytania pisarzy są wielce pouczające. Często nie znając konkretnego dzieła, a dysponując jedynie zachowanymi opiniami o nim (taka

lekcja wypływa choćby z lektury Fozjusza), wchodzimy w świat czystej myśli i widzimy, jak w lekturze zapośredniczonej dzieło literackie jak „partytura” nastawione jest na „wciąż odnawiający się rezonans lektury wyzwalającej tekst z materii słów i obdarzającej go aktualnym bytem” (Jauss). Dzięki krytykom możemy zagłębić się zarówno w dzieło widziane od strony ontologicznej czy aksjologicznej, jak i w odczuwanie dzieła, to znaczy w sferę psychologii twórczości, która już do dzieła nie należy, bo jest ponadindywidualną ekspresją czytającej publiczności. Michał Głowiński wyodrębnił przed laty siedem możliwych „stylów” (a nie „świadectw”) odbioru: mityczny, alegoryczny, symboliczny, instrumentalny, mimetyczny, ekspresyjny i estetyzujący.

Zapewne, pisarstwo Wojtyły próbowano w każdym z tych stylów zobaczyć (najczęściej: w mityczno-allegorycznym). Jak jednak „czytano” je najczęściej, albo raczej: jak je „odczytywano”? Antologia Krzysztofa Dybciaka jest tutaj niewątpliwie pomocna w rozpoznaniu intencji odbiorczych. Pomijając katafaticzne stwierdzenia krytyków, w stylu: „Papież mówi do nas – *hic et nunc* – językiem poety”, „Papież przemawia do nas w formie poetyckiego tryptyku” (s. 203), czyli utożsamienie podmiotu czynności twórczych ze społecznym podmiotem hierarchicznym („Papież o duszy poety”, s. 201), świadectwa recepcji poezji, dramatu i prozy twórcy *Tryptyku rzymskiego* dają się sprowadzić do kilku perspektyw. Wyodrębnijmy cztery z nich, nazywając je inaczej niż dotychczas.

Pierwsza ma charakter *ontologiczny*, czyli koncentruje się na tym, jak zbudowana jest wypowiedź literacka Wojtyły. Nie ma tu całkowitej zgodności stanowisk, ale są wyraźne próby zbliżeń. Można przyjąć, że w poezji wczesnej autor korzysta z różnych formatów wersyfikacyjnych, jak gdyby szukając dla siebie miejsca w uniwersum wiersza. Przeważa



skłonność do takiego zapisu, który najlepiej sprawdza się w sytuacji recytacyjnej. Witold Sadowski zauważył: „Wojtyła należał chyba do szerokiego grona ludzi, dla których zmiana w myśleniu ma przełożenie na głos” (s. 289). Inaczej mówiąc: wiersz musi odszukać odbiorcę nie poprzez literę ale dźwięk, nie poprzez zapis ale głos. Widać to wyraźnie w twórczości dojrzałej, gdzie formuła poematu medytacyjnego, biorąca swój początek w traktatach św. Jana od Krzyża, wyraża swoją pełnię w „wielogłosowości” i „homiletyczności” (Jan Okoń, s. 103). Osiąga ją zaś poprzez konstrukcje dialogiczne, stosowanie elips, paradoksów i antytez, skłonność do definicyjności gier słowotwórczo-semantycznych, czy konstrukcji addytywnych (Anna Kozłowska, s. 344).

Perspektywa druga ma charakter **kongnitywny**. Twórca skupia się na myśleniu jako procesie dochodzenia do ostatecznego rozwiązania. Myśl sama, twierdził Heidegger w eseju o Hölderlinie, nie jest autonomiczna w takim stopniu jak poezja, dlatego „poeta mówi [...] to, co myśliciel mógł [...] tylko tłumaczyć”. W interpretacjach koncentrujących się na sferze myśli czy idei chodzi zatem o pokazanie wewnętrznych zmagania podmiotu, które zostają zawarte w gatunkach medytacyjnych, nazywanych przez Wojtyłę „rozważaniem” czy „rozważaniami”. Zofia Zarębianka słusznie pisze o dramatach, że „przyczynę i początek wyznacza [w nich] myśl”, dlatego „wolno mówić o dramatach Wojtyły jako dramatach myśli” (s. 305). Ale mówienie o wewnętrznym napięciu podmiotu, w którym ruch jest zawsze dośrodkowy („zstępowanie do ukrytego rdzenia”, „przenikanie głębi”), daje się zauważyć w niemal wszystkich świadectwach odbioru twórczości autora *Rozważania o śmierci*. W poezji, dramacie i prozie (homiliach). Niedościągłą interpretacją jest tu esej Jana Błońskiego.

Trzecią perspektywę lektury nazwijmy **teologiczną**. Nie chodzi tu wszakże o to, co czynią niektórzy krytycy, starając się wyręczyć interpretację cytatem teologicznym, ile o taki sposób odczytania dzieła Wojtyły, który uzasadniałby ważną wypowiedź Błońskiego o tym, iż jest to „poezja ściśle religijna”, a istota owej „ściśłości” zamyka się w idei „nawrócenia”, czyli w „procesie naśladowczym: naśladowaniu Chrystusa – lub jego wyznawców – które nabiera sensu, poczynając od swego wyniku” (s. 49). A mówiąc inaczej: w przyjęciu nauczania jako daru i nie wyrzeczenia się go, bo taki jest „wynik” nawrócenia. Interpretując dzieło Wojtyły w tym wymiarze, nie redukujemy go do wymiaru „poezji kapłańskiej”, ponieważ poecie nie chodziło o to, by go czytać przez księżowską szatę. Gdyby oczekiwał takiej lektury, nie podpisywałby swoich utworów pseudonimem. Mówił: „byłem [...] zakonspiro-

wany i zostałem – zakonspirowany właściwie do dnia wyboru na papieża”. Od początku ukrywając przed czytelnikiem swoje prawdziwe imię, nie chciał, by go czytano przez pryzmat jego stanu. Kapłaństwo odsunięte zostało na plan dalszy, jakby w obawie, że czytelnik jego dzieła utożsami je z obecną u wielu innych księży poetów wyznawczą funkcją słowa, potwierdzającą, że Bóg jest Bogiem, dążenie do świętości koniecznością, a ułomny człowiek pragnie kontaktu z Absolutem, stale potykając się na wyboistej drodze życia. Zgódźmy się, że zamiast takich wierszy lepiej czytać Biblię. Teologiczny wymiar lektury pisarstwa Wojtyły mieściłby się więc w tym kręgu dociekań, który Głowiński nazywał stylami mitycznym i alegorycznym.

Trzeci wymiar lektury – **aksjologiczno-literacki** – sprowadza się do wyjaśnienia funkcji inspiracji biblijnych. Jak słusznie zauważyła Mirosława Ołdakowska-Kuflowa przy okazji omawiania wpływów listów św. Pawła na pisarstwo Wojtyły: „dają [one] znać o sobie w różnych płaszczyznach [...] – od motta, poprzez warstwę językową, zastosowanie metafory, symbole, obrazowanie poetyckie, także poprzez imiona i ukształtowanie postaci, aż do najgłębszych sensów niewyczerpujących się w granicach jednego utworu, ale przywoływanych, rozwijanych i pogłębianych w wielu dziełach” (s. 369; szkoda, że ten szkic nie znalazł się w antologii). Aksjologiczno-literacki wariant odbioru pokazuje zakotwiczenie pisarstwa Wojtyły w tradycji, stopień jej aktualizacji czy rewizji. Właśnie tutaj najbliżej jest krytykom do postulatu Jaussa o ujęcie dzieła w jego własnej historyczności, czyli w zobaczeniu jak dzieło idzie w głąb tradycji i otwiera się na ewentualne w niej wkomponowanie. Tutaj krytycy powinni zapytać – niestety nie zawsze pytają – o horyzont oczekiwań i zdolność czytelnika do lektury wielopoziomowej.

Te cztery perspektywy lektury najłatwiej zauważyć, śledząc, co krytycy napisali o „poezji myśli”. Poezja okazuje się bowiem nie tylko najważniejszym z rodzajów literackich przez Karola Wojtyłę docenionych, ale także będących terytorem sprawdzeń pozostałych rodzajów: dramatu i prozy teologicznej. Właśnie w poezji, która do gatunków medytacyjnych włącza nie tylko podmiot liryczny, ale także narratora i *dramatis personae*, widać wyraźnie jak szeroka jest perspektywa literacko-filozoficzna autora *Tryptyku rzymskiego*.

Jakie są zalety antologii Krzysztofa Dybciaka? Jest ich wiele, powiedzmy o kilku. Gromadzi szkice dotąd rozproszone po czasopiśmie i tomach zbiorowych, nie tylko świetnie tłumaczące świat literacko-teologiczny Wojtyły, ale także sięgające najwyższych rejestrów interpretacyjnych. Niedościągłą są tu eseje Jana Oko-

nia (*Życiowy profil poety*, s. 86–110), Jana Błońskiego (*Poezja nawrócenia*, s. 147–155), Stefana Sawickiego (*Trylogia dramatyczna Karola Wojtyły*, s. 443–454), Wojciecha Kaczmarska (*Przeniknąc człowieka*, s. 482–492), Jacka Łukasiewicza (*Homilie polskie*, s. 559–574, czy Jana Miodka (*Oso- bliwości stylu Jana Pawła II*, s. 575–584).

Interesujące dla czytelnika są także wypowiedzi księży poetów i filozofów, choć Krzysztof Dybciak nie ma do nich przekonania. Napisał, jakby w ślad za cytowanym wcześniej Sandauerem, że „pod wpływem godnego pochwały porwy uczuć dla wielkiego Papieża”, księża ci pisali swoje szkice i recenzje, choć nie mieli „orientacji w literaturze współczesnej, niewielkie były ich umiejętności z zakresu literaturoznawstwa, nie mieli intuicji ani wyobraźni krytyków. Powodowało to nierzadko bezradność w komentowaniu utworów poetyckich i dramatycznych” (s. 34, 35). Zapewne często tak jest, niemniej wyłączmy z tej grupy księży-interpreteratorów Janusza S. Pasierba (*Poezja uniwersaliów*, s. 69–80), Jerzego Szymika (*Przekroczyć próg zdumienia*, s. 201–208), Jana Sochonia (*Natura – kultura – widzenie*, s. 208–217), Józefa Tischnera (*Promieniowanie twórczej wzajemności*, s. 436–442).

Na osobnych prawach wspomnijmy wielkie fragmenty eseistyczne Czesława Miłosza (s. 601–609), Władysława Stróżewskiego (*Twórczość i piękno*, s. 610–614) i Rocco Buttiglione (*Twórczość poetycka Karola Wojtyły*, s. 759–773). Zapewne podobnych prac jest znacznie więcej. Antologia Krzysztofa Dybciaka ich nie gromadzi, ale musiałyby być, zaiste, wydawnictwem wielotomowym, żeby oddać sprawiedliwość każdemu mądrymu słowu. Albowiem, jak zauważył Czesław Miłosz, „na próżno byśmy bronili się, powołując się na to, że język teologii jest nam obcy. Język Jana Pawła II jest nasz, najwidoczniej ukształtowany w wyniku jego prze-myśleń jako poety, i trafia do nas nie tylko tam, gdzie powołuje się na Norwida i Dostojewskiego” (s. 601).

W ostatnim zdaniu swojego wstępu do antologii Krzysztof Dybciak napisał: „Większość krytyków i badaczy literatury dochodziła do przekonania, że istotą jego [Karola Wojtyły – Jana Pawła II] aktywności była literatura – nie tylko najgłębszym świadectwem wewnętrznym doświadczeń, ale też duchową energią powodującą, że pontyfikat stał się również dziełem sztuki poetyckiej i teatralnej, epopeją przełomu tysiącleci” (s. 37). *Ego confirmo*. ■

**Krzysztof Dybciak: *Pisarstwo Karola Wojtyły – Jana Pawła II w oczach krytyków i uczonych*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019 [właśc. 2020], 816 s.**

# Jurij Brězan: „nigdy nie czyłem się obco”

KSIĄŻKI

GRAŻYNA KRUPIŃSKA

Zbiór szkiców *Polsko-łużyckie zbliżenia. Język – literatura – kultura* jest kontynuacją serii książkowej poświęconej łużycko-polskim kontaktom kulturowym. Poprzedni tom pod redakcją Grażyny B. Szewczyk ukazał się w 2012 roku pod tytułem *Serbołużyczanie wobec tradycji i wyzwań współczesności. Język, literatura, kultura*. Asumptem do najnowszego wydania stała się stuletnia rocznica urodzin najznamienitszego serbołużyckiego pisarza Jurija Brězana żyjącego w latach 1916–2006 i tworzącego w języku górnołużyckim oraz niemieckim. Kontakty pisarza z Polską i Śląskiem – o czym we wstępie do książki przypomina Grażyna Barbara Szewczyk – datują się na rok 1938. Brėzan przybył wówczas do Torunia, gdzie zamierzał kontynuować naukę w gimnazjum oraz podejść do matury. W tym samym roku odbył podróż do Katowic. Tutaj poznał m.in. Wilhelma Szewczyka, z którym połączyła go wieloletnia przyjaźń. Pierwsza książka Brězana przetłumaczona na język polski ukazała się już w 1953 roku. Do najbardziej znanych dzieł Serbołużyczanina zalicza się jego historiozoficzną powieść o „łużyckim Fauście” zatytułowaną *Krabat* (1976, wyd. pol. 1984) oraz zabarwioną autobiograficznie *Trylogię o Feliksie Hanuszu* (1958–1964, wyd. pol. 1971). Oba utwory ukazały się w Katowicach nakładem wydawnictwa „Śląsk”.

W książce zamieszczono dziesięć artykułów polskich slawistów, germanistów i kulturoznawców, w większości poświęconych różnym aspektom pisarstwa Brězana, ale także zaangażowaniu społecznemu i postawie wobec przełomu politycznego lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku urodzonego

w Worklecach autora. Zamyka ją tłumaczony po raz pierwszy na język polski ostatni wywiad z pisarzem przeprowadzony na trzy miesiące przed jego śmiercią.

Autorka artykułu pt. *Wspólnota słowiańska w oczach Górnołużyczan* otwierającego książkę, Nicole Dółowy-Rybińska, wychodzi od pytania, czy takie terminy jak wspólnota słowiańska, słowiańskość czy też słowiańszczyzna odnoszą się do rzeczywistości, czy może jednak są opisem pewnego mitu, bytu raczej wyobrazonego niż realnego. Wydaje się, że badaczka skłania się ku drugiej opcji, choć, jak słusznie zauważa, istnienie i powielanie mitu „wpływa realnie na relacje i kontakty ludów słowiańskich, a także na ich zbiorowe wyobrażenia” (s. 18). Mit słowiańskości i słowiańskiej jedności powstał, jak przypomina, w XIX wieku, a jego źródła można szukać w pismach Herdera oraz Hegla. Opiera się on na silnej opozycji między (słowiańskim, duchowym) Wschodem a Zachodem oraz na uznaniu ludowości za cechę konstytutywną kultur słowiańskich. Serbołużyczanie potrzebowali mitu o wspólnotcie słowiańskiej jako jednego z filarów własnej kultury i jako potwierdzenia jej odmienności względem dominującej kultury niemieckiej. Dodatkowym wzmocnieniem dla tego mitu stały się wydarzenia XX wieku i podział państw europejskich po 1945 roku na blok wschodni i zachodni. Dółowy-Rybińska postanowiła zbadać siłę tego mitu wśród współczesnych Górnołużyczan w 30 lat po zjednoczeniu Niemiec, przedstawiając w artykule wyniki analizy przeprowadzonych przez nią w 2016 roku ankiet skierowanych do górnołużyckiej inteligencji. Dowodzą one trwa-

łości mitu oraz poświadczają silne poczucie przynależności i związków mieszkańców Górnych Łużyc ze światem słowiańskim. Dodawały im one, tak w przeszłości, jak i dziś, otuchy „w walce o zachowanie swojej tożsamości” (s. 32).

Artykuł sorabisty Tadeusza Lewaszkiwicza porządkuje i omawia stań badań nad językiem górnołużyckim w twórczości Jurija Brězana, zachęcając do podjęcia intensywniejszych studiów w tej dziedzinie. Opracowania dotyczące języka i stylu konkretnego pisarza mogą być, jego zdaniem, „wartościowym źródłem wiedzy o języku” danego narodu, w szczególności, gdy kwestia ta dotyczy języka narodów małych (s. 36).

Historyk Piotr Pałys przybliżył działalność Jurija Brězana w stowarzyszeniu Młodzież Serbołużyczka w latach 1946–48 (m.in. współorganizowanie brygad pracy do odbudowy Jugosławii), a niemiecki slawista Dietrich Scholze-Šolta w ciekawym artykule *Jurij Brėzan i przełom polityczny w Niemczech* podejmuje próbę oceny postawy pisarza po upadku muru berlińskiego. Zaliczany do najwybitniejszych pisarzy NRD Brėzan, długoletni członek prezydium Związku Pisarzy, po 1989 roku „podał rewizji swój sposób widzenia świata” (s. 57). Zaświadcza o tym, według Scholze-Šolta, jego druga powieść o Krabacie (*Krabat oder Die Bewahrung der Welt*, wyd. głuź. 1994, wyd. niem. 1995), a także jego liczne wypowiedzi na ten temat. W zjednoczonych Niemczech Brėzan stał się jednym z najważniejszych reprezentantów łużyckiej mniejszości i pisarzem broniącym jej politycznych interesów. Z obawy przed jej narodowym i religijnym rozpadem

Polsko-łużyckie  
zbliżenia

język-literatura-kultura

pod redakcją  
Grażyny Barbary Szewczyk  
i Moniki Błidy



w warunkach bezwzględnej wolno-rynkowej konkurencji ponawiał liczne apele o stworzenie „narodowego programu” Serbołużyczan. Mimo że odzew na te apele okazał się znikomy, pisarz niemal do końca swojego życia angażował się w sprawy dotyczące Serbołużyczan, np. w protest przeciwko zamykaniu serbołużyckich szkół, wypowiadając się na łamach gazet czy przemawiając na publicznych zgromadzeniach.

Artykuł Józefa Zarka poddaje krytycznej refleksji wybrane kwestie dotyczące oceny twórczości i postaw Jurija Brězana w opublikowanym w 2015 roku studium *Powieść z Górnych Łużyc. Historia, poetyka, ideologia* autorstwa polskiego sorabisty Tomasza Derlatki. Jedną z nich jest zarzucenie serbołużyckiemu pisarzowi konformizmu oraz zdrady rodzimego języka na rzecz języka większości. Wyraźne akcenty rozliczeniowe i publicystyczne Derlatki Zarek proponuje zastąpić bardziej neutralnym dyskursem humanistycznym, pozwalającym rzucić „jaśniejsze światło na wybory podobne, jak casus Brězana” (s. 92). Za pomocą modelu adaptacji osób, opracowanego przez kanadyjskiego psychologa Johna W. Berry’ego, Zarek w przekonujący sposób pokazuje, iż w odróżnieniu od pisarzy górnołużyckich poprzedniej generacji, preferujących język ojczysty (przejaw separacji względem kultury większości), Brėzan dążył początkowo do asymilacji (wybór języka większości w miejsce języka rodzimego wzmocniony ideologicznie), a później także do integracji (wydania dwujęzyczne). Powyższe rozważania związane są bezpośrednio z pytaniami o tożsamość autora Krabata. W miejsce poglądu Derlatki, uważającego, iż żadna z kultur, ani serbołużycka, ani niemiecka nie definiowała w pełni tożsamości Brězana, Zarek stoi na stanowisku, że serbołużycki pisarz wykształcił podwójną, asymetryczną tożsamość, co, jego zdaniem, znajduje swoje potwierdzenie m.in. w zróżnicowanych wariantach językowych jego powieści.

W polu zainteresowań Marka Krysia znalazła się adaptacja filmowa opublikowanego w 1968 roku opowiadania Brězana pt. *Die schwarze Mühle* [Czarny młyn], jednego z trzech utworów, w których pisarz zmierzył się z postacią legendarnego Krabata. Wyprodukowana w 1975 roku przez państwową wytwórnię filmową NRD ekranizacja telewizyjna była przeznaczona dla młodego widza, co wiązało się z uproszczeniem wątków fabuły

i znacznym okrojeniem wersji książkowej, zrekompensovanej, zdaniem Krysia, poprzez wprowadzenie ciekawych cytatów filmowych odnoszących się do historii kina i sztuki, takich jak odwołania do *Metropolis* Fritza Langa, czy malarstwa Hieronima Boscha.

Monika Blidy przybliży czytelnikowi postać Antona Nawki (1913–1998), łużyckiego publicysty, pisarza, tłumacza i polonofila. Nawka był orędownikiem niepodległości Łużyc w obrębie państwa polskiego, autorem licznych przekładów z języka polskiego (Prus, Zapolska, Fredro i inni), zaś jego twórczość bogata była w motywy o zdecydowanie pro polskiej wymowie (np. powieść *Jadwiga*, której bohaterka jest odważną i piękną Polką).

Z kolei Grażyna B. Szewczyk śledzi najważniejsze tematy i motywy zawarte w poezji urodzonego w 1950 roku Benedikta Dyrlicha: biograficzne (np. wątki rodzinne), ale przede wszystkim tożsamościowe, „podkreślające zarówno jego związek z krajobrazem i z serbołużycką tradycją, jak i stosunek do ojczystego języka” (s. 132). Przywracając w swojej poezji pamięć zapomnianym miejscom, postaciom i wydarzeniom, Dyrlich, jak słuszenie zauważa Szewczyk, nawołuje do pielęgnowania serbołużyckiego języka i tradycji jako najważniejszych wyznaczników odrębnej tożsamości małego słowiańskiego narodu.

Dwa kolejne przyczynki dotyczą serbołużyckiej problematyki podejmowanej na łamach śląskich czasopism po 1945 roku. Michał Skop poddał analizie wychodzącą w latach 1945–1950 katowicką „Odrę”, która przez cały okres swojej działalności konsekwentnie informowała o tematach łużyckich, początkowo skupiając się na sprawach politycznych (dążenia niepodległościowe Łużyczan, uzyskanie autonomii kulturalnej), a po 1947 roku kulturalnych, społecznych i historycznych. Natomiast Ilza Kowol omawia sprawy serbołużyckie poruszane na łamach katowickich „Poglądów” (1962–1983) Wilhelma Szewczyka. W większości dotyczyły one kontaktów polsko-łużyckich, inicjatyw kulturalnych, ukazujących się tłumaczeń z języka polskiego na łużycki i odwrotnie czy fenomenowi dwujęzyczności pisarzy łużyckich.

Ten ostatni wątek wybrzmiał najpełniej w zamykającym książkę wywiadzie, przeprowadzonym przez Mercina Wałdę z Jurijem Brėzanem na krótko przed śmiercią pisarza w 2006 roku. Na pytanie, w jakim języku rodziły się pomysły pisarza,

ten odpowiada, że nie miało to dla niego większego znaczenia, gdyż „pomysły przypominają małe kule. Nie ważne, jakiego są koloru. Dopiero z takiej kuli powstaje coś, co zostaje ubrane w słowa...” (s. 169). Jednocześnie zwraca jednak uwagę na ciągle istniejącą asymetrię pomiędzy literackim językiem łużyckim a niemieckim. Język łużycki „wciąż jeszcze myśli w mniejszym stopniu pojęciowo [...] Wciąż jest nam bliżej do konkretnych sytuacji życiowych, także w języku literatury” (s. 170–171). Wspomniana asymetria rozciąga się także na inne obszary, gdzie mniejszość styka się z większością, swojskość z obcością. Co ciekawe i do pewnego stopnia zaskakujące, prawie dziewięćdziesięcioletni Brėzan przyznaje w rozmowie, że począwszy od najwcześniejszych lat i na różnych etapach swojego życia, nigdy nie odczuwał obcości. Zarówno jako Łużyczanin wśród Niemców, czy też jako prowincjusz w większym mieście. Zastanawiając się nad tym fenomenem formułuje, jak się wydaje, swoje życiowe (i pisarskie) credo: „Może dlatego, że odnalazłem tam [na obczyźnie] te same elementy świata, które znałem dotychczas? Wydają się inne, są w innych kostiumach, ale w gruncie rzeczy to te same elementy życia, jakie znam. Przyjmuję je i w tym momencie zwiększa się moja zdolność do przyjęcia i akceptacji kolejnych elementów i jednocześnie o tyle zmniejsza się moja niechęć wobec obcego czy obcyzny” (s. 194).

Publikacja *Polsko-łużyckie zbliżenia. Język – literatura – kultura* wpisuje się w sięgającą okresu przedwojennego historię polsko-łużyckich kontaktów kulturowych na Śląsku, zapoczątkowaną utworzeniem w Katowicach w roku 1936 Towarzystwa Przyjaciół Serbołużyczan. Zebrane w niej artykuły nie tylko poszerzają wiedzę na temat postaci i twórczości Jurija Brězana, najwybitniejszego przedstawiciela literatury serbołużyckiej, ale są również zaproszeniem do podjęcia kolejnych badań nad kulturą i literaturą małego narodu znad Sprewy, bo – jak podsumowuje Józef Zarek – „dopóki gotowi jesteśmy toczyć o literaturę spór, dopóty zachowuje ona swą żywotność” (s. 103). ■

Grażyna Barbara Szewczyk, Monika Blidy (red.): *Polsko-łużyckie zbliżenia. Język – literatura – kultura*. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 2019, 206 s.

# Życie wśród maszyn transmitujących przemoc

KSIAŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Wojciech Tochman w *Pianiu kogutów, płacz psów* skorzystał z kompozycji klamrowej, co spowodowało, że zbiór reportaży o współczesnej Kambodży upodobnił się do prozy fikcyjnej ze względu na zaakcentowanie szczęśliwych zakończeń opowieści osnutych wokół doświadczenia opieki nad ludźmi dotkniętymi chorobami psychicznymi. Takie postawienie sprawy generuje nadzieję, jednak jeśli w tle słychać polilog opowieści o ludobójstwie, trudno przystać na zaproponowane rozwiązanie. Zabieg powiązania początku i końca narracji w formie powtórnych odwiedzin pacjentów pozostających pod opieką Sody Ang jest tak samo fortunny, jak i szkodliwy; podpowiada, że każde nieszczęście musi zostać zrekomensowane, a wśród okropności wojny i ludobójstw można doszukiwać się historii zwieńczonych *happy endem*. Powtórne odwiedzanie chorych ma udowodnić miejscowym, że tylko medycyna może poprawić kondycję psychiczną mieszkańców, a zamykanie ludzi potencjalnie niebezpiecznych w klatkach i regulowanie ich życia dzięki długości łańcucha nie jest najlepszym rozwiązaniem. Być może rezygnacja z klamry dałaby lepsze rezultaty, ponieważ estetyzacja doświadczenia ludobójstwa (jej formą jest brzemienna w skutki decyzja o kompozycji) wywołuje rozdźwięk między tym, co Tochman uzyskał, a tym, co chciał uzyskać.

Obrazy wieńczące reportaż Tochmana można uznać za krzepiące, jednak po drodze reporter nie oszczędza czytelnika, wskazując na niezagojone blizny i lęki społeczeństwa. Wciąż bowiem żyje wielu świadków ludobójstwa dokonanego przez sprzymierzeńców Pol Pota, a odwiedzani przez Tochmana chorzy psychicznie widzieli zbyt dużo (niepogrzebane trupy, masowe morderstwa). Najnowsza książka Tochmana jest portretem Kambodżan i ofiar reżimu Czerwonych Khmerów, jednak reporter rezygnuje ze szczegółowego rekonstruowania czasu dyktatury Pol Pota i skupia się na tym, co po niej pozostało. Wciąż odbywa się liczenie zmarłych, wciąż też żyją świadkowie mierzący się z przeszłością. Nie można jednak oczekiwać od społeczeństwa instytucjonalnej pamięci o ludobójstwie, skoro ubóstwo i zapaść zdrowotna to dziś podstawowe problemy mieszkańców. Wyjątkiem jest więzienie S-21, zlokalizowane w szkole średniej w Tuol Sleng, w którym można skonfrontować się z fotografiami ofiar reżimu (autorem przedśmiertnych zdjęć jest Nhem Ein).

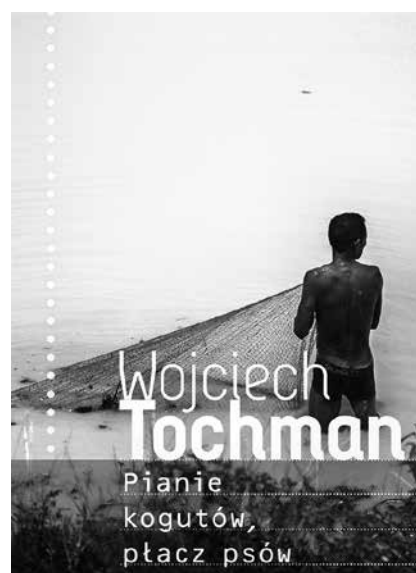
Życie w cieniu ludobójstwa odbija się na kolejnych pokoleniach i wpływa na stosunki międzyludzkie. Co jest dominantą tematyczną *Piania kogutów, płacz psów*? Przede wszystkim życie po lu-

dobójstwie i kondycja ocalałego. Tochman kreśli obraz społeczeństwa zdegenerowanego i nieskorego do emocjonalnego zaangażowania. To, co dzieje się dzisiaj, jest związane z doznanymi przez mieszkańców Kambodży krzywdami. Przeszłość paraliżuje, stygmatyzuje i pozbawia sprawczości. Jest piętnem, z którym społeczność nie może sobie poradzić, bo ludobójstwo wydarzyło się na tych ziemiach relatywnie niedawno, a jego skutki wciąż są widoczne i mają wpływ na wszystkie dziedziny życia Kambodżan.

Na złą kondycję psychiczną mieszkańców Kambodży nakłada się fatalny stan fizyczny, który spowodowany jest gospodarczym zacofaniem i brakiem perspektyw. Zaburzenia psychiczne trapiące społeczeństwo to nie jedyny problem wspólnoty. Tochman podkreśla, że to ubóstwo miesza ludziom w głowach. Ono także doprowadza do podejmowania decyzji o ubezwłasnowalnianiu chorych. Integrację (bo właśnie o nią dopomina się Sody Ang, lokalna psychiatra) uniemożliwiają obawy związane z możliwością popełnienia przez nich przestępstwa lub wyrządzenia zła w innej formie. Przedmiotowe traktowanie chorych wiąże się z brakiem szacunku do drugiego człowieka i porzuceniem jakichkolwiek gestów mających na celu okazanie emocji i uczuć. Tochman ukazuje funkcjonowanie zakłętego kręgu resentymentów, obaw, wstydu i upokorzenia. To właśnie oddziaływanie wstydu sprawia, że młodzi żonaci mężczyźni i młode matki trafiają pod klucz, ponieważ nie spełniają oczekiwań otoczenia.

Poza trapiącymi społeczeństwo chorobami psychicznymi również dotkliwy okazuje się analfabetyzm. Kambodża jawi się jako kraj zdegenerowany, w którym brakuje opieki medycznej, systemu ubezpieczeniowego i w którym najbardziej musi przyzwalać na pracę swoich dzieci w cegielniach. Częstokroć powielają one los rodziców i przyjmują dług rodziców jako swoje własne zobowiązanie względem ich pracodawców. Przemoc jest więc transmitowana między pokoleniami. Wydaje się, że przeszłość kładzie się cieniem w reportażu Tochmana na wszystkim i obarcza swym piętnem wszystko. Jest trująca i niebezpieczna, bo blokuje przyjacielskie odruchy i nakazuje poszukiwać w społeczeństwie katów, którzy współtworzyli reżim. Sąsiedzka nieufność to podstawowa reguła organizująca życie w poszczególnych wsiach.

Historie opowiedziane przez Tochmana nie postawiają złudzeń, że w Kambodży nie można zniwelować nierówności społecznych, które dają o sobie znać na każdym kroku: „W Phnom Penh można kupić wszystko: każde życie, każdą śmierć” (s. 67). Z jednej strony źródłem zła jest doświad-

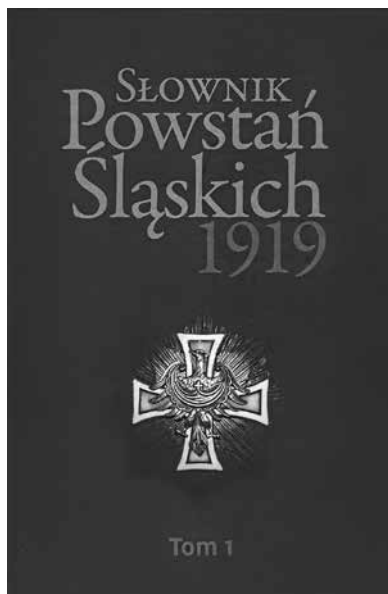


czenie niedawnego ludobójstwa, z drugiej ekonomiczne wykluczenie i wielopokoleniowa frustracja. Nie bez znaczenia pozostaje również *baksbat* – zespół złamanej odwagi. Trudno uniknąć skojarzenia z syndromem ocalałego z Zagłady, który określony został jako „osmalenie”. Kolejne próby wyjaśnienia terminu *baksbat* wskazują na możliwość istnienia powiązań między poszczególnymi ludobójstwami w zakresie inkorporowania traumatycznych doświadczeń oraz niezrozumienia ze strony młodszego pokolenia. Być może analogię z Zagładą najlepiej oddaje jeden fragment, w którym akcent położony został na dziedziczenie strachu: „Co z pamięcią genów? Nad tym matka rozmyśla? O tym do nas mówi? O biologii strachu? O dziedziczeniu syndromu pola walki?” (s. 45). Postąpić byłąby w tym przypadku najbardziej adekwatnym określeniem stanu, który próbuje zrozumieć Tochman.

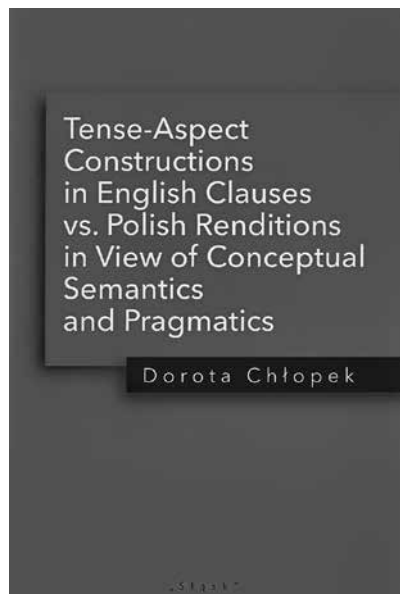
Zabiegiem, który można uznać za udany w reportażu Tochmana, jest kolażowe zestawianie opowieści. Pozornie nic ich nie łączy, jednak tak naprawdę spoiwem narracji jest przecież ludobójstwo. To być może lepsza strategia, niż próba zrozumienia zjawiska i oddania go w formie monumentalnej narracji, która nie tylko skupiałaby się na tym, co dzieje się z mieszkańcami Kambodży dziś, ale również na kwestiach związanych z rekonstrukcją układu sił politycznych. Tochman wybiera strategię małych narracji; śledzi losy zamkniętych w klatkach, relegowanych na margines, biednych, kalekich i niepiśmiennych.

Najważniejszy w reportażu Tochmana jest pocharatany człowiek, ale nie można uznać, że doszedł on do momentu, w którym wszystkie problemy zostały rozwiązane (jak sugeruje klamrowa kompozycja). Cały czas wystawiany jest na próby, których finału nie można przewidzieć, choć słowa zamykające reportaż: „Nie ma nadziei dla tej, która zabiła ojca”, *ad hoc* określają wartość człowieka w wymiarze społecznym i skazują go na niekończącą się stygmatyzację. ■

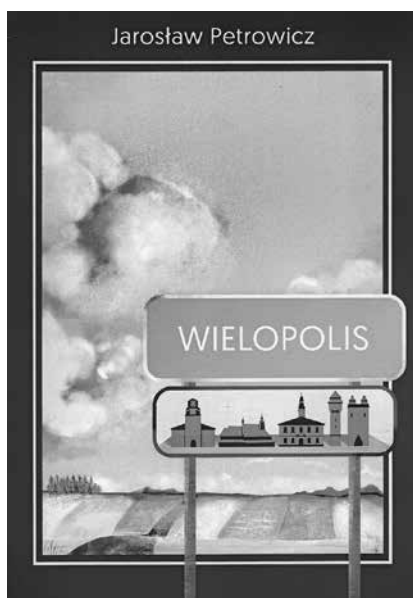
Wojciech Tochman: *Pianie kogutów, płacz psów*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, s. 219.



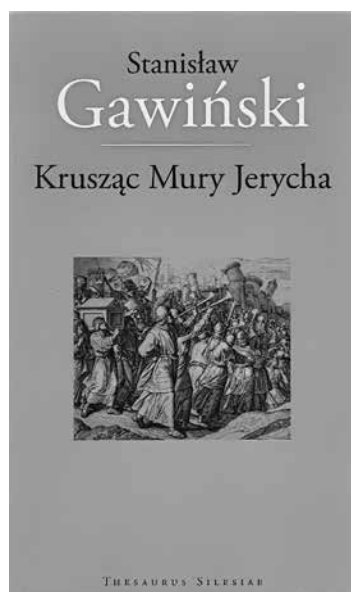
*Słownik Powstań Śląskich. Tom 1, I powstanie śląskie 1919. Redakcja Maciej Fic, Ryszard Kaczmarek. Wydawca: Biblioteka Śląska w Katowicach, Instytut Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej. Katowice, 2019.*



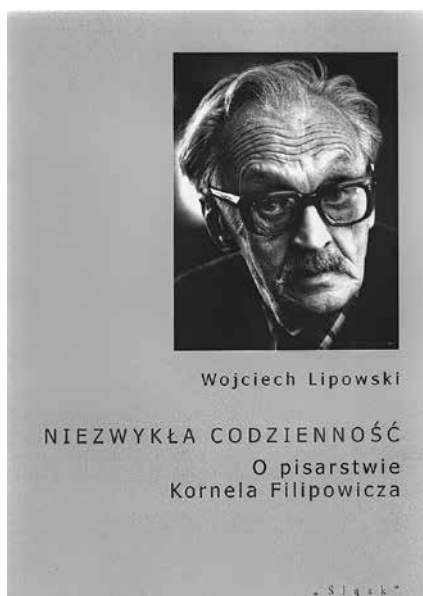
*Dorota Chłopek. Tense-Aspect Constructions in English Clauses vs. Polish Renditions in View of Conceptual Semantics and Pragmatics. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.*



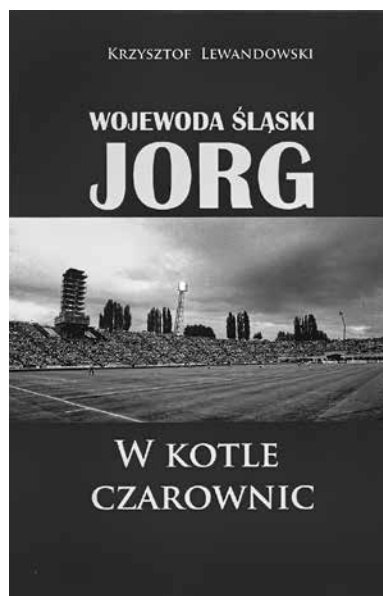
*Jarosław Petrowicz. Wielopolis. Wydawca: Wieluńskie Towarzystwo Naukowe. Wieluń, 2020.*



*Stanisław Gawliński. Krusząc Mury Jerycha. Wydawca: Thesaurus Silesiae, Katowice 2020.*



*Wojciech Lipowski. Niezwyczajna codzienność. O pisarstwie Kornela Filipowicza. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.*



*6. Krzysztof Lewandowski. Wojewoda śląski Jorg. W kotle czarownic. Wydawca: Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2020.*



"Tak naprawdę", 57x37, tusz, ekolina, papier, 2019



## Michał Minor

Urodził się w 1979 r. w Zabrze. Absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Dyplom z wyróżnieniem uzyskał w 2005 r. Profesor ASP na Wydziale Artystycznym w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

W latach 2000–2020 uczestniczył w ponad 200 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą (m.in.: w Niemczech, Boliwii, Finlandii, Szwecji, Szwajcarii, Iranie, Japonii, Chinach, Bułgarii, Słowacji, Czechach, USA, Hong Kongu). Autor 20 wystaw indywidualnych (m.in.: GCK Katowice, Desi Berlin, BWA Rzeszów, Galeria 2 Światy Kraków, Muzeum Miejskie w Zabrzu, Galeria Ateneum w Katowicach, Galeria Gardzienice w Lublinie, Galeria Bohema Warszawa). Laureat licznych nagród i wyróżnień (m.in.: Stypendium Ministra Kultury i Sztuki, Nagroda Marszałka Województwa Śląskiego dla Młodych Twórców, Nagroda Jury na 22 FPMW w Szczecinie, Brązowy Medal na Triennale Plakatu w Toyamie, 2 nagroda specjalna na Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach 2012, 2 Nagroda na Triennale Malarstwa Współczesnego w BWA Rzeszów 2014). Uprawia głównie malarstwo, rysunek i grafikę warsztatową, projektuje plakaty. Jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych i kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

[www.michalminor.com](http://www.michalminor.com)





Ingo Ich habe Ein TurboMonster in Deine Heuse gefunden, olej na płótnie, 170x220, 2015



Každe miasto može mieć swój Manhatan, olej na płótnie, 150x200, 2017



*Poczwórny podbródek, potrójna przyjemność i jeden koń, olej na płótnie, 110x170, 2019*







Transparent, olej na płótnie, 200x200, 2017

# Zamknięty rozdział: Krzysztof Penderecki (1933–2020)

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

29 marca zmarł Krzysztof Penderecki i tym samym zamknął się w sposób naturalny jeden z najbardziej zajmujących rozdziałów w historii polskiej kultury. Penderecki należał do grupy twórców, którzy w zeszłym stuleciu przełamali narzucone ograniczenia i przedarli się na pierwszą linię światowej muzyki. Przypomnijmy ich nazwiska: Grażyna Bacewicz (1909–1969), Tadeusz Baird (1928–1981), Andrzej Dobrowolski (1921–1990), Henryk Mikołaj Górecki (1933–2010), Wojciech Kilar (1932–2013), Włodzimierz Kotoński (1925–2014), Witold Lutosławski (1913–1994), Bogusław Schaeffer (1929–2019), Kazimierz Serocki (1922–1981). Jak się okazało, w grupie tej Penderecki odegrał wiodącą rolę.

Zacznijmy od początku. Zbożne dzieło naprawienia tego, co naprawy nie potrzebowało zainicjowali rodzimi komuniści tak naprawdę pod koniec lat czterdziestych, z chwilą całkowitego wyeliminowania opozycji. Odnieśli na tym polu zadziwiające, zapewne również ich samych, sukcesy, dzięki którym cały naród mógł poznać, nie ruszając się z domu, wątpliwy urok egzotyki Trzeciego Świata. Jednego tylko nie udało się komunistom naprawić, mianowicie, drobiazg, światopoglądu. W ciągu tego okresu użyli całego dostępnego im arsenału, od okólników po rewolwery – i nic. Popelnili przy tym brzemienne w skutkach błęd, pozwalając na w miarę swobodną działalność środowisk intelektualnych, głównie artystycznych. Celnie stwierdził w 43 numerze podziemnego pisma „Kultura Niezależna” z września 1988 roku jeden z naszych uczonych, profesor Janusz Sławiński (1934–2015), że komuniści, dążąc w jakimś sensie do omamienia Zachodu, do zmanifestowania, w rzeczywistości iluzorycznej, dobrej woli, zdecydowali się stworzyć sieć specyficznych „rezerwatów”, w których intelektualiści, artyści i naukowcy mogliby, praktycznie w odosobnieniu, uprawiać swe poletka pozornie autonomicznie, bez przymusu naginania się do obowiązujących, jedynie słusznych socjalistycznych dyrektyw. Sławiński, sam zajmujący się teorią literatury, na pierwszym miejscu owej listy takich rezerwatów usytuował, co ciekawe, muzykę.

Faktycznie, myśli kompozytorska i muzykologiczna w dużym stopniu uniknęły uzdrawiającej kuracji marksizmu, dokładniej – realizmu socjalistycznego, jakiej podano polską kulturę: flirt polskiego środowiska muzycznego z zachodnim stał się faktem stosunkowo wcześniej. Po zwrocie roku 1956 umożliwiono łatwiejszy obieg informacji, tym razem już oficjalnie.

Typowym przykładem nowej strategii było zezwolenie na powołanie do życia, właśnie w 1956, pierwszego w bloku wschodnim festiwalu poświęconego nowoczesnej muzyce – „Warszawskiej Jesieni”. Wkrótce potem było jeszcze lepiej, a przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych to okres prawdziwej inwazji znakomitych polskich kompozytorów, którzy błyskawicznie znaleźli się w czołówce światowej elity muzycznej. Jednym z nich, jak wspomniałem, był Krzysztof Penderecki.

O kompozytorze zaczęło być głośno w roku 1959, kiedy to zdobył za jednym zamachem trzy główne nagrody na konkursie organizowanym przez Związek Kompozytorów Polskich. Jury przewodniczył Witold Lutosławski, a to ma swoją wymowę. Od tej chwili kariera Pendereckiego rozwijała się bez przeszkód, zaś sam artysta stał w rzędzie najpopularniejszych postaci dwudziestowiecznej sztuki.

Powstałe w pierwszych latach sześćdziesiątych utwory są awangardowe. Penderecki w sposób bardzo indywidualny przetwarza najnowsze techniki kompozytorskie, wzbogacając je wielu oryginalnymi odkryciami, głównie w dziedzinie tzw. sonorystyki, czyli wyszukiwania dotychczas nieznanych barw dźwiękowych. Dzieła te, m.in. słynny *Tren* na orkiestrę smyczkową (poświęcony pamięci ofiar Hiroshimy; 1959–61), I kwartet smyczkowy (1960), *Fluorescencje* na orkiestrę (1961–62), orkiestrowe *Wymiary czasu i ciszy* (1959–60) lub *De natura sonoris I* (1966) i II (1970–71), mogą i dzisiaj jeszcze szokować swą paletą brzmieniową, eksponującą zgrzyty, piski, gwizdy, krótko mówiąc – zjawiska dźwiękowe powszechnie uznane za amuzyczne.

Druga połowa szóstej dekady wnosi do muzyki Pendereckiego elementy nowe. Kompozytor zwraca się ku wartościom



fol. Akumiszczak

uniwersalnym, charakterystycznym dla ostatecznie ukształtowanego w epoce jagiellońskiej – fenomenowi polskiej kultury, ufundowanej na gruncie wiary katolickiej, tolerancji i wielokulturowości, chłonnej wobec wszystkiego, co gwarantuje nieskrępowany postęp w sferze ducha. Już nie o produkowanie zaskakujących brzmień tu chodzi, lecz o przekaz całościowy, wielowarstwowy, o humanistyczne, dla każdego zrozumiałe, przesłanie ideowe, wyznanie wiary. Dziełem przełomowym jest tu na pewno *Pasja według św. Łukasza* (1963–66), należąca do arcydzieł gatunku, stanowiąca syntezę całej europejskiej tradycji muzycznej. Aluzje do najwcześniejszych form muzyki chrześcijańskiej przeplatają się z fragmentami świadczącymi o inspiracji romantycznej, te zaś ustępują miejsca muzyce znanej z poprzednich, awangardowych utworów. Stopniowo wszakże rezygnuje Penderecki z eksperymentów. Łatwo prześledzić ten proces, słuchając kolejnych kompozycji, z reguły wokalnie-instrumentalnych, jak *Utrąca I* (1969–70) i II (1970–71), *Kosmogonia* (1970), *Przebudzenie Jakuba* (1974), czy wreszcie, napisana na dwusetlecie Stanów Zjednoczonych, hiperromantyczna opera *Raj utracony* (1976–78). Tak radykalna zmiana języka dźwiękowego nie zapewniła artystce sympatii bezkompromisowych awangardystów, umożliwiła mu za to dotarcie ze swoją misją do ogromnej rzeszy odbiorców, którym obcowanie z jego muzyką przywracało poczucie godności, dumy i, wewnętrznej przynajmniej, wolności. Bo Penderecki wielokrotnie dał dowody budującej, pięknej odwagi, nie tylko wtedy, gdy pisał swe dzieła religijne, ale i wtedy, gdy ogłosił publicznie, jeszcze w okresie komunistycznego zakłamania, że jedną z części swego *Polskiego Requiem* poświęcił ofiarom Katyń, a inną – pamięci pomordowanych w grudniu 1970 roku. I za tę odwagę powinniśmy być wdzięczni

„Koleżanki i koledzy, z przykrością zawiadamiamy, że w środę 4 września 2019 r. o godz. 1 w nocy w Credit Valley Hospital w Mississauga zmarł prof. Florian Śmieja, nestor polskiego pisarstwa w Kanadzie – poeta, tłumacz, eseista, badacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, uczony związany z wieloma uniwersytetami w Anglii, Kanadzie i Polsce. Pożegnanie Profesora odbędzie się w piątek 6 września w godz. od 19.00 do 21.00 w Turner & Porter – Neweduk-Erin Mills Chapel przy 1981 Dundas Street W. w Mississauga. Różaniec odmówiony zostanie o godz. 20.30. Msza święta w intencji spokoju duszy Zmarłego odbędzie się w sobotę 7 września o godz. 9.30 rano w kościele św. Maksymiliana Kolbe przy 4260 Cawthra Rd. w Mississauga”.

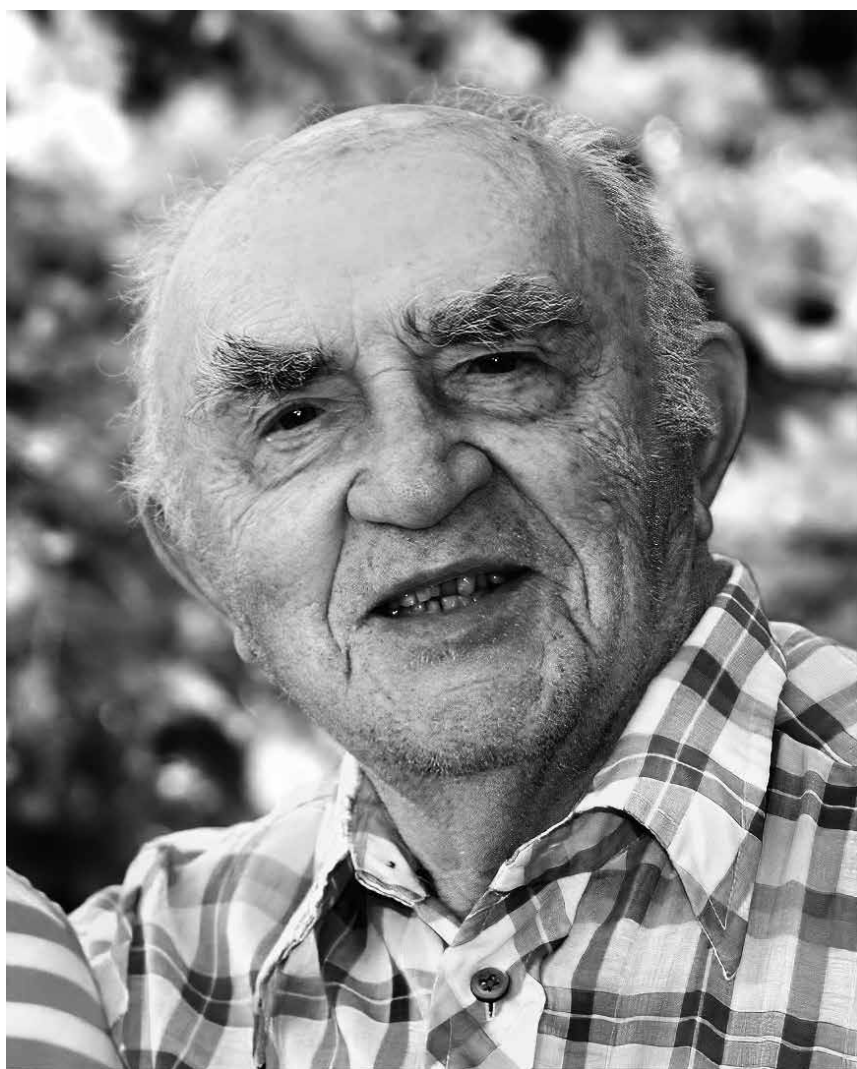
Tę wiadomość otrzymaliśmy od Marka Kusiby rankiem dnia następnego, 5 września 2019 roku. Wszyscy, którzyśmy znali Profesora, tego dnia posmutnieliśmy. Jakby wbrew jego uśmiechniętej twarzy, bo innej nie znaliśmy. Odszedł nie tylko uczony, ale – przede wszystkim – poeta. Ktoś, kto nie zważał na odległości, lekce sobie ważył mieszkanie tu i tam, bo – po wojennej tułaczce – odnalazł swoje miejsce w Kanadzie. I nigdy nie opuścił Śląska. W sercu i w wierszach.

Kiedy w 2014 roku poproszono mnie, abym napisał opinię o Profesorze w związku z planowanym nadaniem mu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego, zastanawiałem się, skąd ten wybór. Zapewne była to podpowiedź Profesora, z którym spotykaliśmy się przy okazji jakichś konferencji, czy jakichś innych spotkań. Był członkiem honorowym *Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego*, na wniosek GTL został odznaczony srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. Dużo by o tym mówić. Napisałem wtedy tę opinię, w której nakreśliłem nie tylko akademicki los, ale także los człowieka.

Szkic ten – w wersji skróconej – otwiera tom *Światy poetyckie Florianiana Śmiei*, który właśnie ukazuje się nakładem Wydawnictwa Naukowego Śląsk. Przedrukujemy go na okoliczność złożenia prochów Profesora w śląskiej ziemi, miejscu jego lat dziecinnych. Na okoliczność Jego powrotu do *Zabrza-Kończyc*.

\*\*\*

O rówieśnikach i braciach młodszych Florianiana Śmiei Maria Daniłowicz-Zielińska napisała, że mają „powieściowe niemal życiorysy”. Za



# Powrót do krainy dzieciństwa O Florianie Śmiei

MARIAN KISIEL

tym stwierdzeniem nie kryje się jednakże porywająca fabularna awantura, ale dramatyczna treść. Początek życiorysu naszego bohatera poprzedzają decyzje jego rodziców i wyznaczają lata Polski Odrodzonej. Podział Śląska na polski i niemiecki – w wyniku plebiscytu 1921 roku – sprawił, że rodzice – Rozalia z Kuligów i Piotr Śmiejowie – opuścili rodzinną Opolszczyznę, która znalazła się w granicach Rzeszy i osiedlili się w nowej Polsce. W Kończycach – administracyjnie należących dzisiaj do Zabrze – 22

sierpnia 1925 roku urodził im się syn, Florian. Tutaj poszedł do szkoły powszechnej, później kontynuował naukę w *Tarnowskich Górach*. W *Gimnazjum im. księcia Jana Opolskiego* ukończył dwie klasy.

1 września 1939 roku wybuchła wojna, która zniszczyła ładnie rozwijającą się biografię. W 1940 roku młody Florian został wywieziony na roboty przymusowe do Rzeszy, był parobkiem u bauera w Maklemburgii. Po kilku latach udało mu się zbiec do Belgii, gdzie się ukrywał. Tutaj w 1944 roku po wkrocze-

niu **1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka** zaciągnął się do polskiego wojska. Po wojnie jako żołnierz 1 Korpusu Polskiego znalazł się w Szkocji. Jak wielu innych, zdecydował, że pozostanie na emigracji. W wojsku zdał małą maturę, a w 1947 roku złożył pełny egzamin maturalny w liceum humanistycznym. Bakałareat otrzymał w roku 1950 w **National University of Ireland w Cork**. Tutaj studiował anglistykę i hispanistykę. Tak domknęły się trzy epizody trudnej młodości przyszłego poety i uczonego – radosne dzieciństwo, wojenna tułaczka, pierwsze pięciolecie powojenne.

„Powieściowy niemal życiorys”, przywołajmy raz jeszcze określenie Marii Danilewicz-Zielińskiej, to spłot wielu radości i traum, czas – jednocześnie – zakorzenienia w miejscu rodzinnym i wykorzenienia, wielojęzyczności, która z sobą harmonijnie współistnieje i z sobą walczy, odnalezienia szczęścia i jego utraty. Rzec by można, iż – w jakimś sensie – wczesna biografia Floriana Śmiei jest modelowa dla całej generacji egzulów polskich, którzy w wieku XX, podobnie jak ich bracia z poprzedniego stulecia, „unosili ojczyznę na łachmanach stóp” (Zdzisław Stroiński), by ją zachować dla przyszłych generacji jako ojczyznę duchową. Można było, jak tyłu innych, zatracić się w powojennej zawierusze na obcej ziemi, bądź wykorzystać szansę, jaką daje wrzucenie w przestrzeń innego języka i obyczaju. Florian Śmieja podjął walkę o wygraną.

Nowy etap w Jego biografii zaczął się wtedy, kiedy dostrzegł Go Jerzy Pietrkiewicz. Jako kierownik katedry literatury polskiej, w 1950 roku zaprosił młodego bakałarza do współpracy w charakterze asystenta w londyńskiej **School of Slavonic and East European Studies**. Od tego momentu życiorys Floriana Śmiei rozszczepia się na dwoje: ucząc języka polskiego w **University College London**, sam się dalej uczy w **King's College** (magisterium z hispanistyki uzyskuje w 1955 roku); podejmując pierwsze próby naukowe, odkrywa w sobie również ambicje literackie i nader aktywnie włącza się w kształtowanie młodego – polskiego! – życia literackiego w emigracyjnym Londynie. Staje się literaturoznawcą z zawodu i literatem z powołania. Przez następne dziesięciolecie będzie łączył obie pasje, dodając do tego trzecią, naturalną dla filologa zagranicznego – tłumacza literatury.

Doktorat z hiszpańskiej literatury barokowej Floriana Śmieja uzyskał

w 1962 roku u Alexandra A. Parkeera, pisząc o roli Alonso de Ledesmy w kształtowaniu poetyki konceptyzmu. Jako literaturoznawca pracował w **University of Nottingham** (1963–1969), a po wyjeździe do Kanady – w **University of Western Ontario** (1969–1991), gdzie kierował hiszpańską sekcją Department of Modern Languages and Literature. W tym czasie ugruntował swoje badania nad hiszpańskim Złotym Wiekiem, pisząc większość swoich prac naukowych, a także wydając krytycznie sztuki Agustina Morety czy Miguela de Cervantesa y Saavedry. Zasadniczo jednak najbardziej interesowały go w tym czasie (a i później) literackie związki między Polską i Hiszpanią. Pisał o podobieństwach teorii konceptu jezuitów Baltasara Graciána y Moralesa i Macieja Kazimierza SARBIEWSKIEGO, o łacińskim przekładzie dzieła św. Jana od Krzyża przez karmelitę Andrzeja Brzechwę, o imitacji/przekładzie romansu Juana de Floresa *Historia de Grisel y Mirabella*, opublikowanego w 1578 roku przez Bartosza Paprockiego, a także o przypisywanej Agustinowi Morecie komedii *Antes morir que parcar* (*San Casimiro*), poświęconej św. Kazimierzowi Jagiellończykowi, królewiczowi. Najbardziej znane są jednak prace Floriana Śmiei poświęcone adaptacjom i przekładom, a także wystawieniom teatru hiszpańskiego w Polsce. Szczególnie cenne są tu zwłaszcza kwereńdy poświęcone recepcji Pedra Calderona de la Barca i jego obecności w polskiej świadomości literackiej (m.in. w relacji *El principe constante* do *Księcia Niezłomego* Juliusza Słowackiego). Twórczo i wirtuozersko problematykę tę podjęła później doktorantka Floriana Śmiei w Uniwersytecie Wrocławskim – Beata Baczyńska.

Powinność filologiczną rozumie Florian Śmieja w kategoriach wymiany kulturowej, komparatystycznie. Literatura jest dla Niego tym, co „rzeczywiste i możliwe”, by przywołać tytuł wrocławskich rozmów Marcina Kurka i Justyny Ziarkowskiej. A zatem: tym, co istnieje w twardym fakcie literackim i kulturowym, i w wyobrażeniu. Komparatystyka jest właśnie „zbliżeniem” kultur poprzez kontakt osobisty lub słowny. Takiej komparatystyce poświęcił autor *Późnych notacji* dwa tomy swoich szkiców i przypisków biograficznych, wydanych nakładem Biblioteki Śląskiej w Katowicach – *Zbliżenia i kontakty* (2003) oraz *Zbliżenia i kontakty raz jeszcze* (2007). „Zbliżanie”

jest tutaj „przybliżaniem”, z jednej strony przez „esej-epitafium” (termin Józefa Bujnowskiego), z drugiej natomiast przez dzielenie się własną umiejętnością łączenia doświadczeń. W tym drugim znaczeniu mówimy o sztuce przekładu literackiego.

Przypomnijmy zatem, że Florian Śmieja przyswoił polskiej kulturze różne utwory, m.in. farsę Federico Garcii Lorki *Przedziwna szewcowa* (1955, 1967–1968), prozę poetycką Juana Ramona Jimenésza *Srebroń i ja* (1961, 1984, 1997), powieści Portugalczyka José Marii Ferreiry de Castro *Misja* (1972), Meksykanina Mariano Azuli *Gniew* (1973), Hiszpana Luisa Martína-Santosa *Czas milczenia* (1978), czy też *Papierowe kwiaty* (1990), słynny dramat Egona Wolffa, laureata ubiegłorocznej Premio Nacional de Artes de la Representación y Audiovisuales de Chile. Śmieja tłumaczył także lirykę hiszpańską i hispanoamerykańską, dość wspomnieć tylko takich gigantów poezji, jak: Federico García Lorca, Miguel de Unamuno, Rafael Alberti, Pablo Neruda czy Jorge Luis Borges. Jest autorem tomu przekładów *Poezje arabsko-andaluzyjskie* (1988, 1993) i *Legend i listów literackich* Gustava Adolfa Bécquera (2000). Włosi mówią: „traduttore traditore”, tłumacz jest zdrajcą. Powiedzmy jednakże, że w wypadku Floriana Śmiei jest to twórcza zdrada, albowiem swój czas uczonego poświęca przyswojeniu dzieł obcych, które polski czytelnik mógłby pominąć w swoich lekturach. Twórcza zdrada jest więc zbliżeniem, wymianą, komparatystyką przeniesioną na inny poziom uczestnictwa w kulturze.

To, o czym pisałem do tej pory, jest oddaniem honoru uczonemu, hispaniście, i tłumaczowi, który cenione przez siebie dzieła zakotwicza w języku polskim jako znaki wspólnego doświadczenia lekturowego. Ale jestem polonistą, i dla mnie Florian Śmieja jest przede wszystkim poetą polskim, niebywale ważnym uczestnikiem emigracyjnego życia literackiego, który na początku lat pięćdziesiątych XX wieku i później przyczynił się do powstania ważnego ruchu poetyckiego, czy też grupy literackiej znanej pod nazwą Kontynenty. Grupa ta była życiorysowo nietożsama, tworzyli ją poeci urodzeni w różnych latach, 1925–1927 jak Śmieja, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Jan Darowski czy Bolesław Tabor-ski, w 1932 jak Bogdan Czajkowski, w 1934 jak Adam Czerniawski i Jerzy S. Sito, czy w 1938 jak Andrzej

# Światy poetyckie Floriana Śmiei



Pod redakcją  
Mariana Kisielea i Katarzyny Niesporek

„ŚIAK”

Busza. Jeżeli ją łączył bunt przeciw starszym pokoleniom na emigracji, to jednocześnie także pragnienie ożywienia dyskusji o literaturze, włączenia jej w szerszy dyskurs o dziedzictwie kulturalnym Europy Zachodniej. Janusz Artur Ihnatowicz tak to wyrażał: „my widzimy kulturę polską przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej”. Słowa te znakomicie przystają do Floriana Śmiei. Jeżeli jednak coś wyraźnie odróżnia go od merkuriuszowców, to – przede wszystkim – widzenie kultury rodzimej w kontekście trwałości i zmiany. Jest więc autor *Powikłanych ścieżek* zwolennikiem mądrej nowości, która opiera się na znajomości i rozumieniu reguł literatury. Bunt nie dla samego buntu, ale w imię wartości; i nie tylko wyłącznie literackich, ale wartości *sub specie aeternitatis*; z poszanowaniem godności osoby, z próbą zrozumienia jego miejsca w kulturze.

Okres redagowania przez Śmieję „*Życia Akademickiego*”, „*Mercuriusza Polskiego*” i „*Kontynentów*” (1951–1953, 1957–1958, 1962–1964) jest dobrze opisany w historyczno-literackim dyskursie emigracyjnym. Jeżeli warto wzbogacić go jeden punkt dodatkowy, dotąd marginalnie podejmowany przez krytyków i badaczy, to dlatego, iżby uwyżnić jego strategię pisarską. Florian Śmieja określany mianem „tradycjonalisty” jest albowiem rzecznikiem tej samej postawy intelektualnej i światopoglądowej, jaką na emigracji już w jej początków reprezentował Tymon Terlecki. Była to postawa personalistyczna, otwarta

na dialog ale także twardo trzymająca się zasad. Przywiązana do polskości – krytyczna i nie czułościowa, ale także – jak pisał Terlecki – będąca „sprzęgiem idei politycznej i religijnej”. Tradycjonalizm Floriana Śmiei wyrasta stąd właśnie: z zaakceptowania politycznej reguły, jaką rządzi się emigracja, z przywiązania do wartości chrześcijańskich jako opoki dla światopoglądu emigranta, a także do ojczyzny pierwszej, kraju dzieciństwa. Zaobserwować to można nie tylko w jego krytyce, ale i poezji.

W czasie londyńskim opublikował dwa tomiki wierszy (1953, 1964), po przeniesieniu się do Kanady regularnie zaczął ogłaszać nowe zbiorki, poczynając od roku 1981. Wydał ich kilkanaście, trwale włączając się w wielokulturowy obraz literacki tego kraju. Wraz z Waławem Iwaniukiem jest autorem określenia „*Polish Canadian Poets*”, co pokazuje Jego wtopienie się w wielojęzyczność Kanady przy jednoczesnym zachowaniu własnej odrębności.

Maria Magdalena Rudiuk napisała, że – obok Zofii Bohdanowiczowej – Florian Śmieja należy do twórców najbardziej tradycyjnych na trzech planach jednocześnie: języka, literatury, aksjologii; „bez wdziewania cierpiętniczych szat, buduje w Kanadzie swój dom”. Jeżeli tak jest, to dlatego, że – jak czytamy w wierszu *Spóźniona Arka* – Kanada jest miejscem, „gdzie się rodzaje i gatunki chronią / przed kataklizmem zagniewanych mocy”. „W tym kraju można uleczyć nieufność”, pozbyć się brzemienia „niewolnika plemiennej historii”. A to wszystko za sprawą „wrozumiałego gestu wielkodusznych”, który „często przygarnie łotra i błagiera”.

Jacek Łukasiewicz zauważył: „Poezja dla Floriana Śmiei nie jest zabawą ani odkrywaniem fantastycznych światów, wynajdywaniem niezwykłych tropów, zderzaniem dalekich sensów i obrazów. W każdym razie nie tym jest przede wszystkim. Raczej – szukaniem i jakże często odnajdywaniem trafnych formuł dla refleksji oraz dla uczuć przyjaznych ludziom i pejzażom. Poezja utrwała «szare wołanie» przychodzące z daleka i stanowi na nie odpowiedź. Konieczność poezji jest dlań właśnie koniecznością dawania takich odpowiedzi”.

I dalej: „«Szare wołanie» rozlega się z przeszłości i z teraźniejszości – zawsze stąd i stamtąd. Z czasu i z przestrzeni. Szare – nie krzykliwe, nie jaskrawe, wyrażające dramatyczną zwykłość ludzkiego losu. Poeta nie pali mostów, a jeśli, to stale

je odbudowuje. Stając wobec czegoś nowego: nowych ludzi, pejzaży, rzeczy, sytuacji, przyjmuje je do pamięci. Nadaje im sens w konfrontacji z pamięcią, ale nie z byle jaką, chaotyczną. Pamięć dąży w tej poezji do przekształcenia się w autobiografię uporządkowaną i uwarościowaną”.

W tomie studiów i szkiców poświęconych literackiej i translatorckiej twórczości Śmiei, mówiono o „parabolach pamięci”. „Parabole” kładą nacisk na uniwersalność prawd, zawartych w pamięci, ta zaś – pisał Wojciech Ligęza – „wiąże się z problematyką tożsamości będącej spletem powrotów do śląskiej małej ojczyzny i doświadczeń, którymi obdarzył poetę kraj osiedlenia. Pamięć tworzy zespół wartości oraz powinności wobec samego siebie, każe wysoko szacować spotkania z innymi ludźmi, pozwala docenić rolę przemijających chwil, ale również porządkuje chaos przeżytych zdarzeń oraz dostarcza nauk na przyszłość. Jednostkowe zasoby doświadczenia konfrontowane są tutaj z pamięcią kultury”. Dzisiaj chciałoby się powtórzyć te słowa i rzec jeszcze dobitniej, że dzieje się tak w całej twórczości Floriana Śmiei. Naukowa, krytyczna czy poetycka – jest ona „odbudowywaniem mostów” między światem, który minął i tym, który jest; między przeszłością zapisaną w tekstach, a tą, która w tekst się przeobraża na naszych oczach. Mosty pamięci są gwarantem spójności świata, jego naszej, koniecznej w nim obecności.

Przypomnijmy na koniec wiersz *Ziemie utracone*. Ale czy „utracone” naprawdę?

*Ziemie utracone to posiadłości  
najbardziej niezbywalne; żadne one  
ewangeliczne marności, które mól  
stoczy, zje rdza i żąb czasu nadgryzie.  
One się zawsze odzywają w ciszy  
nawet najbardziej strzeżonej samotni.  
Wystarczy na moment zamknąć powieki  
a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to  
że minął czas i narosło dystansów.  
Nie uciłł dotąd turkot kół: wciąż dudni  
i na wzgórzach sterczą nieme wiatraki  
choć dawno zmelły swoje ziarno.  
Sędziwa ciotka laje niepogodę  
której już nie ma poza jej lamentem.  
Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto  
co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli  
małe pudełko w sadzie pod jabłonką,  
chude bociany kreślone niezdarnie  
na podniesionym blacie długiej ławy,  
u kulawego krawca szyte spodnie,  
ostre miętówki z poczekalni dworca.*

# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:  
Anna Gaitoer  
Joanna Kotkowska

## Pierwszy wernisaż online w Częstochowie

**CZĘSTOCHOWA.** Ograniczenia związane z przemieszczaniem się, a przede wszystkim zamknięcie dla zwiedzających instytucji kultury sprawiły, że sztuka jeszcze chętniej korzysta z możliwości, jakie daje Internet. Z tego powodu 23 marca Muzeum Częstochowskie i Wydział Sztuki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie zorganizowały wernisaż online międzynarodowego projektu *Terra Recognita 2020*. Kuratorką wystawy jest dr hab. Agnieszka Półrola.

Znalazły się tu prace 15 artystów-pedagogów z polskich i zagranicznych uczelni. Każdy z nich zaprezentował swoje przemyślenia związane z procesem poznawania i osvajania miejsc, ich odzyskiwania i rekonstruowania, wyobrażania, zapamiętywania i utrwalania. Była to więc podróż w czasie i przestrzeni, ale przede wszystkim w intymne rejony wrażliwości artystów. Za pomocą różnych technik pokazali oni miejsca pobudzające ich wyobraźnię i zobrazowali zachodzące w nich procesy poznawcze. Utrwalili miejsca prawdziwe, przedstawili swoje marzenia, zastanawiali się nad kształtem miast, naśladując formę map.

Wystawę dostępną w Internecie można zwiedzać dzięki zdjęciom 360 VR Jacka Śliwczyńskiego.

## Zrealizowany pomysł na film

**CZĘSTOCHOWA.** Jak ważnym medium jest obecnie film, nie trzeba przekonywać. Nic dziwnego, że chętnie promują go częstochowskie instytucje kultury. Organizują konkursy dla młodzieży czy amatorów oraz prezentują prace dobrze zapowiadających się młodych twórców. 7 marca w OPK Gaude Mater pokazano dwa filmy krótkometrażowe Marii Magdaleny Jeziorowskiej: *Najpiękniejszą* (2020) oraz nieco wcześniejszą *Imitację* (2017). Po ich projekcji niezwykle ciekawą i ciepłą rozmowę przeprowadziła Magda Fijołek, dziennikarka, realizatorka filmów dokumen-



fol. własna

talnych, obecnie urzędniczka w Wydziale Kultury, Promocji i Sportu UM w Częstochowie.

W filmach wystąpili zawodowi aktorzy, w większości związani zawodowo z teatrem częstochowskim: Teresa Dzielska, Sylwia Warmus-Oksiuta, Adam Hutyra, Marek Ślosarski, ale także Joanna Rucińska i Gabriela Bissinger. Scenariusze do obu filmów zostały nagrodzone w Ogólnopolskim Konkursie *Mój pomysł na film* w 2015 i 2017 roku, a *Imitacja* zajęła II miejsce w konkursie *Częstochowa w kadrze* w 2017 roku.

Maria Magdalena Jeziorowska ma 21 lat, jest studentką II roku produkcji filmowej w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

---

## Częstochowa jest kobietą?

**CZĘSTOCHOWA.** Od 7 lutego w Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica można oglądać efekty XXXII Pleneru Miejskiego *Częstochowa jest kobietą*. W stulecie przyznania kobietom praw wyborczych artyści i artystki postanowili zmierzyć się z tematem kobiecości.

Były więc portrety mieszkanki miasta, konstrukcje kobiecej biografii (Elżbieta Chodorowska) oraz odwołania do matki Boskiej Częstochowskiej. Wśród pokazanych częstochowianek znalazły się zarówno osoby anonimowe, jak i postacie znane i rozpoznawalne. Obok Haliny Poświatowskiej (pokazanej w pracach wielu artystów, m.in. Agnieszki Mityry-Bagińskiej, Urszuli Chodorowskiej, Anny Przewłockiej czy Cezarego Sowy), na wystawie zaprezentowano również podobizny Magdaleny Cieleckiej, Kaliny Jędrusik i Haliny Rozpondek, inicjatorce Forum Kobiet Ziemi Częstochowskiej. Z kolei Aleksandra Kowalska zamieściła swój wiersz *Ona* oraz czarny malunek matki wyraźnie nawiązujący do Madonny, a Magdalena Nowak przygotowała „panią kwietną”. Ciekawe prace zaproponowała Urszula Łyko-Katus. Zabawne rysunki pozbawione tytułów nabrały uniwersalnego wymiaru, otwierając się na odczytania zwiedzających.

I choć w plenerze wzięli udział ci sami artyści co w *Strumieniu życia*, wystawie częstochowskiego oddziału ZPAP pokazywanej w Miejskiej Galerii Sztuki, na szczęście udało się im uniknąć powtórzeń.

---

## Lutowa JAZZtochowa

**CZĘSTOCHOWA.** 28 lutego w OPK Gaude Mater w ramach festiwalu JAZZtochowa zaprezentowano projekt Oleś Brothers – Polish Jazz Requiem. Na scenie wystąpili Marcin i Bartłomiej Olesiowie, Wojtek Jachna, Irek Wojtczak oraz Bartosz Prucnal. Koncert był hołdem złożonym nie tylko Tomaszowi Stańce i nawiązaniem do jego albumu *Music for K* (poświęconego Krzysztofowi Komedzie), ale również docenieniem innych jazzmanów. W ten sposób muzycy opowiadali o swoich idolach, fascynacjach, korzeniach, z których wyrasta ich twórczość.

Projekt wpisuje się w działania podejmowane jako forma uczczenia zmarłych mistrzów muzycznych. Dość wspomnieć kompozycje Andrzeja Przybielskiego dla Jacka Bednarka, Andrzeja Trzaskowskiego dla Scotta LaFaro, Zbigniewa Seiferta dla McCoya Tynera czy wreszcie Komedę, który w utworze *Nighttime, Daytime Requiem* oddawał hołd Johnowi Coltrane'owi.

Cykl Jazztochowa organizowany jest w OPK Gaude Mater z inicjatywy Tadeusza Piersiaka od 2014 roku w sezonie jesienno-zimowym, przy współdziałaniu Urzędu Miasta Częstochowy. W tym czasie festiwal zdobył sobie uznanie publiczności.

---

## Fotografie z najwyższym znakiem jakości

**CZĘSTOCHOWA.** W Częstochowie od dawna prężnie działa środowisko fotografików, dbając o rozwój tej sztuki. Tu odbywa się przecież wiele uznanych konkursów, także o zasięgu międzynarodowym, tu pojawiają się ważne wystawy objazdowe. Jedną z nich jest pokazywana od 21 lutego w Galerii pod Arkadami (znajdującej się przy ul. 1 Maja 27) wystawa 66 fotografii 16 członków Excellence FIAP Polska, czyli najwybitniejszych polskich fotografików. Zaszczytny tytuł mogą otrzymać członkowie Fotoklubu RP posiadający odpo-

wiednią liczbę nagród i akceptacji zdobytych podczas konkursów organizowanych pod patronatem FIAP-u. Dość powiedzieć, że miano to obecnie przysługuje jedynie 23 polskim artystom. Częstochowę reprezentuje w tej grupie dr Krzysztof Muskalski, organizator konkursu Międzynarodowy Salon Fotografii Artystycznej Lekarzy „PhotoArtMedica”.

Wystawa była świetnym sposobem propagowania różnych gatunków dobrej fotografii, m.in. podróźniczej, miejskiej czy portretowej. Doskonałej jakości prace pokazywały, jak uchwycić nieoczywistość świata. Wydobyc to, co przez innych nie zostało dostrzeżone. Kuratorem wystawy jest Tomasz Sobczak. Patronat nad wystawą objęło Stowarzyszenie Fotoklub Rzeczpospolitej Polskiej.

---

## CZĘSTOCHOWA. Krótko

\*zagrali: klub Rura – Łąki Łan; Muzyczna Meta – Eternal Spiritis; Filharmonia Częstochowska – Michał Szpak; MGS – Nula Staniewicz wraz z Mariuszem „Fazi” Mielczarkiem, Pawłem Pańtą, Sebastianem Frankiewiczem w cyklu *Nieśmiertelni* zagrali piosenki Agnieszki Osieckiej *Byle nie o miłości*;

\*wystawiali: OPK Gaude Mater – Marta Dunal *Nad powierzchnią*; Częstochowskie Stowarzyszenie Artystów Plastyków im. J. Dudy-Gracza *Złoty Potok 2020*; ROK – słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku działającego przy Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie;

\*26 lutego Juliusz Sętowski w Muzeum Częstochowskim wygłosił wykład *Artur Grottger – malarz powstania styczniowego 1863–1864*;

---

## KATOWICE.

**KATOWICE.** W dniu 21.04.2020, do chwili zamknięcia tego numeru miesięcznika w województwie śląskim zarażonych koronawirusem było 1567 chorych. Od początku epidemii zmarło 77 osób.

**KATOWICE.** W związku z ogłoszonym na terenie kraju stanem epidemii, instytucje kultury, organizacje pozarządowe prowadzące działalność w sferze kultury, instytucje edukacyjne wszystkich stopni, podmioty gospodarcze działające w sferze kultury (wydawnictwa, galerie i in.) pozostają nieczynne aż do odwołania.

**KATOWICE.** Odbyła się wideokonferencja dotycząca zagadnień kultury w związku z epidemią koronawirusa. W wideokonferencji uczestniczyli: Wiceprezydent Miasta Katowice Waldemar Bojarun, Naczelnik Wydziału Kultury Edyta Sytniewska, organizacje pozarządowe i podmioty działające w Katowicach w obszarze kultury, a także twórcy kultury.

**KATOWICE.** Sejmik województwa Śląskiego podczas XIX Sesji Sejmiku podjął uchwałę w sprawie utworzenia wspólnej instytucji kultury pod nazwą „Panteon Górnośląski w Katowicach” i nadania jej statutu. Przedmiotem działalności Panteonu Górnośląskiego w Katowicach ma być zachowywanie i upowszechnianie wiedzy z zakresu historii Górnego Śląska po I wojnie światowej oraz inicjowanie działań o charakterze kulturalnym, naukowym i edukacyjnym w tym zakresie. Celem jest także uczczenie pamięci osób zasłużonych dla polskości ziem Górnego Śląska z uwzględnieniem twórców, artystów, naukowców, polityków, żołnierzy i osób duchownych. Wśród współprowadzących instytucję znajdują się Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Archidiecezja Katowicka, Województwo Śląskie i miasto Katowice.

**KATOWICE.** Marszałek Województwa Śląskiego powołał na pełniące obowiązki dyrektora Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańskiego Pana dr hab. Zygmunta Woźniczki prof. UŚI.



# Muzycy z kresów

ANTONI WILGUSIEWICZ

Wśród wielu lwowian i kresowian przybyłych na Górny Śląsk zarówno po I, jak i po II wojnie światowej znaleźli się – obok prawników, lekarzy, inżynierów – także i muzycy, którzy wzbogacili swoją twórczością kulturę muzyczną regionu. Śląsk znany był z tradycji muzycznych; poczynając od arystokracji poprzez mieszczaństwo aż do warstw ludowych muzyka była nie tylko słuchana, ale i uprawiana czynnie. Przybyli tu z zewnątrz muzycy musieli więc prezentować wysoki poziom artystyczny, aby osiągnąć sukces i zostać zaakceptowanymi przez miejscowych wykonawców i odbiorców muzyki. Poziom taki zawdzięczali na ogół nie tylko talentowi, ale i gruntownemu wykształceniu, które dawały lwowskie szkoły muzyczne, przede wszystkim Konserwatorium Galicyjskiego (potem Polskiego) Towarzystwa Muzycznego (istniejące od 1853 roku). Należy dodać, że problemy lwowskiego środowiska muzycznego szczegółowo przedstawił Michał Piekarski w wydanej niedawno (2018 rok) książce *Muzyka we Lwowie*.

W Katowicach Państwowe Konserwatorium Muzyczne zostało założone w 1929 roku. Rektorem Konserwatorium w latach 1934–1939 i po wojnie w latach 1945–1946 (potem przeniósł się do Warszawy) był pochodzący z Wołynia Faustyn Kulczycki, specjalizujący się w muzyce wojskowej. W ramach Konserwatorium założył on jedyną w Polsce Wojskową Szkołę Muzyczną, a także Liceum Muzyczne; wydawał czasopismo „Śląskie Wiadomości Muzyczne” (1937–1939). Po nim przez krótki okres (maj–grudzień 1946) rektorem katowic-

kiej uczelni muzycznej był znany kompozytor Bolesław Woytowicz, urodzony w Dunajowcach na Podolu, także i później związany z PWSM jako dziekan Wydziału Teorii Kompozycji.

Trzecim z kolei powojennym rektorem uczelni został Adam Mitscha, absolwent lwowskiego Konserwatorium (a także Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza), od 1926 roku wykładowca obu tych uczelni. Uczeń wybitnego muzykologa Adolfa Chybińskiego, ceniony krytyk muzyczny, od 1929 roku w Katowicach, wniósł w życie muzyczne polskiego Śląska najlepsze lwowskie tradycje. Kontynuował tu pracę po II wojnie jako profesor Państwowej Wyższej Szkoły (obecnie Akademii) Muzycznej – w latach 1947–1951 jej rektor. Udzielał się także jako kompozytor, sięgając do tradycji śląskiego folkloru, także w popularnych tu utworach akordeonowych. Zmarł w wieku 100 lat, w 1992 r. w Białymostku, został pochowany na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza w Katowicach.

Nie był on jedynym w okresie międzywojennym przybyłym ze Lwowa wykładowcą Konserwatorium. Józef Cerner, urodzony w 1887 roku w Tarnopolu, wybitny skrzypek, przyniósł ze sobą znakomite tradycje lwowskie takich skrzypków, jak Lipiński czy Kochański; Tadeusz Krotochwila, podobnie jak Adam Mitscha absolwent Uniwersytetu Jan Kazimierza oraz lwowskiego Konserwatorium na stanowisku docenta kształcił skrzypków dla orkiestr symfonicznych oraz nauczycieli muzyki – sam zresztą uczył muzyki w katowickim gimnazjum im. Mikołaja Kopernika; docent Józef Drohomirecki – wiolonczeli-

sta, uczył już od 1929 gry na tym instrumencie w Śląskim Konserwatorium, po wojnie został koncertmistrzem WOSPR. Już w okresie powojennym wykładowcą gry na skrzypkach, asystentem Tadeusza Krotochwili, a potem profesorem był Ryszard Fastnacht, urodzony w 1926 roku we Lwowie; pracował także w Filharmonii Śląskiej.

Uczniem katowickiego Konserwatorium w latach 1938–1939 był przybyły tu, a urodzony w Winnicy na Ukrainie Aleksander Gabrylewicz, znany po wojnie skrzypek i pedagog. Po ukończeniu w 1947 roku katowickiej PWSM pracował jako skrzypek WOSPRiTV (obecnie NOSPR), biorąc udział w jej licznych koncertach na całym świecie. Przez wiele lat, aż do śmierci w 1998 roku uczył gry na skrzypkach w PSM I i II stopnia im. Grzegorza Fitelberga w Chorzowie.

Znanym na międzywojennym Śląsku dyrygentem chóralnym był Adam Harsowski, urodzony w Delatynie koło Stanisławowa, który studiował na Politechnice Lwowskiej, ale poświęcił się muzyce. Ze względu na bogatą praktykę muzyczną został zaangażowany w 1933 roku jako kierownik artystyczny i dyrygent orkiestry Huty Piłsudski (po wojnie Kościuszko), tworzył także muzykę dla miejscowego teatru amatorskiego. W czasie II wojny światowej był pilotem RAF, mieszkał i zmarł w Wielkiej Brytanii.

O ile polskie szkolnictwo muzyczne we wschodniej części Górnego Śląska powstało już po 1922 roku, o tyle w części pozostałej dopiero po jej przyłączeniu do Polski w 1945 roku. Bogusław Tracz w swojej monografii Gliwic wspomina, że już 21 marca powstał tu Instytut Muzyczny im. Ignacego Paderewskiego, we wrześniu 1945 roku przemianowany na Szkołę Muzyczną. Działał w niej prowadzony przez Mieczysława Śliwskiego Ośrodek Kształcenia Artystycznego z działem baletowym i muzycznym. Tenże Mieczysław Śliwski, który był potem nauczycielem rytmiki w Szkole Muzycznej w Pрудniku być może jest tym samym plutonowym Mieczysławem Śliwskim, który odznaczył się 14 maja 1919 roku w walce z Ukraińcami o Lwów – byłby to piękny przykład bohaterskiej postawy polskich muzyków w obronie Ojczyzny. Faktem jest, że jeszcze w 1945 roku kadre szkoły zasilili wykładowcy i absolwenci lwowskiego Konserwatorium.

Najsłynniejszym uczniem katowickich szkół muzycznych wywodzącym się ze Lwowa był oczywiście w okresie powojennym przybyły tu w 1948 roku z Kra-



Opera Śląska w Bytomiu



Opera Lwowska współcześnie

kowa Wojciech Kilar. Najpierw kształcił się pod kierunkiem Władysławy Markiewiczówny w Państwowym Liceum Muzycznym (1948–1950), a potem w PWSM, gdzie lekcji kompozycji udzielał mu Bolesław Woytowicz. Dyplom z wyróżnieniem uzyskał w 1955 roku i jak wiadomo, aż do śmierci w 2013 roku pozostał w Katowicach, których jest Honorowym Obywatelom.

Inny muzyk światowej sławy o lwowskich korzeniach związał się z Katowicami na krótszy okres, ale także zanotował tu znaczące dokonania. To Stanisław Skrowaczewski, urodzony w 1923 roku we Lwowie, gdzie mieszkał do 1944 roku – w czasie wojny jak wielu innych znanych wcześniej i później lwowian był karmicielem wszy w Instytucie prof. Weigla. Kontuzja obu dłoni przekreśliła jego karierę pianistyczną; po studiach w Krakowie i Paryżu u Nadii Boulanger został dyrygentem i jako taki w latach 1949–1954 kierował Filharmonią Śląską w Katowicach. Ostatecznie karierę muzyczną kontynuował w USA, gdzie mieszkał od 1960 roku do śmierci w 2017 r.

Po dziś dzień w obiegu publicznym instytucją muzyczną naszego regionu najbardziej kojarząca się ze Lwowem pozostaje Opera Śląska w Bytomiu. Dzieje Opery, a zatem i jej lwowskie korzenie zostały szczegółowo opisane w dziele *Pół wieku Opery Śląskiej. Księga jubileuszowa Teatru z lat 1945–2000*, pod red. Tadeusza Kijonki. Bytom 2001.

Jest ogólnie znane, że ojcem opery zwanej najprzód Katowicką, a potem Śląską z siedzibą w Bytomiu był Adam Didur, światowej sławy bas, mocno związany ze lwowskim środowiskiem muzycznym, którego liczni przedstawiciele pod jego przewodnictwem przybyli w 1945 roku na Śląsk. Za fundamentalną datę w dziejach polskiej kultury muzycznej na Górnym Śląsku uznaje się dzień 14 czerwca 1945 roku, kiedy to odbyła się

premiera *Halki* wystawionej przez Didurę z lwowskimi śpiewakami w rolach głównych: Wiktoria Calma (*Halka*), Lesław Finze (*Jontek*), Olga Szamborowska (*Zofia*), Adam Kopciuszewski (*Janusz*). Do grupy lwowskich artystów Opery bytomskiej zaliczamy także braci Hiolskich: Włodzimierza i jego starszego brata Andrzeja (dla odróżnienia Włodzimierz używał pseudonimu Lwowicz), a także śpiewaczki: Zofię Czepielówną, Jadwigę Lachetówną i Franciszkę Denis-Słoniewską.

Trudno w tym miejscu opisywać kariery tych znakomych artystów, przytoczę jedynie anegdotę (?) o Lesławie Finze, ulubionym uczniu Didura.

Lesław Finze urodził się 1 lipca 1918 roku we Lwowie. Jego rodzice prowadzili najelegantszy w mieście salon mody. Kierując się życzeniem ojca, przysły artysta podjął studia prawnicze. Znakomity literat i historyk Lwowa, Jerzy Janicki, tak opisuje ten czas: „...lecz kiedy znalazł się już na tym prawie, zjechał akurat do Lwowa Adam Didur, zaprzyjaźniony z Finzami. Wielki Didur dał się ubłagać, aby przy kolacji posłuchał, jak Leszek ładnie umie śpiewać. Już po pierwszym takcie Didur przestał jeść, po czym wyraził opinię, że Leszkowi znacznie bardziej będzie w życiu do twarzy w góralskich guniach Jontka niż w adwokackiej todze...” (*Ad o Lwowa daleko aż strach...*, wyd. BGW, 1996)

Ze Lwowem w ten czy inny sposób był zresztą związany we wcześniejszym okresie swojej kariery muzycznej niemal każdy polski artysta operowy; tak np. Barbara Kostrzewska, artystka warszawska, rozpoczęła swoje występy we Lwowie podczas Targów Wschodnich, a Bolesław Fotygo-Folański, rodowity warszawianin, debiutował jako artysta operetkowy, a potem grał i reżyserował we Lwowie w latach 1918–1920, kiedy to udał się na Górny Śląsk na tzw. występ-

py plebiscytowe. Należy także dodać, że ze Lwowa do Bytomia przybyli nie tylko śpiewacy i muzycy, ale i pracownicy obsługi teatralnej – na ich czele stał dyrektor administracyjny Władysław Polak, zmarły w 1952 roku i pochowany niedaleko Adama Didura na cmentarzu przy ulicy Francuskiej w Katowicach. Sam Didur zajął się także pracą pedagogiczną w katowickiej PWSM jako dziekan Wydziału Wokalnego. Niestety, już 1 stycznia 1946 roku zmarł na atak serca podczas lekcji śpiewu – podobno jego ostatnie słowa brzmiały: Śpiewajcie dalej, nie przerywajcie...

Po Didurze funkcję dyrektora Opery do czasu przenosin do Gdańska w 1953 roku sprawował Stefan Belina Skupiewski, również śpiewak i pedagog, urodzony w Kijowie. Także i jego można zaliczyć do artystów skali europejskiej – tak np. w 1923 roku wykonywał on w mediolańskiej La Scali partię Tristana w operze Wagnera; dyrygował Arturo Toscanini.

W 1952 roku jako filia Opery Śląskiej rozpoczęła swoją działalność w Gliwicach Operetka, w 1955 roku usamodzielniona. I tu znajdujemy lwowskich artystów, jak Stanisław Tokarski urodzony w 1926 roku we Lwowie, chórmistrz a potem dyrektor artystyczny (w latach 1982–1991 był dyrektorem Zespołu Śląsk w Koszęcinie). Zbigniew Lipczyński, urodzony także we Lwowie w 1907 roku, rozwijał tu swoją karierę muzyczną śpiewaka i radiowca do 1937 roku, kiedy to zatrudnił się w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia. Po wojnie wrócił na Śląsk i w 1952 roku został pierwszym dyrygentem Operetki Śląskiej (był nim do czasu przejścia na emeryturę w 1972 roku) – jednocześnie był też kompozytorem piosenek i muzyki do filmów popularnonaukowych, autorem wierszy satyrycznych, przekładał na język polski libretta oper i operetek.

Trudno jest oszacować liczbę, a tym bardziej wymienić nazwiska lwowskich i kresowych muzyków działających na Górnym Śląsku. Czasem można natknąć się na ich groby na cmentarzach naszego regionu, jak na przykład na wspomnianym cmentarzu przy ulicy Francuskiej, gdzie przy płocie stoją dwa skromne krzyże. Jest tam pochowany Tadeusz Klimek zmarły w 1976 roku, artysta-muzyk, a także jego żona Czesława, oboje urodzeni we Lwowie. Nieznani i trudni do policzenia pozostają także odbiorcy ich twórczości, którym dostarczyli tak wielu wzruszeń. Pamiętam tylko mego ojca, Władysława, lwowianina, wielkiego miłośnika opery, który mieszkając w Zabrzcu wiele czasu i wysiłku wkładał w wyjazdy na spektakle operowe do Bytomia. W papierach po nim znalazłem dwa pozółtkłe programy operowe: *Traviata* z 1947 roku i *Rigoletto* z 1955 roku, z fotografiami wielu wspomnianych wyżej artystów. I to właśnie zainspirowało mnie do napisania tego tekstu. ■

# FANTASTYKA 2020

## KONKURS PLASTYCZNY



### inicjały i bordiury tajemne słowa książkowe

Czas trwania: 10 marca – 16 września 2020  
Dwie kategorie wiekowe 13-16 i 17+

**K**onkurs dla uzdolnionych artystycznie fanów książek współczesnych i dawnych. Zadanie polega na wykonaniu ozdobnego inicjału i bordiury (dekoracyjne obramowanie) wokół jednej z wcześniej przygotowanych przez Organizatora pierwszych stron książek fantastycznych.

W obu kategoriach przyznane zostaną nagrody rzeczowe dla autorów trzech najlepszych prac.

Po zakończeniu konkursu, prace zostaną zaprezentowane szerszej publiczności w ramach wystawy pod tym samym tytułem. Wystawa trwać będzie do dnia 23 października 2020.



Sosnowiec, ul. Kościelna 11

